

Mary Jane Beaufrand

Primavera

Primavera

Przełożył Grzegorz Komerski

Dla prawdziwego Emilia In Memoriam

Prolog

Florencja, 1482

Jest wiosenny poranek. Gdy signor Botticelli wchodzi do naszego warsztatu, pracowicie wykuwam złoty pierścień. Na widok przybyłego garbię się, pochylam niżej nad kowadłem, a fartuch zaciągam ciaśniej i wyżej wokół szyi. Modłę się, by mnie nie rozpoznał. Owszem, przebranie mam niegorsze, a odkąd spotkaliśmy się ostatnim razem, minęły już cztery lata. Poza tym signor Botticelli zwraca uwagę jedynie na rzeczy piękne. Ja nie przedstawiam sobą pięknego widoku. Twarz mam uwalaną dymem i sadzą, włosy wsunięte pod starą szmatę. Wyglądam dokładnie na kogoś, kim jestem - na ucznia terminującego u złotnika.

Mężczyzna teatralnie odkasłuje i podnosi do nosa chusteczkę. Klienci, którzy wprost ze świeżego powietrza wchodzi do naszej pracowni, do tej miniatury piekła, przeżywają z pewnością potężny wstrząs. Wewnątrz jest zawsze gorąco, wciąż płonie tu ogień. Prawie jakby przekraczali bramy krainy umarłych.

Mój pan serdecznie wita gościa. Ociera czarną od popiołów dłoń o ciężki, skórzany fartuch i wyciągają ku przybyszowi.

- Signor Botticelli, jakże się cieszę z pańskiej wizyty. Ileż to już lat minęło? Ach, nieważne, nieważne. Zawsze jest pan mile widzianym gościem w moich progach.

Signor Botticelli skłania się nisko, jego bystre oczy badawczo omiatają nasz zagracony, ciasny warsztat. Spojrzenie mężczyzny zatrzymuje się przez chwilkę na mnie, po czym zaraz przemyka ku czemuś innemu.

Gdy zaczyna rozmawiać z moim mistrzem, pozwalam sobie przyjrzeć się mu dokładniej. Te cztery lata okazały się dla niego o wiele bardziej łaskawe niż dla mnie. Włosy - dawniej barwy piasku - przetykają mu teraz siwe pasemka; nosi strój bogatego człowieka - piękny płaszcz koloru głębokiej zieleni z wyhaftowanymi nań maleńkimi kwiatkami. Wygląda to tak, jakby plecy pokrywała mu prawdziwa łąka. Spod płaszcza na piersi zwisa ciężki, złoty krzyż, na środku którego pyszni się pojedynczy rubin, od którego, wzdłuż czterech ramion, odchodzą wyryte w kruszcu zawijasy, do złudzenia przypominające dziewczęce włosy.

To ozdoba mojej roboty. Poznaję ją od razu.

- Maestro Orazio - odzywa się oficjalnie signor Botticelli. - Ja również bardzo się cieszę,

że znowu się spotykamy. Od razu muszę jednak wyjaśnić, że zjawiłem się u pana w interesach. Przynoszę pomyślnie wieści i zlecenie.

- Ależ oczywiście, oczywiście - odpowiada mój pan. - Proszę spocząć. O, tutaj! Z dala od ognia.

- Mario! Przynieś z łaski swojej nieco wina dla naszego gościa - krzyczy do żony, która pracuje na górze - zajęta pieczeniem chleba na nasz południowy posiłek. Pomieszczenia, w których mieszkamy, są równie małe jak nasza pracownia i tak samo intensywnie zadymione. Tyle że dym już dawno przestał mi przeszkadzać. Oddycham nim nawet swobodniej niż świeżym powietrzem. Zdarzają się dni, kiedy czuję się jak sam Hefajstos - paskudny potwór tworzący piękne przedmioty dla rozrywki mściwych bóstw.

Signor Botticelli zasiada na drewnianej ławie przy oknie i rozluźnia płaszcz. Zauważam, że pod spodem nosi przypasany do bluzy, delikatny sztylet. Od razu dostrzegam wykonane ze smakiem, fachowo, zdobienia na jego rękojeści - skomplikowany roślinny wzór. To także moja robota. Pamiętam jeszcze taki czas, kiedy podobne detale nie przykuwały mojej uwagi. Za to ostrość ostrza - jak najbardziej.

Mój pan siada obok signora Botticellego. Odchyła się w wystudiowanym geście, mającym świadczyć o wewnętrznej swobodzie. Chce wywołać wrażenie, że obaj są sobie równi. Ale to nieprawda. Każdy by to dostrzegł. Mój pan jest gruby. To skutki diety, jaką serwuje mu signora Maria. Gruby kałdun ciasno napina paski jego fartucha. Tych kilka zębów, jakie mu jeszcze pozostały, straszy czernią. Wszystko w nim aż krzyczy, że jest nikim: ot, zwykły rzemieślnik w mieście należącym do bogatych, wytwornych ludzi.

- Co zatem pana do mnie sprowadza, signor Botticelli? - pyta.

- Przyszedłem z wiadomością od mojej pani mecenas. Dwa tygodnie temu nikczemny Girolamo Riario, władca Imoli i Forli, został pojmany i natychmiast stracony w akcie służnej odpłaty za swoje występki.

Kiedy słyszę te słowa, czuję, jak moją twarz oblewa czerwień. Wiem, kim jest ta jego „pani mecenas”. Wszyscy to wiemy, choć nie mamy odwagi wypowiedzieć na głos jej nazwiska. To Lukrecja z rodu Medyceuszy, Lukrecja de Medici, matka Wawrzyńca Medyceusza, którego nazywamy Il Magnifico, Wspaniały. Jej synem był także Giuliano de Medici, zasztyletowany cztery lata temu podczas wielkanocnej sumy w duomo.

A zatem hrabia Riario został wreszcie schwyty.

Signora Maria pojawia się z wielką kielbasą i winem, które przynosi w skórzanym bukłaku. Jest pulchną kobietą w średnim wieku. Podobnie jak my wszyscy ma czerwoną twarz. Kielbasa, którą częstuje gościa, jest tak świeża, że czuć ją jeszcze świnia. To mięso

miało być częścią mojego posiłku, ale nie będę żałować tego zbytku signorowi Botticellemu. „Najedz się i znikaj” - życzę mu w duchu.

Maria, usłyszawszy wieści o pojmaniu i straceniu hrabiego Riario, odruchowo zaczyna żegnać się znakiem krzyża, ale zamiera, z palcami tuż nad lewą piersią. To bogobojna kobieta i modliłaby się za duszę najbardziej nawet zatwardziałego złoczyńcy, ale rozumie, że powinna zachować swe modły do chwili, gdy będzie już sama na górze. We Florencji okazywanie żalu po śmierci niewłaściwej osoby może okazać się niebezpieczne. Żołnierze wciąż jeszcze co jakiś czas przeciągają martwe ciała po ulicach, choć ostatnio, grazie a Dio, nie spotkało to nikogo znajomego.

Signora Maria wypada z warsztatu, mamrocząc pod nosem coś o niedopieczonym pieczywie.

Maestro Orazio spluwa pod nogi, starając się tym gestem zamaskować nieostrożny postępek swej żony.

- I krzyżyk mu na drogę - rzuca. - Dla takiego zdrajcy jak on, śmierć to i tak zbyt łagodna kara.

- W rzeczy samej - przytakuje signor Botticelli. - Moja pani mecenas wciąż jeszcze nosi żałobę po swym zamordowanym synu, choć złożyła go do zimnej ziemi już cztery lata temu.

- Być może teraz jej brzemień okaże się nieco lżejszym do dźwignia - zauważa maestro Orazio, jednocześnie nerwowo ocierając dłonie o fartuch.

- Możliwe - zgadza się signor Botticelli. - Pani jest zdania, że to ostatni z bandytów odpowiedzialnych za spisek. Przekonała nawet Il Magnifico, by dał już tej sprawie spokój i przestał ścigać Pazzich. To dobrze. Winni nie żyją lub zostali uwięzieni. Nie stanowią już dla Medyceuszy żadnego zagrożenia.

Mówiąc to wszystko, signor Botticelli nawet nie spogląda w moją stronę. Najmniejszym znakiem nie zdradza, że mnie rozpoznał.

A jednak te słowa świadczą o czymś przeciwnym. Od jak dawna wie?

Raz jeszcze patrzę na klucz i sztylet. To jedyne metalowe przedmioty, jakie ma przy sobie i oba wyszły spod mojej ręki. Czy to możliwe, by szpiegował mnie przez cały ten czas? Nie. To niedorzeczne. Strach sprawia, że moja wyobraźnia zaczyna pracować aż nazbyt intensywnie.

- Basta - odzywa się signor Botticelli i upija długi łyk ciężkiego, pełnego osadu wina signory Marii. Trunki od zawsze pociągały go trochę za bardzo. - Dość tych wiadomości. Przejdźmy do zlecenia. Potrzebny mi jest pierścień. Rozmiar znasz. Moja pani mecenas byłaby szczęśliwa, widząc na wieczku wizerunek gołębicy. Gołębica powinna zostać

wykonana za pomocą inkrustacji drogim kamieniem.

Mój pan kiwa głową ze zrozumieniem. To nasza specjalność. Od dawna wykonujemy pierścienie ze schowkami. Umiem umieszczać maleńkie zawiasy w taki sposób, by były zupełnie niewidoczne, a jednocześnie działały bez zarzutu i otwierały się zawsze, nawet w pośpiechu - na przykład wtedy, gdy zawartość schowka trzeba wsypać komuś niepostrzeżenie do miski z zupą.

Signor Botticelli dobywa spomiędzy fałd swego płaszcza niewielką, skórzaną sakiewkę i wręcza ją maestro Orazio. Kiedy woreczek przechodzi z ręki do ręki, odzywa się dźwięcznie, niczym stosik rozsypujących się monet. W zasadzie niczym duży stos.

- Pani zależy na czasie. Pierścień dostarczycie do mnie, nie do niej. Za tydzień, licząc od niedzieli. W południe, w mojej pracowni.

- Pańska pani mecenas jest kobietą niezwyklej hojności - mówi mój pan, nie przeliczywszy nawet zawartości sakiewki, choć wiem, jak bardzo go korci, by to zrobić. - Możesz, panie, być pewien jakości mojej pracy i dyskrecji.

- Wiem, że mogę - odpowiada signor Botticelli, biorąc jeszcze jeden haust wina. Podnosi się z miejsca.

Po czym, ku memu przerażeniu, wymierza palcem prosto we mnie.

- Ten tam, ten młodzik - odzywa się. - Wygląda na takiego, co umie trzymać język za zębami. Przyślesz mi pierścień przez niego.

- Przez Emilia? To bardzo ponure chłopię. Ale ma pan zupełną rację. Jest powściągliwy i w najwyższym stopniu dyskretny. Osobiście za niego ręczę - maestro Orazio udaje swobodę i wesołość, ale jego słowa, podobnie jak i uśmiech, pełne są napięcia.

Signor Botticelli zatrzymuje się w otwartych drzwiach. Zarzuca płaszcz na ramiona. Czuję, jak wieje wiatr, który zagania nad nasze miasto tak tu potrzebne, czyste i rześkie powietrze ze wzgórz.

- Nie zapomnij - powtarza raz jeszcze, jednocześnie mierząc mnie niewzruszonym spojrzeniem. - Następną niedzielą. W południe.

Gdy wreszcie wychodzi, pozwalam sobie odetchnąć głęboko świeżym powietrzem. Czy naprawdę poczułam zapach rozmarynu?

„Emilio”. A signor Botticelli nazwał mnie „młodzikiem”. Tak naprawdę nie jestem ani Emiliem, ani młodzikiem. Moja maskarada ostatnio staje się coraz trudniejsza. Przez jakiś czas udawało mi się skrywać kształty pod wieloma warstwami stroju, ale od chwili, gdy zbyt luźny rękaw zajął się od ognia, trzeba było pomyśleć o czymś innym. Teraz najczęściej po prostu kulę się za jakimś dużym sprzętem. Na przykład za tym kowadłem.

Odkładam gorący pierścień na bok i przyglądam się swym rękóm. Są czarne. Pod warstwą ciemnej sadzy widać czerwień, jakiej skóra nabiera od bezustannego żaru; spod czerwieni przebija biel, delikatna siateczka blizn, które z wnętrza moich dłoni czynią prawdziwy gobelin. Wiem, że nie powinno tak być, ale bardzo mi się to podoba. Trzy warstwy, jedna na drugiej, każda inna. Ciekawe, co można by ujrzeć, gdyby rozciąć mnie aż do serca?

Wraz z wonią świeżego powietrza przyplływają ku mnie liczne wspomnienia. Był kiedyś taki czas, gdy moje ręce, podobnie jak moje życie, składały się tylko z jednej warstwy. Pamiętam pojedynki z Emiliem - z tym prawdziwym Emiliem - na dziedzińcu pałacu mojego ojca. Pamiętam, jak moja nonna siedziała w rodzinnej kuchni i przy miękkim świetle płomieni z paleniska obierała pomarańczę. Długie włosy barwy popiołu spływały swobodnie spod jej czepka.

Teraz, na powrót w pracowni, przecieram twarz dłońmi. Nieoczekiwanie robi mi się słabo. Trzeba mi było wiedzieć, że jeśli pozwala się sobie na dobre wspomnienia, to zaraz za nimi wcisną się do głowy i te złe: ostry zapach migdałów, odgłos ceramicznego dzbana, roztrzaskującego się na posadzce i widok mojej siostry Domeniki, biegnącej przez dom, wydzierającej sobie włosy z głowy i zawodzącej: „Teraz już nigdy nie będziemy mogły wyjść za mąż!” Pamiętam to dobrze. Nie była w stanie, biedaczka, wyobrazić sobie niczego gorszego. Do mnie jednak już wtedy docierało, że to, co się właśnie wydarzyło, i to, co miało jeszcze nas wszystkich spotkać, będzie o wiele, wiele gorsze.

Maestro Orazio zamyka drzwi i zapach znika. Wraz z nim odchodzą wspomnienia. W warsztacie pozostaje jedynie woń ognia i dymu.

Powtarzam sobie, że tak jest lepiej. Że to dobrze, iż siedzę tu - w tej gorącej celi, z której nigdy już nie wyjdę, i nigdy już nie podniosę głowy. Jest zbyt późno na wszystko. Przyszły kształt życia został już na mym losie wryty niczym ornament na biżuterii, równie głęboko jak blizny na mojej skórze.

Gdy wkładam pierścień na powrót do ognia, odwracam się ku oknu i pozwalam sobie wyjrzeć na zewnątrz.

Przez chwilę, przez jedną krótką chwilę, wydawało mi się, że nadchodzi wiosna.

Rozdział 1

Kiedy fortuna mojego rodu wzburzyła się jak nurt rzeki Arno, był początek roku 1478. Ci, którzy wciąż jeszcze mówią o rebelii kwietniowej, podkreślają, jak nagle i nieoczekiwanie wybuchła. Wspominają, jak to nikt nie miał pojęcia, że w naszym mieście, w którym zawsze tak pięknie kwitną kwiaty, sprawy niepostrzeżenie zmierzały w niepomyślnym kierunku. Według mnie jednak pewne przesłanki, drobne wskazówki istniały już wcześniej. Tymi, którzy ich nie widzieli, byli ludzie podobni Il Magnifico. Ci, którzy słuchają chętnie tylko dobrych wiadomości i nigdy nie dostrzegają zbierających się dokoła cieni, póki nie jest za późno.

A ja? Moim oczom ciemne chmury ukazywały się wyraźnie. Tak mi się przynajmniej wówczas wydawało. Ale czym tak naprawdę były? Luźnymi, oderwanymi półsłówkami szeptanymi i zasłyszanymi przez na wpół uchylone drzwi, wypowiedzianymi przez mężczyzn w ciemnych płaszczach.

Na całym świecie była tylko jedna osoba, która próbowała, i to naprawdę usilnie, otworzyć moje oczy na to, co dzieje się dokoła.

- Myślisz, że to jakaś zabawa? - powiedział pewnego razu, gdy staliśmy na dachu. - Patrz. Słuchaj. Codziennie pod twoimi oknami przechodzą ludzie, których życie składa się z ciężkiej harówki bez chwili wytchnienia. Mieszkasz dwie ulice od więzienia Bargello, ale nie słyszysz krzyków ludzi, którzy już zapomnieli, że na świecie istnieje piękno.

I patrzyłam. Ale nie dostrzegałam niczego. I właśnie przez to nie różnię się niczym od pozostałych członków swego klanu. Z pewnością nie jestem od nich lepsza. Może nawet wręcz przeciwnie. Bo co się stało z chłopcem, który próbował otworzyć mi oczy? Z moim ukochanym - teraz wiem to na pewno - z miłością mego życia? Nie żyje. Zostało po nim tylko zgniłe czarne mięso i kości. I to ja go zabiłam.

Był rok pański 1478. Nazywałam się Lorenza Pazzi, ale wszyscy wołali na mnie Flora. Miałam jedenaścioro braci i sióstr. Byłam najmłodszą z córek w rodzie mego ojca.

A teraz nadeszły czasy, kiedy wydaje mi się, że jestem po prostu ostatnią z jego rodu.

- Jesteś pewna, Floro? Mamy dwadzieścia dwa diamenty, a nie dwadzieścia trzy? - spytał

Andrea, mój brat. Staliśmy na dziedzińcu palazzo ojca. Było ciepło, wiosenne popołudnie - pierwsze takie w tym roku. Klęczałam, spulchniając ziemię wokół różnych krzewów, by ich delikatne korzenie mogły lepiej oddychać.

Andrea siedział przy szemrzącej fontannie. Na kolanach trzymał otwartą księgę rachunkową. Cały ranek spędziliśmy, sporządzając listę przedmiotów w banku mojego ojca - perły i jedwabie z Orientu; złote zastawy stołowe od książąt, którzy gust mieli doskonały, lecz zupełnie pozbawieni byli rozumu; starożytne, marmurowe posągi przedstawiające dawno zapomnianych bogów.

- Tak, Andrea. Jestem pewna - odpowiadam, przesiewając palcami tłustą ziemię. Dokoła mnie rozlewa się morze mchów Miękkie i puszyste jak futro - doskonałe antidotum na siedzenie w zamknięciu dusznej komnaty i przeliczanie drogich kamieni i zatęchłych gobelinów.

Andrea pokręcił głową i zamknął księgę.

- No dobrze - stwierdził. - Skoro mówisz, że dwadzieścia dwa, to są dwadzieścia dwa. Wniosek może być tylko jeden. Francesco nas okrada.

- Co takiego? - Francesco był najlepszym z pracowników mojego ojca, kimś, kto awansował ze stanowiska zarządcy naszych interesów w Genui, gdzie odpowiadał za handel jedwabiem. Był najuczciwszym człowiekiem na świecie. Rzędy cyfr pożerał z takim smakiem, z jakim inni delectowali się najprzedniejszymi daniami suto doprawionymi rozmarynem. Byłam pewna, że nawet przez myśl by mu nie przeszło, żeby skraść nam jeden mały diament. Mały i na dodatek ze skazą.

Byłam tego tak bardzo pewna, ponieważ zaginiony kamień spoczywał bezpiecznie ukryty w moim rękawie. To ja go ukradłam, choć nie powiedziałam Andrei ani słowa.

- To na pewno Francesco. Nie ma innej możliwości.

- I co w tej sprawie postanowisz? - spytałam, starając się zachować spokój.

- Będziemy musieli go zwolnić - wzruszył ramionami.

- Per favore, Andrea. Pozwól mu zostać. Francesco to dobry człowiek. Na pewno jest jakieś inne wytłumaczenie.

Mój brat raz jeszcze otworzył i zamknął księgę rachunkową, po czym wstał z miejsca. Nie mogłam nie zauważyć, że wygląda nieco niechlujnie. Miał na sobie aksamitną bluzę, ale barwy na niej zdążyły wyblaknąć; na nogach nosił pończochy, które cerowano już tak wiele razy, iż wyglądały na utkane przez stado wielkich pajaków.

Andrea był człowiekiem kierującym się w życiu logiką i rozumem. Aż do zeszłej zimy studiował na uniwersytecie w Pizie, gdzie specjalizował się w martwych językach i zrzucaniu

przedmiotów z krzywej wieży, by przekonać się, z jaką prędkością będą spadać. Potem jednak papa wezwał go z powrotem, do pomocy w prowadzeniu rodzinnego interesu. Podejrzewam, że sposób bycia i ubierania się Andrei podobał się ojcu tak samo jak mnie. Rozmawiając z Andrea, bardzo rzadko zastanawiałam się, co takiego brat myśli sobie naprawdę, jak zwykłam czynić w stosunku do innych członków mojej rodziny i dworzan.

- Bene - westchnął. - Nie podam papie jego imienia. Ale Floro, tak dłużej być nie może. Teraz, przy tych narzuconych przez Medyceuszy podatkach, musimy liczyć się z każdym florenem.

To powiedziawszy, poszedł na górę do gabinetu ojca. Przeżegnałam się i podziękowałam Bogu za to, że choć trafiłam w sam środek tego gniazda skąpców, obdarzył mnie przynajmniej jednym porządnym krewnym. Dwoma, jeśli liczyć nonnę. A cała reszta? Moje najstarsze siostry powychodziły za mąż, zanim jeszcze skończyłam czternaście lat. Ich mężami zostali przeważnie kupcy, którzy chętnie wymieniali swoje pieniądze na nasze nazwisko. A moje kochane siostrzyczki wydawały się im wystarczająco urocze i potulne - co trwało oczywiście tylko do chwili, w której poznawali je choć trochę lepiej. Od zawsze przypominały mi te mityczne stworzenia, które pięknymi pieśniami kusiły nieświadomych zagrożenia żeglarzy, po to tylko, by nieszczęśnicy roztrzaskali swe statki na ostrych skalach.

A moi bracia? Przebiegłe ropuchy! Co do jednego. Nawet Antonio i Lionardo, którzy przyjęli święcenia i prowadzili teraz diecezje w San Gimignano i Perugii. Także i ich oczy były stale chciwie przymrużone. Obserwowałam ich wszystkich, jak paradnym krokiem przemierzali dziedziniec i pięli się w górę po schodach, do gabinetu ojca, z rozbieganym wzrokiem, wciąż zbyt dokładnie omiatającym bogactwo papy - ich spadek.

Nie byłam z nimi zbyt blisko związana. Wyprowadzili się z domu jeszcze przed moimi czternastymi urodzinami. Została nas więc tylko czwórka: Renato - mój najstarszy brat, Domenica, starsza siostra, a zarazem największa piękność w rodzie, no i Andrea.

A jakie było w tym klanie moje miejsce? Nie byłam ani tak piękna jak Domenica, ani tak wyćwiczona w rozdawaniu pochlebstw jak Renato, ani tak uczona jak mój brat Andrea. Wszyscy oni mieli swoją sprezzatura, swoje przychodzące bez trudu mistrzostwo. Ja nie byłam dobra w niczym. Byłam po prostu Florą. Żyłam po to, by pomagać rosnąć innym bożym stworzeniom.

Andrea zniknął, a ja zostałam w ogrodzie sama, zajęta opieką nad kolczastymi pędami. Głównym wejściem wszedł jakiś młodzik z gwardii przybocznej mojego ojca. Przyniósł list.

Miał na sobie bluzę z wyhaftowanym herbem naszego rodu - delfinem Pazzich. Strój leżał na nim bardzo źle. Miałam wrażenie, że pod zdobną bluzą nie kryje się nic, tylko jakieś suche gałęzie.

- Przepraszam najmocniej, signorina - odezwał się z głębokim ukłonem. Rozejrzałam się wokół, w poszukiwaniu Domeniki. Zachowywał się tak dwornie, że z pewnością zwracał się do niej. Ale byliśmy sami. To na pewno nowy. Reszta gwardzistów nie bawiła się ze mną w takie wyrafinowane formy. Zazwyczaj mówili po prostu: „Hej, Floro, oddaj ten list swojemu ojcu”. Albo, znacznie częściej, ze znaczącym błyskiem w oku: „Przełącz ten liścik swojej siostrze”.

Patykowaty chłopak wyglądał bardzo niezdrowo. Miał zapadnięte policzki i oczy podkrążone czarnogranatowymi, zsiniałymi obwódkami. Dokoła aksamitnego mazzochio na jego głowie brzęczały muchy. Nakrycie głowy trzymało się jego włosów niepewnie, wyglądało tak, jakby miało się za moment rozwiązać. Brzuch młodzieńca był rozdęty w taki sposób, jakby jego posiadacz był najpierw bardzo głodny, a potem szybko zjadł zbyt obfity posiłek. Zawsze uważnie słuchałam tego, co moja nonna mówi o waporach i humorach, więc bez problemu stwierdziłam, co nie tak. Zjadł kwaśny, mączysty, czarny chleb naszej kucharki.

- Jak chcesz, to możesz tu zwymiotować - powiedziałam, wskazując na donicę, w której rosło drzewko pomarańczy.

Uniósł głowę i po raz pierwszy spojrzął mi prosto w oczy, jakby chciał sprawdzić, czy nie żartuję. Chwilę potem upuścił list na ziemię, przebiegł przez dziedziniec i zwrócił zawartość żołądka prosto do delikatnego, białego naczynia.

Poverino. Wstrząsało nim nawet, gdy nie miał już niczego w trzewiach.

Podniosłam porzucony przez młodego gwardzistę list. Widniało na nim, wypisane starannymi złotymi literami, nazwisko papy - Jacopo Pazzi. Odwróciłam kopertę i przyjrzałam się pieczęci. Starannie odbity w krwawoczerwonym wosku widniał na niej herb samego Il Papa, Sykstusa IV. Do mojego ojca napisał papież.

- To list dla signora Jacopo - oznajmił chłopak. - Kobieta nie powinna go otwierać.

- Wszystko w porządku. Ja nie jestem normalną kobietą. Idę do klasztoru.

- Och - jęknął z wyraźną ulgą. - Powiedziano mi, że jedna z córek będzie na dziedzińcu, więc założyłem...

- Że jestem tą ładniejszą?

Skinął głową bez słowa.

Spodobał mi się ten chłopak. Potrafił się zdobyć na uczciwość, mimo że czuł się bardzo źle.

- Co ci wiadomo na temat Marco Polo? - spytałam.

Wyglądał na równie zbitego z pantałyku moim pytaniem, jak zmieszana byłam nim ja sama. Jak to się stało, że to powiedziałam? Jak dotąd jedynym jego wyczynem było zwymiotowanie pod pomarańczą, a ja już wciskałam mu w dłoń swoje marzenia.

Młodziak przyjrzał mi się przeciągłym spojrzeniem, badawczo.

- Niezbyt wiele - przyznał po dłuższej chwili. - Wiem tylko, że kiedy wrócił ze swoich podróży, na początku nikt nie chciał mu uwierzyć. Powiadają, że stanął na ołtarzu w Bazylice Świętego Marka w Wenecji, rozciął sztyletem swoje szaty i wypadł z nich królewski skarb. Same drogocenne kamienie.

Ten chłopak jeszcze tego nie wiedział, ale powiedział dokładnie to, co powinien. Właśnie takie marzenia kryłam przed Andrea, wraz z diamentem ze skazą, który schowałam w rękawie. Mamma mówiła, że jestem zbyt prosta, by wydać mnie za męża, więc przekazała przygotowany dla mnie posag klasztorowi Najświętszej Panienki z Fiesole. Nie chciałam tam iść. Nie podobała mi się myśl, że resztę życia spędzę w zamknięciu, marszcząc się i ślepnąc od cerowania cudzej bielizny przy mdłym świetle świec. Jedynie łaska boża i interwencja mojej ukochanej nonny sprawiły, że jeszcze się tam nie znalazłam. Ale babcia była już stara, a nikt nie jest wieczny, bez względu na to, jak bardzo zyczyłabym sobie, by było inaczej. Dobrze wiedziałam, że pewnego dnia zostawi mnie samą. Postanowiłam więc z pełną mocą, że kiedy ten dzień nadejdzie, stanie się dla mnie początkiem. Początkiem mojego działania. Zaplanowałam, że zabiorę wszystkie skradzione klejnoty i opłacę nimi podróż do Wenecji, gdzie z kolei wykupię miejsce na statku płynącym do Ziemi Świętej, w której stanę do walki z niewiernymi i uratuję od niechybnej zguby kości jakiegoś świętego męża. Stamtąd z kolei przejadę wierzchem na wielbłądzie przez góry i wypiję herbatkę z chińskim arystokratą o wąsach tak długich, że zamiatających ziemię. A kiedy wrócę, stanę w naszej duomo podczas mszy przy ołtarzu. Rozetnę swoje szaty, jak to zrobił Marco Polo i powiem: „Widzisz, papo? Czy tyle ci wystarczy? Czy teraz mnie pokochasz?”.

A on wtedy obejmie mnie i przytuli na oczach całego miasta. Powie mi, że mnie kocha i od zawsze wiedział, jak wiele jestem warta. I nigdy już nie będę musiała pielić żadnych grządek.

- Jak się nazywasz? - spytałam stojącego przede mną młodzika.

Popatrzył na mnie uprzejmie i przez jego twarz przebiegł cień uśmiechu.

- Emilio - odpowiedział.

- A zatem, Emilio, ja jestem Flora. Zaprowadzę cię do gabinetu mojego ojca, a potem pójdziesz ze mną do kuchni, gdzie dostaniesz coś porządnego do jedzenia. Nie będzie to ten

czarny chleb, którym was karmią w koszarach. Widziałam, co kucharka dodaje do ciasta. Szczurze kupy.

Otworzyłam usta, wsunęłam w nie dwa palce i wydałam z siebie dźwięki nudności.

O ile na wpół uśmiechnięty Emilio wyglądał interesująco, to jego szeroki uśmiech rozgrzał mnie jak słońce. Spodobały mi się nawet jego dwa krzywe zęby na przedzie.

- A co mam zrobić z tą pomarańczą? - spytał.

- Nic - odparłam. - Siostra to z pewnością jakoś zniesie.

Nie mam pojęcia, czemu powiedziałam „siostra”. W końcu to był mój ogród. Ale z jakiegoś powodu, kiedy pomyślałam o wymiocinach w delikatnej, białej wazie, przyszła mi na myśl Domenica.

Rozdział 2

W naszym palazzo znajdowały się specjalne pomieszczenia służące po kolei: do gotowania, spania, kąpieli, czytania, do skubania drobiu i do modlitwy. Każda z tych komnat wydawała mi się bardziej zagracona niż udekorowana. Nie było kąta, w którym nie stałoby czyjeś popiersie, nie było ani jednej ściany wolnej od obrazu bądź gobelinu. Mamma powtarzała, że skoro Medyceusze są na tyle mądrzy, by opiekować się artystami, to i my musimy czynić tak samo, gdyż inaczej wyszlibyśmy na ród prostaków. Zawsze robiliśmy wszystko to, co robili Medyceusze.

Poprowadziłam Emilia po marmurowych schodach do piano nobile - na piętro, na którym tętniło serce domu. Schody przywiodły nas bezpośrednio do wielkiej sali, gdzie członkowie mojej rodziny i ich poddani spożywali wieczorny posiłek przy olbrzymim stole w kształcie podkowy. Mnie rzadko zapraszano, bym z nimi usiadła. Mamma powiadała, że dla dobrego towarzystwa jestem zbyt prosta i że dużo lepiej będzie, jeśli przysporzę honoru rodzinie, podając do stołu, a potem jedząc w kuchni, w której miało być mi „wygodniej”.

Czasami, kiedy mamma nie słyszała, nazywałam ją dziwką.

Dziś jednak Emilio szedł dwa kroki za mną, przez galerię Madonn prosto do biblioteki ojca. Poverino chwiał się na nogach tak mocno, że bałam się, czy aby nie upadnie. Jego oczy wydawały się wirować, gdy rozglądał się dokoła, po tych spoczywających na tronach dziewicach, wciśniętych w długą, wąską przestrzeń korytarza. Nie zrozumcie mnie źle - obrazy i rzeźby były bardzo piękne, ale nie wtedy, gdy oglądało się ich zbyt wiele naraz. Mnie samej kręciło się od ich natłoku w głowie, mogę sobie więc wyobrazić, jak poczuł się Emilio.

Na końcu galerii Madonn widniały lekko otwarte drzwi do biblioteki. Zatrzymaliśmy się w progu, skąd widać było pół pomieszczenia. Cofnęłam się i gestem poprosiłam Emilia, by przeszedł obok mnie. W podglądaniu przez uchylone drzwi byłam naprawdę dobra.

Ojciec był w środku i przechadzał się. Jego miękkie, skórzane buty cicho stąpały po marmurze z Carrary.

Matka, która rozmawiała z nim na osobności, robiła z kolei wiele hałasu. Zauważyłam rąbek jej bogatej, czarno-brązowej sukni. Matka przechodziła z miejsca na miejsce. Mówiła wysokim, piskliwym głosem, który przewiercał moją głowę na wylot.

Odwrociłam się ku chłopakowi i złożyłam palec na ustach. Nie do końca szpiegowaliśmy... no, dobrze, szpiegowaliśmy. Ale przez otwarte drzwi. Bóg z pewnością nam to wybaczy.

- Pomyśl tylko, co takie przymierze mogłoby dla nas oznaczać, Jacopo - mówiła matka.

- Ale jedno już zawarliśmy, Maddelena. Mój brat poślubił Medyceuszkę.

- To co innego - ciągnęła mamma. - Guglielmo poślubił tylko córkę Medyceusza. Sam, równie dobrze jak ja, wiesz, że córki nic nie znaczą.

Skrzywiłam się. Mamma mówiła mi codziennie dokładnie to samo swymi spojrzeniami i ostrymi słowami, ale nigdy jeszcze nie słyszałam, by wrzuciła do jednego worka ze mną wszystkie córki świata. A przecież Domenica też była jedną z nich.

Mamma nie przestawała mówić:

- Władza wiąże się z synami. Wawrzyniec stanowiłby lepszą partię. Ale i z Giuliana będzie niezgorszy zięć. A gdyby - Boże uchowaj - cokolwiek złego spotkało Wawrzyńca, twoja córka stałaby się pierwszą damą Florencji.

Giuliano był młodszym bratem Wawrzyńca Medyceusza. Wawrzyniec był już żonaty - wziął sobie pewną Rzymiankę, z którą miał dwóch synów. Giuliano nie mógł się więc spodziewać, że to jemu przypadnie główna część rodzinnej fortuny, ale i tak był zamożny i potężny na tyle, by zadowolić moją matkę.

Ojciec grzmotnął pięścią w stół.

- Medyceusze, Medyceusze, Medyceusze! Dość już mam wysłuchiwania o tych kupczących wełną handlarzach. Za kogo oni się mają? Kiedy ci nuworysze pasali jeszcze owce, moi przodkowie bronili już Ziemi Świętej!

To była typowa tyrada mojego ojca. „Jakim prawem oni są bogatsi ode mnie? Nie są przecież koronowanymi głowami! Nigdy żaden z nich nie był pasowanym rycerzem ani arystokratą, jak my! To zwykli wieśniacy!”

Zwykli wieśniacy, z odpowiednio rozwiniętym talentem do interesów, dzięki któremu sponsorowali teraz samego papieża. Zwykli wieśniacy, którzy władali naszym miastem jak prawdziwi monarchowie. Możliwe, że początki mieli niepozorne, ale po drodze musieli podjąć co najmniej kilka właściwych decyzji.

- Nie twierdzę, że musimy ich polubić, Jacopo - zauważyła mamma. - Ale pomyśl o władzy, jaka przypadłaby nam w udziale. W signoriach otrzymalibyśmy więcej głosów. Musieliby nas zaakceptować, traktować jak równych sobie.

Signoria były radą, w skład której wchodziłi najważniejsi obywatele Florencji. To oni decydowali o sprawach miasta - takich jak podatki, cła, utrzymanie dróg publicznych - w

oparciu o głosowanie prowadzone za pomocą kamieni. Czerwone kamyki oznaczały tak, czarne - nie. Głosowanie odbywało się jawnie na oczach pozostałych ważnych osób. Dawniej bywało, że propozycje mojego ojca spotykały się z samymi czerwonymi kamieniami.

Teraz, aż nazbyt często, odpowiedzią na jego postulaty była czerń.

Usłyszałam westchnienie papy. Potem zobaczyłam, jak siada na krześle. Odniosłam wrażenie, że jest zmęczony, czymś przygnieciony. Poza bezsennością i czarnymi głosami brzemieniem była dla niego moja matka. Wszystkim nam było z nią ciężko.

- No dobrze, Maddeleno - powiedział wreszcie. - Co zatem proponujesz?

- Giuliano obejrzał Domenicę na niedzielnych mszach i uważa ją za nadobną. Musimy zrobić wszystko, co tylko możliwe, by była jeszcze bardziej nadobna. Potrzeba jej więcej sukni i biżuterii i nawet osobistej służki.

- Jeszcze więcej strojów? Po co jej aż tyle? Przecież ma już trzy suknie - przypomniał ojciec.

- Urozmaicenie, Jacopo. Aby kobieta zyskała sobie względy mężczyzny, musi mu się wydawać wieloma kobietami naraz. Pamiętasz jeszcze czas naszych umizgów i zalotów? Na każdą mszę zakładałam wtedy inną suknię. I z tego co pamiętam, to udało mi się zwrócić na siebie twoją uwagę.

- Udało ci się zwrócić moją uwagę na swoje pieniądze - mruknął ojciec.

Mamma mówiła dalej, zupełnie jakby nie dosłyszała przytyku.

- Musimy zlecić któremuś z najlepszych malarzy namalowanie jej portretu i sprezentować go Medyceuszom. Na obrazie powinna wyglądać jeszcze bardziej uroczo niż w rzeczywistości.

Zrozumiałam, dokąd zmierza ta rozmowa. Jęknęłam cicho i przewróciłam oczyma. Emilio spojrział na mnie zmieszany.

Ale mój ojciec także pojął wszystko doskonale.

- Proszę - rzucił błagalnie. - Nie trzeba nam więcej Madonn.

- A czemuż to nie? - odparła pytaniem mamma. - Nasza córka jest bez wątpienia na tyle piękna, by stanąć w szranki z samą Królową Niebieską.

Wstrzymałam oddech. Stojący obok mnie Emilio nakreślił sobie na piersi znak krzyża. Te słowa nie powinny były paść. Śmiertelnicy nie mogą opowiadać podobnych rzeczy, nie ściągając na siebie jednocześnie poważnych konsekwencji.

Po chwili, zaskoczona, że nie zabił nas grom z jasnego nieba, zaczęłam znowu oddychać. Ale teraz bałam się jeszcze bardziej. Swymi słowami matka coś zmieniła. A ja mogłam tylko mieć nadzieję, że nie będziemy musieli za nie zapłacić wszyscy.

Ojciec zaczynał się poddawać.

- Rozumiem, że już masz kogoś upatrzonego? - zapytał.

- Lukrecja de Medici obejmuje swym mecenatem tego malarza nazwiskiem Alessandro Filipepi - to ten, który posługuje się przydomkiem Botticelli. Myślę, że świetnie sobie poradzi z naszym zleceniem.

Mąż Lukrecji, Piotr zwany Podagrykiem, zmarł młodo, więc ponad połowę swego życia przeżyła w roli wdowy. Ale nie wydawało się, by Lukrecji w czymkolwiek to przeszkadzało. Bez niego mogła rozporządzać losem swoich dzieci bez zwracania uwagi na czyjekolwiek zdanie. Jestem pewna, że i moja własna mamma żywiła nadzieję, że pewnego dnia papa zapadnie na coś w rodzaju ciężkiego zapalenia stawów.

W bibliotece rozległo się ciężkie westchnienie ojca.

- Rozumiem, że ten cały Botticelli nie jest tani.

- Umiarkowanie drogi, jak sądzę.

- Dobrze zatem. Rób, co uważasz za słuszne. To nie moja parafia.

Zrozumiałam, że tymi słowy ojciec zakończył rozmowę. Zastukałam do drzwi, jakbyśmy dopiero co nadeszli.

Matka otworzyła drzwi na oścież. Z bliska wyglądała jeszcze bardziej olśniewająco niż z odległości: jej wspaniałe czarne włosy upięte były w ciasny kok alabastrowymi grzebieniami, elegancka suknia zajmowała całą szerokość korytarza. Ale brodawka na środku nosa - ta, której nie można było ukryć przy pomocy żadnej, największej nawet ilości pudru - sprawiała, że jednocześnie wyglądała ordynarnie.

Spojrzała najpierw na mnie, potem zwróciła się do Emilia. Zauważyła moje nieuczesane włosy, przyjrzała się zarumienionym policzkom, bezkształtnemu ubraniu. Potem oceniła Emilia - zbyt obszerny strój, ostry, bijący od niego nieprzyjemny zapach, muchy stale latające wokół jego nakrycia głowy.

- Dlaczego nie jesteś na dworze? - odezwała się do mnie.

- Ten chłopak przyniósł dla papy wiadomość - odparłam. - Nie znał drogi.

- Bene - skwitowała. - Nie traćcie tu czasu. - To powiedziawszy, przesłoniła sobie nos chusteczką i przeszła obok.

Matka i ja nie byłyśmy w dobrej komitywie. Gdybym była Domenicą, nie ograniczyłyby się do odnotowania moich niedoskonałości. Natychmiast by je poprawiła. „Chodźże tu, bambina mia” - powiedziała by z pewnością. - „Włoski masz w nieładzie, a na spódnicy widzę jakąś okropną plamę. Zaraz kogoś zawezwę, żeby pomógł ci się z tym uporać.” Czasem zdarzało mi się, że tęskniłam za podobnym traktowaniem. O wiele częściej jednak cieszyłam

się, kiedy po prostu nie wchodziłyśmy sobie w drogę.

- Czego chcesz, Floro? - zawołał ojciec.

Papa, nawet w zamkniętych pomieszczeniach, nosił na głowie czerwone mazzochio, które do złudzenia przypominało wielką truskawkę. Nie chciał, by ktokolwiek dowiedział się, że pod spodem nie ma już włosów.

- Ten oto młodzieniec przyniósł list do ciebie, papo - powtórzyłam.

Trąciłam Emilia łokciem, by podszedł bliżej. Gdy wyciągał pismo do mojego ojca, trzęsły mu się ręce. Papa odebrał dokument, nawet nie patrząc chłopakowi w twarz.

W chwilę potem zobaczył pieczęć i oczy rozszerzyły mu się w zdumieniu.

- Zostawcie mnie samego - rzucił nagle.

- Będziemy w kuchni, gdybyś chciał przesłać przez Emilia odpowiedź...

Odprawił nas gestem.

- W kuchni, papo - powtórzyłam, gdy wychodziliśmy i zamykałam drzwi. Chciałam, by kiedy już przeczyta i przemyśli zawartość listu, pamiętał, gdzie należy nas szukać.

Tymczasem Emilio naprawdę chwiał się na nogach. Bardzo potrzebował jedzenia. Zaprowadziłam go do kuchni, do nonny.

Rozdział 3

Teraz docieram do tej części mojej historii, która wzbudza we mnie najgłębszy żal i smutek. Straciłam wszystko - mój ogród, rodzinę, całe swoje życie. Za mamą i papą nie tęsknię wcale. Brakuje mi Andrei, ale on nie był taki jak moja babcia. Drugiego takiego człowieka jak ona po prostu nie było.

Przez pierwsze czternaście lat mojego życia nonna była dla mnie wszystkim. Moim dowódcą, pielęgniarką, rodzicem i kucharką. Bardzo możliwe, że jej widok był najpaskudniejszym, na jaki można było trafić w pałacu - była garbata, bezzębna i zrzędliva jak turecki pasza - ale sposób, w jaki otaczała wszystko swoją troską, jak dbała o wygodę każdego domownika, sprawiał, że była równocześnie piękna.

I teraz, raz jeszcze schodzę po schodach wprost do jej królestwa. Raz jeszcze dolatuje mnie bogaty, gęsty aromat szałwii, gęstego, esencjonalnego rosolu i posmarowanego miodem chleba. Raz jeszcze mam wrażenie, że życie może być jedną, kompletną całością.

Przekraczam progi pamięci i widzę ją. W prostej, czarnej sukni, z samotnym, długim i siwym warkoczem wijącym się po plecach... Ten warkocz poruszał się jakimś własnym życiem, jakby wciąż miał ochotę kogoś lub coś smagnąć. Widzę pierścień z symbolem czarnego psa, który nosiła na dużym palcu prawej dłoni - pierścień wykonany ze złota i onyksu, który nawet w tej chwili mam na szyi, zawieszony na wykutym ze srebra łańcuszku. To pamiątka, która bezustannie przypomina mi, że jestem więźniem żalu i wyrzutów sumienia. Nonna kochała mnie wystarczająco mocno, by wyrzec się dla mnie wszystkiego. A ja - mimo że też ją kochałam, uważałam, że ona jest mi w pewien sposób należna. Dla mnie była po prostu jednym z elementów wyposażenia naszego domu. Zupełnie jak ten czarny imbryk, który posapywał nad ogniem tuż za nią.

Tego ranka babcia była bardzo zapracowana. Kiedy weszliśmy, wprawnymi kłaśnięciami rąk nadawała właśnie właściwy kształt bochenkowi chleba.

- O jesteś, leniwa dziewczyno - powiedziała, gdy tylko mnie zobaczyła. - Nie słyszałaś, jak cię wołałam? Chodź i umyj ręce. Wymasuj ciasto, a ja tymczasem dokończę zupę.

Za nią stała Graziella, kuchenna posługaczka i dwie contadine, wiążące czosnek w długie warkocze. Graziella zajęta była odrąbywaniem głów leżącym na stosie martwym królikom. Ciach! Ciach! Nigdy nie ufałam tej dziewczusze. Ciach! Ciach! Wymachiwanie tasakiem

sprawiało jej stanowczo zbyt wiele przyjemności.

Przed kuchnią stała ławka, na której siedzieli pacjenci nonny. Babcia była bowiem uzdrowicielką co się zowie. Niektórzy nawet przebąkiwali, że była stregą, czyli czarownicą. Bez względu jednak na to, jak wyglądała prawda, nigdy nie brakowało chętnych do leczenia. Większość przynosiła coś w zamian: rzepę, kaczki, króliki, orzeszki piniowe. Niewielu, bardzo niewielu przychodziło z pustymi rękoma. Nonna nigdy nikogo nie odprawiła.

Tego dnia aż tłoczno było od ludzi, którzy cierpieli wskutek nieumiarkowania. Okres ścisłego postu zbliżał się wielkimi krokami, a większość obywateli miasta podchodziła do czterdziestodniowej wstrzemięźliwości bardzo poważnie. Do tego stopnia poważnie, że w ciągu dni bezpośrednio poprzedzających post, pili tyle czerwonego wina, że znajdowali się w stanie bardziej przypominającym zatrucie, niż upojenie. Babcia odsyłała ich, wręczając każdemu dzbanek wody, w której pływały kwiaty rumianku („Najważniejsza jest w tym leku woda” - powtarzała mi często. - „Nie ma tu żadnych czarów”).

Umyłam ręce i zabrałam się do pracy.

- To jest Emilio - przedstawiłam chłopaka. - Przed chwilą wymiotował w pomarańczę. Czy mogłabyś postawić go na nogi?

Emilio, który wciąż stał obok mnie, mocno nadepnął mi na stopę. W odwecie zdzieliłam go łokciem po żebrach, którym to ciosem niemal powaliłam go na ziemię. Był chudy jak szczapa (szczapa z paskudnym temperamentem).

- Basta! - rzuciła nonna i pociągnęła Emilia ku sobie, by lepiej mu się przyjrzeć w dziennym świetle. - Floro, dość tego.

Była od niego o głowę niższa, ale spojrzała mu prosto w twarz i wytrzeszczyła swoje prawe oko tak, że niemal przypominało lunetę.

- Otwórz usta - rozkazała.

Po skończonych oględzinach, odwróciła się do Grazielli i mocno ją spoliczkowała.

- Co ci mówiłam o używaniu tej starej mąki do pieczenia chleba? Te chłopaki ciężko pracują. Nie trzeba, byśmy ich dodatkowo podtruwały.

- Ale signor Jacopo nakazał ograniczać wydatki. Pomyślałam więc sobie, że po co marnować jedzenie. Te zbiry powinny się cieszyć, że w ogóle coś dostają - odburknęła Graziella.

Emilio gapił się na półkule jej piersi, które wyglądały tak, jakby miały lada chwila wylać się przez dekolt z sukienki. „Nie zwracaj na nie uwagi” - miałam ochotę powiedzieć. - „To leniwa flądra”.

Nonna nie skończyła jeszcze kazania.

- Gdybyś była mądra, to mniej bałabyś się signora Jacopo, a bardziej mnie. A teraz marsz do spiżarni i wyrzuć wszystko, w czym łązi robactwo.

Graziella chyłkiem wyszła z kuchni. Babcia usadziła Emilia na drewnianym krześle obok paleniska i naląła mu kubek zupy.

- Wypij to - zaleciła.

- Ale to gorące, signora...

- Pij!!!

Emilio duszkiem opróżnił naczynie. Staralam się nie roześmiać. Prawdopodobnie parzyło go w gardło. Poverino. Stosowane przez nonnę medykamenty rzadko bywały łagodne.

I właśnie wtedy ze szczytu schodów rozległ się gromki okrzyk ojca.

- Chłopcze!

Mój nowy przyjaciel osuszył usta rękawem i błyskawicznie podniósł się z miejsca.

- Tranquillo - napomniałam go. - Nie ma powodu do pośpiechu.

Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, zobaczyłam, że jego oczy są twarde jak same diamenty.

- Może tobie się nie spieszy - rzucił - ale niektórzy na swój chleb muszą zarabiać.

Z hukiem odstawił pusty kubek na stół i pomknął na górę.

Kiedy już zniknął, nonna jeszcze chwilę patrzyła za nim.

- To dobry chłopak - powiedziała - ale dręczy go coś więcej niż tylko chory żołądek. Być może jakaś niedawna tragedia sprawiła, że jego humory nie znajdują równowagi. Floro? Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Nie słuchałam. Chwyciłam do ręki mokry talerz i ręcznik i zaczęłam teatralnie wycierać, jednocześnie ukradkiem posuwając się, centymetr za centymetrem, ku schodom. Miałam nadzieję, że podsłucham cokolwiek z tego, co papa powie do Emilia. Bardzo chciałam się dowiedzieć, co też napisał ojcu papież.

- Tak! Zawsze słuchasz akurat tego, czego słyszeć nie powinnaś - zachnęła się babcia i wyszła na zewnątrz do swoich pacjentów.

Tymczasem Emilio stał z moim ojcem u szczytu schodów Papa rozmawiał z nim sotto voce, jakby nie chciał, by usłyszał go ktokolwiek inny. Ale ja rozumiałam wszystko bardzo wyraźnie.

- Weźmiesz ten list i pojedziesz do Forli - mówił. - Zrobisz to w pojedynkę i nie zwlekając. Na miejscu dostarczysz ten dokument do rąk własnych hrabiego Riario na jego dworze. Pamiętaj, nie oddasz go nikomu innemu, tylko samemu hrabiemu. Nie wolno ci go

przekazać żadnemu ze strażników czy dworzan i zdecydowanie nie żonie hrabiego.

Zrozumiałeś, co powiedziałem?

- Subito, signore - odpowiedział Emilio i pomknął do stajni.

Nie rozumiałam. Dlaczego papa odpisywał do Forli, a nie do Rzymu? Wiedziałam, że hrabia Riario był mężem siostrzenicy papieża, ale i tak wydawało mi się, że odpowiedź powinna powędrować bezpośrednio do Watykanu.

Rozumiałam oczywiście, że papież nie należy do kręgów mojego ojca. Pod wieloma względami przypominał Medyceuszy - był władcą o niezmiernych możliwościach, który mógł nakładać podatki i prowadzić wojny - ale od innych możliwych różniło go to, że po jego stronie stał Bóg. A więc: jeden niewłaściwy ruch i buch! Tracisz nie tylko swoje ziemskie życie i bogactwa, ale także nieśmiertelną duszę.

Mój ojciec postanowił postąpić ostrożnie i rozważnie. Wysyłając wiadomość hrabiemu Riario, a nie samemu papieżowi, pytał na pewno o radę kogoś, kto znał wewnętrzny krąg zauszników papieża. Jakże mądry i przebiegły był mój papa.

Prawie już opowiedziałam o liście swojej siostrze Domenice, ale zmieniłam zdanie. W porze kolacji, wieczorem tego samego dnia, szłam właśnie przez wielki korytarz. Kiedy mnie nagabnęła, niosłam akurat bażanty wypchane orzechami piniowymi i daktylami. Była odziana w sukienkę z jedwabiu tak delikatnego, że nie szeleścił nawet, gdy się poruszała. Twarz wybieloną miała pastą z koziego mleka i soku cytrynowego. Zamiarem wszystkich tych zabiegów było, by wyglądała jak anioł. W moich oczach jednak o wiele bardziej przypominała coś, co wypełzło po ulewie spod drzewa pomarańczy.

Chwilę temu zabawiała śpiewem nasze towarzystwo. Głos miała cieniutki, ale twarz tak nadobną, że wszyscy męscy goście natychmiast wybacжали jej to jedno, nieznaczne niedociągnięcie.

- Czarująco śpiewałaś - powiedziałam. - Podobała mi się ta piosenka o wstydlivej pastereczce. Mam po niej ochotę trochę podokazywać.

- Ty przynajmniej możesz sobie dokazywać - rzuciła. - Męczy mnie już to, że głaszcze się mnie i podszczypuje jak jakieś zwierzątko domowe. Jeśli signor Turnabuoni jeszcze raz tak namiętnie poklepie mnie po pupie, to przysięgam, wymierzę mu taki policzek, że zatrzyma się dopiero w Mediolanie.

- Och, pozwól mi! - odparłam. - Ja go spoliczkuję!

Domenica uśmiechnęła się wbrew sobie.

- Sostro, jak tylko będę bezpieczna i zamężna, ty będziesz mogła sobie policzkować

każdego, kogo tylko zapragniesz. Ale na razie chciałam cię prosić o przekazanie tego liściku kapitanowi Umberto.

Sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła zamknięty list. Zapieczętowany i nasączony wonnościami tak intensywnie, że miałam wrażenie, że się uduszę.

Zamachała nim przed moimi oczami. Niespiesznie wyciągnęłam rękę.

- No szybciej - syknęła. - Żeby nikt nie zobaczył.

Zrobiłam, co powiedziała.

- Nie podoba mi się to - szepnęłam. - Kapitan Umberto to dobry człowiek. Nie powinnaś stroić sobie z niego żartów w ten sposób.

Domenica zaśmiała się oschle.

- Mówisz jak jakaś contadina, Floro. Nie stroję sobie z niego żartów. Wiele zamężnych kobiet utrzymuje kochanków. Nie rozumiem, czemu miałabym być wyjątkiem.

Odchodząc, pomyślałam, że to nieuczciwe. Życie Domeniki to bezustanna uczta miłości. Czemu mnie nie spada z jej stołu nawet okruszek?

Kapitana Umberto znalazłam przed domem. Asystował naszym gościom wsiadającym i wysiadającym z powozów. Mamma lubiła, by to jego twarz jako pierwszą oglądali po przybyciu wszyscy zaproszeni. Umberto był przystojny. Nie był już mężczyzną pierwszej młodości - twarz i oczy zarysowane miał doświadczeniem, przez co jego oblicze wyglądało jak wykute z marmuru z Carrary. A te oczy! O Madonno! Pełne życia i ciepłe jak ogień w kominku. Zdarzały się dni, kiedy nie mogłam znieść samego jego widoku. Wiedziałam przecież, że Umberto nie jest dla kogoś takiego jak ja.

Wziął liścik, otworzył go przy mnie i na jego twarz wypłynął uśmiech.

- Słyszałem chwilę temu, jak śpiewa twoja siostra - powiedział. - Żałuję, że nie mogę być z nią na górze, w taką noc jak dziś. Młode dziewczęta to nie zwierzęta domowe, które można sobie poklepywać. Jak ona się czuje?

Pomyślałam: jeszcze nigdy nie słyszałam, by ktoś w tak uprzejmy sposób oznajmił, że Domenica nie ma głosu.

Powiedziałam: - Mam wrażenie, że gdybyś sprawił, że signor Turnabuoni wpadnie w kupę łajna, wchodząc do powozu, zyskałbyś sobie jej względy.

Kapitan Umberto uśmiechnął się wesoło.

- To nie powinno mi sprawić żadnych kłopotów. To moczymorda. Ciao, Floro. Do zobaczenia jutro.

Później, tej samej nocy, gdy nasi goście już wyszli, ukarałam się, wychylając ponad balustradą balkonu z mojego pokoju na drugim piętrze i oglądając ich oboje w objęciach przy

fontannie na dziedzińcu. Księżycowa poświata sprawiała, że było jasno jak w dzień. Ogród wypełniała woń jaśminu, który sama zasadziłam wokół kolumn krużganka. Czegóż bym nie oddała, by przeżyć chwilę taką jak ta - siedzieć w zalanym księżycem ogrodzie w ciepłą, wiosenną noc i słyszeć szept przystojnego mężczyzny, który tak czule obejmuje moją twarz i podziwia mnie, jakbym była najprzedniejszym dziełem sztuki.

- Nasza siostra gra w bardzo niebezpieczną grę - usłyszałam czyjś głos.

Andrea. Stał naprzeciwko mnie z kielichem wina w dłoni. Upił łyk. Spoglądał ociężałym wzrokiem, który mógł zwiastować, że zaraz się przewróci. Mój brat - krzywa wieża.

- Andrea? Dlaczego ty jeszcze nie śpisz?

- Mógłbym cię zapytać o to samo - odparł. - Niepokoisz się czymś?

W tamtej chwili byłam bliska wyznania całej historii z diamentami. Nie zrobiłam tego jednak. Tajne schadzki Domeniki stanowiły jawną tajemnicę. Nie chciałam, żeby mój sekret spotkał taki sam los.

- To przez tę zmianę pogody - odpowiedziałam więc. - Nie mogę zasnąć, kiedy jest tak ciepło.

Brat skinął głową i głęboko wciągnął powietrze.

- Powiedz naszej siostrze, że powinna zachowywać się ostrożniej. Nie możemy dopuścić, żeby pracownicy szeptali o niej i kapitanie Umberto.

- Dlaczego? Domenica twierdzi, że wiele zamężnych kobiet utrzymuje przy sobie kochanków.

- Ale niewiele kobiet planuje poślubić Medyceusza. Przed Lukrecją de Medici nie ukryje się nic. Domenica nie może się jej wydawać zwykłą dziewczyną. Musi być doskonała we wszystkim, co robi. Przez cały dzień i całą noc.

Pomyślałam, że takie życie musi być czymś okropnym. Jak to? Nigdy nie ubrudzić sobie rąk? Nigdy nie zjeść za dużo? Gdybym była tak piękna jak moja siostra, zrezygnowałabym z tego już dawno temu i oświadczyłabym wszystkim, że żaden Medyceusz nie jest mi potrzebny do szczęścia. Wystarczyłby jakiś narzeczony z mniejszą fortuną - najchętniej taki, którego mogłabym wcześniej poznać i polubić.

- Skoro tak się tym kłopotujesz - rzuciłam - to co robisz na górze? Nie powinienes być na dziedzińcu? Nie powinienes tego ukrócić?

Andrea westchnął.

- Znam kapitana Umberto. Będzie ją całować. Będzie jej szeptać. Ale nic więcej się nie wydarzy. Domenica pozostanie czysta.

Niezbyt dokładnie zrozumiałam, o czym mówi, ale kojarzyłam, że to coś, co ma jakiś

związek z nocą poślubną. Osobiście wydawało mi się to jakąś męczarnią, ale Andrea powtarzał, że te sprawy są męką jedynie wtedy, kiedy samemu się je tak potraktuje.

- Poza tym - dodał Andrea - wszyscy potrzebujemy takich krótkich chwil wolności. Mam rację, Floro?

Noc była na tyle jasna, że zauważyłam jego mądre, badawcze spojrzenie. A zatem wiedział. Wiedział i czekał, aż sama się przyznam. I niemal właśnie to zrobiłam: kiedy tajemnicę zna tylko jedna osoba, to jest to jedynie zwykła tajemnica, kiedy sekret dzielą dwie osoby, to zamienia się on w spisek. I choć myśl o posiadaniu współspiskowca bardzo mi się podobała, w rezultacie uczyniłam to samo, co zwykle: odbiłam piłeczkę.

- A ty, Andrea? Co robisz w swoich krótkich chwilach wolności?

Andrea jednym, potężnym haustem dopił wino wraz z osadem.

- Moje chwile wolności, Floro, już przebrzmiały. Teraz moje życie sprowadza się wyłącznie do służby.

Jeśli Andrea chciał zabrzmieć przekonująco, to wybitnie mu się to nie udało. Słowa, które opuściły jego usta, zadźwięczały równie pusto, jak pusty był jego wysadzany klejnotami kielich. Byliśmy do siebie podobni - mój brat i ja - każde tęskniło za zupełnie odmiennym życiem. Z tą wszakże różnicą, że podczas gdy ja miałam jeszcze cień nadziei, on nie żywił już żadnej.

Podeszłam bliżej i położyłam dłoń na jego ramieniu.

- Posłuchaj - zaczęłam. - Rano poproszę kapitana Umberto, żeby znalazł dla nas armatnią kulę. A w nocy wrócimy tu i będziesz mógł mi pokazać, jak to się dzieje, że taki ciężki pocisk spada tak samo szybko jak piórko.

Andrea uśmiechnął się do mnie. Rzadki kwiatek w mieście zachwaszczonym tradycją.

- Zbyt pochopnie się wyraziłem, cara mia - powiedział i pocałował mnie w czoło. - Póki będę mieć ciebie, zawsze będę wolny.

Kiedy powiedzieliśmy sobie z Andream dobranoc, wróciłam do pokoju, który dzieliłam z Domenicą. Wyciągnęłam spod poduszki czarną, aksamitną sakiewkę. Przy świetle świecy rozsypałam na łożu jej zawartość. Potem wsunęłam dłoń do rękawa i wyjęłam z niego diament, który zabrałam dziś z banku.

Czternaście małych diamentów, jeden za każdy rok mojego życia. Wystarczająco wiele, bym mogła dotrzeć do Wenecji. Ale czy dość, by opłacić miejsce na okręcie zmierzającym do Ziemi Świętej? Postanowiłam dowiedzieć się od Andrei, jakie są koszty utrzymania

pracownika na jednym ze statków handlowych papy. Oczywiście bardzo subtelnie.

Każdy klejnocik unosiłam do świecy i przyglądałam się wszystkim rysom i bąbelkom. Andrea często powtarzał, że diamenty, jeśli nie są doskonałe, są bezwartościowe, ale doskonałość zawsze wydawała mi się nudna. W moich oczach te kamienie były piękne właśnie z powodu swoich skaz, to ze względu na nie chciałam je mieć.

Włożyłam diamenty na powrót do woreczka i schowałam pod poduszkę. Potem przeliczyłam w myśli wszystko to, co miała moja siostra, a czego ja nigdy mieć nie będę: uroda, małżeństwo, miłość zanego mężczyzny, uznanie i uczucia mammy i papy. Wsunęłam nagie stopy pod chłodne prześcieradła i zdusiłam świecę. Zamknęłam oczy. Mocno, coraz mocniej. Kiedy zacisnęłam je już bardzo silnie, ujrzałam promienie słońca igrające na morskich falach. Zaszumiało morze.

Rozdział 4

Następne trzy dni spędziłam w ogrodzie, który przygotowywałam na nadejście wiosny. Uporządkowałam gałęzie róży wijące się wokół kolumn, oczyściłam fontannę z zimowego osadu. Bardzo brudne zajęcie, ale uwielbiałam to robić.

O zachodzie słońca udałam się na mój balkon na drugim piętrze, schwyciłam się krawędzi dachu i podciągnęłam. Wspięłam się po stromo ułożonych, czerwonych dachówkach i usadowiłam na szczycie, z twarzą zwróconą na północny wschód. Podo mną ulice tętniły od cieszących się karnawałem ludzi wymachujących buklakami pełnymi wina. Na Piazza Santa Croce szykowano się do wyścigów konnych - nie były tak świetne jak te w Sienie, ale również ściągały tłumy gapiów. Z miejsca, w którym siedziałam, ludzie zmierzający na Santa Croce przypominali wodę przelewającą się w wąskich kanałach. Zauważył mnie jakiś mężczyzna i zawołał, że jeśli pokażę mu piersi, to dostanę naszyjnik ze szklanych paciorków. Jego towarzysz - równie pijany - szepnął mu coś do ucha.

- Przepraszam, Floro! Myślałem, że jesteś dziwką - zawołał pierwszy, a drugi zamachał do mnie ręką.

- Przekaż swojej nonnie, że jutro ją odwiedzimy! Ciao! - i obaj odtoczyli się w dal, śmiejąc się z jakiegoś dowcipu.

Powtarzałam sobie, że po prostu chcę zobaczyć wyścigi. Nie przyszło mi do głowy, że wyglądałam za Emiliem, który przybył trzeciego dnia po swoim wyjeździe. Akurat w chwili, gdy w ogóle o nim nie myślałam.

Pracowałam właśnie na czworakach na dziedzińcu, wrywałam chwasty, które zaczęły zbyt bujnie rosnąć pomiędzy brukowcami. Usłyszałam głośnie stęk, który rozległ się, gdy drzwi do piano nobile stanęły otworem. Pojawił się papa. Poprawiał swoje truskawkowe mazzochio. Za nim wynurzył się Renato, którego palce aż dzwoniły od ciężkich, złotych pierścieni. Na końcu szedł Andrea. Nie zatrzymali się na dziedzińcu, ale poszli prosto ku frontowi palazzo.

- Mamma, co się dzieje?

- Floro, kochanie, na pewno potrzebują cię w kuchni - odpowiedziała chłodno, nie przerywając poprawiania woalki Domeniki.

- Nie słyszałam, żeby mnie nonna wołała - odparłam. - Jeśli nie masz nic przeciwko

temu, to nie będę marnować takiego słońca - dodałam i wróciłam do swoich roślin.

Mamma westchnęła i spojrzała na mnie.

- Nie mam nic przeciwko temu, ale udawaj, że jesteś bezdomna. Jeśli kto zapyta, to zatrudniłszy cię do pracy w ogrodzie. Póki będzie tu hrabia Riario, zwracaj się do mnie signora Pazzi - opuściła woalkę na twarz mojej siostry i obie dołączyły do stojącego przed pałacem ojca.

Riario. A zatem Emilio z pewnością już wrócił. Przyjrzałam się swojemu odbiciu w fontannie. Bezdomna to zdecydowanie dobre określenie. Włosy miałam schowane, ale wokół twarzy wisiało kilka niesfornych, tłustych kosmyków, którym udało się wymknąć. Policzki miałam uwalane ziemią, a moje ręce - o Madonno! - wyglądałam jak contadina.

Ochlapałam sobie buzię wodą i spróbowałam zrobić cokolwiek z włosami. Chciałam na własne oczy zobaczyć gości.

Przed budynkiem pojawiłam się w samą porę, by trafić na pochód, który otwierał Emilio. Za nim jechało kilku konnych i jeden pozłacany powóz. Emilio zeskoczył z siodła i uwiązał wierzchowca do jednego z żelaznych pierścieni, które zostały w tym celu zamontowane w ścianach. Poverino. Tego dnia wyglądał jeszcze bardziej upiornie niż przed podróżą. Ręce trzęsły mu się tak bardzo, że gdy czekał na rozkazy, które nie nadchodziły, splótł je za plecami. Wszyscy członkowie mojej rodziny byli zanadto zajęci człowiekiem, który przyjechał w eleganckim powozie. Zrozumiałam, że musiał to być sam hrabia Riario, siostrzeniec papieża.

Gdy mój ojciec rozpoczął powitanie, wsunęłam do ręki Emilia świeżo zerwaną pomarańczę.

- Proszę, signorina - powiedział, strzelając oczyma w kierunku moich braci. - Nie teraz.

- Jeśli nie chcesz jeść na ich oczach, stań za mną. I tak cię nie zauważą - poradziłam szeptem.

- Jestem żołnierzem, signorina - odparł, unosząc wysoko brodę. - Nie będę się chować za niczyją spódnicą.

Ale nadal trzymałam pomarańczę w wyciągniętej dłoni i wreszcie chwycił ją i skrył się za mną.

Ja tymczasem uważnie przyjrzałam się naszym gościom. I to, co zobaczyłam, zupełnie mi się nie spodobało.

Po pierwsze, wszyscy od stóp do głów, ubrani byli na czarno. Czarne buty, czarne nogawice, czarne bluzy, czarne płaszcze. Jeden z nich wyciągnął sztylet i zaczął dłubać nim sobie w nosie. Wyciągnął ze środka mieszaninę śluzu i krwi, którą zebrał z ostrza palcami i

strząsnął na bruk.

A ich pan? Trudno było uwierzyć, że był czymkolwiek siostrzeńcem. Włosy wyglądające spod jego brązowego mazzochio zaczynały już siwieć. Ale to nie wiek uderzył mnie najbardziej w jego niezwykle, do granic możliwości, napuszonej postaci. Zachowywał się i patrzył jak człowiek, który nie czuje się za nic i przed nikim odpowiedzialny. On także odziany był w czerń: czarna chusta na głowie, czarna aksamitna bluza, ciężki, żelazny krzyż. Ojciec uścisnął mu dłoń i wtedy zauważyłam, że przybysz jest o połowę niższy od nas wszystkich. Pochwycił ramię papy i wyszeptał mu do ucha... fratello mio. Bracie mój. Uśmiechnął się uśmiechem, z którego aż skapywała na ziemię powoli działająca trucizna.

Za mną rozlegały się odgłosy rozdzierania i wyciskania. Odwróciłam się i zobaczyłam, że Emilio zjadł już całą pomarańczę. Całą. Ze skórka. Nie zostawił nic. Sok spływał mu po brodzie. Chwytał krople językiem i palcami.

- Kiedy jadłeś ostatnio cokolwiek? - spytałam przerażona.

- A kiedy stąd wyjechałem?

Zachwiał się i musiałam złapać go za rękę, by nie stracił równowagi. O Madonno! Mój ojciec i Riario najwyraźniej zawiązali spisek, mający na celu zagłodzenie tego biednego dzieciaka.

- Daj spokój z dumą - powiedziałam. - Andrea!

Mamma spojrzała w moją stronę i pokręciła na boki swoją zawoalowaną głowę. Oczekiwała, że zachowam incognito. Trudno. Moja sprawa była o wiele ważniejsza. Całe szczęście, że mój ulubiony brat nie bał się wstydu, tylko przeprosił zebranych i podszedł do mnie.

- O co chodzi, Floro? - spytał pełnym rezerwy, kupieckim tonem.

- Czy mogłabym, za twoim pozwoleniem, zabrać tego młodzika do kuchni? Odbył długą podróż.

Brat strzelił we mnie spojrzeniem, które mówiło „A co ci do tego?”

- Z Forli? Ale to tylko dwa dni drogi.

Dopiero wtedy zobaczył, w jakim stanie jest Emilio i spojrzał łagodniej.

- Droga krótka, ale rzeczywiście wyczerpująca. Wykonałeś zadanie należycie i szybko. Idź teraz i odpocznij, wiedząc, że jesteśmy z twojej służby zadowoleni - skinął lekko głową i wrócił do powitania.

Poprowadziłam Emilia przez dziedziniec, ale nie miałam szansy wypytać go o podróż, ponieważ z kuchni wyszła nonna i podała chłopakowi rękę. Prawie na nią upadł. Nie zaprotestował nawet, ani nie starał się zachowywać pozorów. Przy mnie był żołnierzem, przy

niej małą zabawką.

Tamtej nocy, przy kolacji, Andrea wywołał mnie na stronę.

- Powiedziałem kapitanowi Umberto, że twój nowy luby znakomicie się sprawił. Kapitan zapewnił mnie, że weźmie młodego pod swoje skrzydła i uczyni z niego świetnego żołnierza.

- Dziękuję, Andrea - odparłam.

Spojrzelismy na uczujących zebranych przy stole o kształcie podkowy. Większość skończyła już jeść i teraz w centrum usiadła Domenica i zaczęła śpiewać serenady o miłości i tęsknocie. Perły wplecione w jej jasne włosy rzucały dokoła delikatne tęczę w świetle płomieni.

Ludzie hrabiego Riario trzymali się razem, z dala od reszty. Byłam przyzwyczajona do mężczyzn o ostrych minach, ale przy tych tutaj nawet Medyceusze wydawali się jowialni i przyjaźni.

Andrea musiał być dokładnie tego samego zdania.

- Popatrz na nich tylko - powiedział. - Obsiedli nas jak zaraza.

- Ten jeden wcześniej dłużył sobie w nosie własnym squarcato - rzuciłam i wskazałam palcem.

Andrea nie wydawał się zdziwiony.

- Miej oczy otwarte, Floro. Ty możesz usłyszeć o wiele więcej niż Renato, czy ja. Hrabia Riario w oczywisty sposób stara się polechtać próżność papy. Boję się tego, do czego może zechcieć go nakłonić.

- Bene. Zrobię, jak mówisz. I Andrea... Ten chłopak nie jest moim lubym. Jak dla mnie, zanadto wychudzony.

Andrea się uśmiechnął.

- To długo nie potrwa. Widziałaś, jak się rzucił dziś na kapłona?

Następnego ranka hrabia Riario zadał mi pierwszy cios.

Kiedy o świcie zesłam po schodach do swoich zajęć w ogrodzie, jego typy spod ciemnej gwiazdy były już na dziedzińcu. Przesuwali posągi, rozkopywali grządki z kwiatami i ziołami.

Jeden, szczególnie wielki prostak, stał pochylony nad krzaczkiem rozmarynu i szarpał za gałązki tak mocno, jakby były psującym się zębem.

- Co wy robicie? - krzyknęłam.

Inny z nich, ten z brudem w nosie, przesunął donicę z drzewkiem pomarańczy pod krużganki, gdzie nie docierały życiodajne promienie słońca. Uniósł dwa palce do swej brody i machnął nimi w moją stronę. Gest oznaczał „Spadaj!”.

Wyrwałam mu pomarańczę.

- Odpowiedz mi natychmiast, tępaku! Co się tu wyprawia?

Słowo „tępak” zwróciło jego uwagę. Wyraźnie nie przepadał za wyzwiskami. Po chwili okazało się także, że nie przepadał za tłumaczeniem się przed dziewczętami.

- Mamy swoje rozkazy, signorina - ostatnie słowo rzucił mi w twarz, jakby chciał mnie opluć.

- Kto wam je wydał? - spytałam.

- Ojciec panienki, oczywiście.

Dokoła mężczyźni wrywali i ścinali wszystkie rośliny, nad których wyhodowaniem tak bardzo się trudziłam. Każde szarpnięcie zadane delikatnym pędem i gałązkom boleśnie odczuwałam w głębi trzewi. Miałam wrażenie, że to mnie samą rozdzierają na strzępy.

Mój ojciec? Rozkazał im zrobić coś takiego? Nie wydawało mi się to możliwe.

W tej chwili od frontu nadszedł kapitan Umberto, za którym jak cień sunął Emilio, wyglądający tego ranka nieco bardziej krzepko, choć w tamtym momencie nie zwróciłam na to uwagi.

- Wiedziałeś o tym? - spytałam kapitana. Nie byłam miła.

- Si - przyznał, zawstydzony. - Twój ojciec stwierdził, że jesteśmy żołnierzami, a tymczasem obrastamy tłuszczem. Uznał, że potrzebne jest nam miejsce, gdzie moglibyśmy się ćwiczyć w sztuce wojennej. Nie miałem pojęcia, że to tak będzie wyglądać.

- Świetnie. Chcesz okazać się prawdziwym wojownikiem? To spraw, żeby przestali. Mnie nie słuchają. Ej, ty - zawołałam do giganta, który wciąż jeszcze zmagał się z korzeniami rozmarynu. - Zostaw to. To jest potrzebne.

Także i on wykonał w moją stronę nieuprzejmy gest.

- Przestań, powiedziałam! - chwyciłam go za ramię.

Spróbował uwolnić swoją rękę szarpnięciem, ale nie puściłam. Wtedy pchnął mnie w pierś. Straciłam równowagę, w ostatniej chwili udało mi się uchwycić jego przedramienia - tego, którym trzymał siekierkę - i zatopiłam zęby głęboko w ciele mężczyzny. Poczułam smak potu, brudu, jasnego piwa i głupoty. Żołnierz jęknął i zdzielił mnie mocno otwartą dłonią w nos. Pośliznęłam się w morzu mchów.

A oto i tajemnica, którą chyba nie powinnam się dzielić. Byłam wprawdzie posiniaczona i

wstrząśnięta, ale zadowolona. Podobał mi się stan radosnego podniecenia, w jaki wprawiała mnie możliwość drapania i ranienia. Wstałam i rzuciłam się na niego raz jeszcze. Poczułam, że spełnia się część moich marzeń; przeżywałam prawdziwą przygodę. Walczyłam z niewiernymi.

Powstrzymało mnie dopiero zderzenie z czyimiś nogami.

Jednocześnie Emilio wydał z siebie dziki okrzyk, opuścił nisko głowę i wbił się w mężczyznę, który mnie odepchnął. Siła jego rozpędu rzuciła ich obu wprost w marmurowy posąg Wenus. Trach! Cała trójka znalazła się na ziemi. Jak na takiego chudzielca, Emilio radził sobie zupełnie nieźle.

Podniosłam się, cała w ziemi, mchu i krwi. Ktoś podał mi rękę. Chwyciłam ją.

- Grazie - powiedziałam i spojrzałam na mężczyznę, który mi pomógł. Wyglądał jak beczułka - był niski i okrągły. Skórę miał bladą i gładką, z wyjątkiem niewielkich kurzych łapek wokół oczu. Musiał być już po trzydziestce. Od jego stroju aż biło życiem i energią: jasnopurpurowa bluza przechodziła gładko w imponująco zielone nogawice. W aksamitną czapkę wpiął pióro. Miał piaskowe, jasne włosy i oczy, które zdawały się dostrzegać wszystko dokoła. Skąd on się tu wziął? Przecież z pewnością nie należał do tej bandy zbirów.

- Cała i zdrowa, signorina? - spytał z wdziękiem.

Nie czekając na moją odpowiedź, zwrócił się do mężczyzn, którzy chwilowo przestali demolować mój cały świat.

- Cretin! Co wy najlepszego robicie? Niszczyć coś tak pięknego! Gdyby to był mój dom, kazałbym was batem smagać jak wściekłe kundły. Proszę się nimi nie kłopotać, signorina. Zanim się obejrzysz, wszystko będzie gotowe do pozwania - wydobył mi z włosów kępkę mchu. - Zdaję sobie sprawę, że twoja matka zleciła mi namalować cię jako Madonnę, ale twoja uroda stanowczo nie jest aż tak mistycznie refleksyjna. Być może wybierzemy którąś z postaci z rzymskiej mitologii? Może Wenus rozpałiła by pożądanie w narzeczonym?

Narzeczonym? O czym on mówi?

- Floro! - zawołała mnie babcia. Stała w rogu dziedzińca i tak zaciekle obracała na swym palcu ciężki pierścień, że zaczęłam się bać, iż ozdoba urwie jej rękę i pofrunie na dach.

A tuż obok mnie, twarz mężczyzny w purpurowej bluzie rozjaśniła się na dźwięk mego imienia, niczym tysiąc pochodni.

- Oczywiście - mruknął pod nosem. - Flora.

Emilio podźwignął się z ziemi i stanął wśród kawałków potrzaskanego, marmurowego posągu. Powalony przez niego olbrzym nie wstawał. Nonna położyła dłoń na ramieniu mojego przyjaciela i przyjrzała się jego zadrapaniom i sińcom.

Osuszyła mu wargę rąbkiem fartucha.

- Kiedy będziesz mógł, zajdź do kuchni. Pozszywamy cię. A pan - zwróciła się do kapitana Umberto - czy myśli pan, że uda się powstrzymać te szkodniki od niszczenia kolejnych połączeń pałacu przez następną godzinę? Muszę pomówić ze swoim synem.

- Oczywiście - kapitan Umberto wyprężył pierś. - Oczywiście, signora Cenesta. Ręczę własnym słowem.

- Mam nadzieję, że nie pustym - mruknęłam i żołnierz rzucił mi zaniepokojone spojrzenie. Nie obchodziło mnie to. Wiedziałam przecież, że to on powinien zachowywać się jak bohater, a tymczasem stał bezczynnie, kiedy ludzie hrabiego Riario niszczyli raj, który sama uwiłam z ziemi i kilku roślin. Tego dnia nie był moim bohaterem.

- A co do ciebie - babcia podeszła do mężczyzny w purpurowej bluzie i węchem zbadała jego oddech - widzę, że przynajmniej ty nie jesteś jeszcze pijany.

- Nie rozumiem, o czym pani mówi, signora...

- Nie zadzieraj ze mną, Filipepi - pogroziła mu palcem.

Nie zaskoczyło mnie, że nonna zna tego człowieka. W końcu co drugi mieszkaniec miasta zgłaszał się do niej wcześniej czy później z jakąś dolegliwością.

- Ostatnio znany jestem raczej jako Botticelli, signora Cenesta. Sandro Botticelli.

Botticelli! Oczywiście! Ten malarz, dla którego mamma miała zlecenie. Teraz wreszcie wszystko zrozumiałam. Pomylił mnie z Domenicą. To wyjaśniało, czemu był dla mnie taki miły.

- Jak to? Twoje stare nazwisko już ci nie wystarczało? - rzuciła nonna zrzędlawie. - Ech, biedna twoja mamma. Wnoszę, że gorączka jej ustąpiła?

- W rzeczy samej - odpowiedział z lekkim ukłonem signor Botticelli. - Prosiła, bym pani podziękował za pomarańcze. I za pozwoleniem, chciałem pogratulować pani uroczej wnuczki, signora Cenesta. Widać od razu, że jej uroda...

Babcia zdzieliła mnie ręką w tył głowy.

- Nie wycieraj nosa rękawem. Wyprostuj się! - syknęła, po czym spojrzała na Botticellego. - To nie ta, stupido. Tobie chodzi o tę pustogłowę. Przyślę ci ją na dół. A teraz słuchaj, nie obchodzi mnie, jak bardzo jesteś genialny, jeśli przed wieczorem wyczuję od ciebie choć cień zapachu wina, to wykopię cię stąd tak, że zatrzymasz się u tego cuchnącego złotnika. Rozumiemy się?

Signor Botticelli zgiął się w głębokim ukłonie.

- Do usług, moja pani.

Nonna zmierzyła go świdrującym spojrzeniem.

- Zachowaj swoje okrągłe słówka dla Medyceuszy. Nam tu nie potrzeba takiego wazeliniarstwa. Floro, idziemy. Mamy spotkanie z twoim ojcem.

Gdy odchodziłyśmy, nie spuszczałam wzroku z signora Botticellego, który w swej purpurowej bluzie wciąż stał w ruinach mojego ogrodu. Morze mchów zniknęło; pomarańczowe drzewka zniknęły; rozmaryn był na wpół wyrwany z ziemi. Powinni byli zniszczyć i mnie.

Ujrzałam, jak mężczyzna ostrożnie uratował delikatny pączek ze stosu róż i umieścił go na swym płaszczu. Spodobało mi się, że postanowił ocalić coś małego i najbardziej kruchego, a nie te wielkie, pyszniące się kwiaty. „To właśnie” - pomyślałam sobie - Jest mężczyzna, którego chciałabym poznać.”

Rozdział 5

Powiadają, że ponad sto lat temu, kiedy Brunelleschi przedstawił swój projekt wielkiej kopuły, Kosma Medyceusz (dziadek Il Magnifico) stwierdził, że jest za duża i z pewnością się zapadnie. Zażądał demonstracji. Brunelleschi poprosił o surowe jajko.

- A czy jeśli uda mi się je postawić na jednym z końców, to obdarzysz mnie zaufaniem? - zapytał. Kosma przytaknął.

Wtedy Brunelleschi zgniótł węższy kraniec jajka. Połówka stała doskonale pionowo.

Tego dnia, gdy nonna i ja wpadłyśmy do gabinetu ojca, nie miałam wątpliwości, kto jest architektem mego zniszczenia.

Nad siedzącym przy biurku ojcem pochylał się hrabia Riario. Z tak niewielkiej odległości zauważyłam, że twarz ma poznaczoną głębokimi śladami po ospie. Jego, pozbawione teraz osłony mazzochio, włosy były zupełnie siwe. Przypominał mi jakąś istotę zrodzoną na dalekiej północy - niedźwiedzia albo może raczej wilka. Wyglądał na człowieka, któremu nie sprawiłoby problemu zabicie nawet tuzina jajek - pierwszym mogła być na przykład łysa czaszka mojego ojca.

- Coś ty zrobił z ogrodem Flory? - huknęła nonna.

Stojący w rogu pomieszczenia Renato i Andrea aż podskoczyli.

- Mamo - papa skinął głową. W zawieszonej nad księgą rachunkową dłoni trzymał gęsie pióro. - To nie jest najbardziej fortunny moment. Być może moglibyśmy porozmawiać nieco później...

- Wynocha! - rzuciła babcia. Renato i Andrea czmychnęli bez wahania. Hrabia nie ruszył się z miejsca. - Ty też - dodała.

- Nie ma rzeczy, którą chciałaby pani powiedzieć signorowi Jacopo, a której nie mógłbym usłyszeć i ja. W końcu jesteśmy braćmi - odezwał się głosem niskim i gładkim, przypominającym monotony pomruk.

O Madonno! Ten mężczyzna potrafił omamić! Jego nieskazitelny uśmiech, swoboda, z jaką mówił - prawie mu uwierzyłam. Ale zaraz potem powróciłam myślą do moich krzewów różanych zamienionych w stopy kolczastych gałęzi i skrzywiłam się. To nie był mój wujek. Był dla nas nikim.

- Wynocha! - rozkazała ponownie nonna, po czym powiodła za nim wzrokiem, kiedy

zamykał drzwi. Odezwała się ściszym głosem dopiero wtedy, gdy usłyszała szcęk klamki.

- Schodziłeś dziś rano na dół, Jacopo? Cały dziedziniec obrócili w ruinę!

- Gwardzistom potrzebny jest plac ćwiczebny - odpowiedział.

- I nie mogli się podzielić miejscem z różami Flory? Naprawdę musieli wszystko wykopać?

Papa odłożył pióro na bok i zetknął dłonie opuszkami palców.

- Nie zmienię decyzji - oznajmił. - Potrzebna mi armia.

- Ale po co, Jacopo? Nasi gwardziści zawsze nam wystarczali. Co się zmieniło? Czy grozi nam jakieś niebezpieczeństwo?

- To nie są sprawy, którymi powinny zajmować się kobiety, matko. Tego rodzaju decyzje należą wyłącznie do mnie.

Nonna pogroziła mu palcem.

- Nie zaczynaj mi tu z kobietami, Jacopo. Tym tonem możesz zwracać się do swojej żony, ale nie do własnej matki!

Przez chwilę miałam wrażenie, że papa odpowie równie wściekłym spojrzeniem. Potem jednak zrezygnował z oporu.

- Bene - zaczął. - Signoria uchwałyły nowe prawo. W trosce o zdrowie obywateli. Wojska Medyceuszy mają teraz prawo przeszukiwać dowolne transporty towarów, a także konfiskować je wedle uznania. Pretekstem jest obawa przed kolejną epidemią czarnej śmierci. W zeszłym tygodniu w Wenecji ich ludzie weszli na mój statek, który powrócił z towarami z Orientu. Wierz mi. Nie szukali szczurów. Ich celem są perły i jedwab. Posłałem tam medyka z dwoma najszybszymi kurierami. Miał wydać orzeczenie, że statek i ładunek nie stanowią zagrożenia. Ale kiedy dotarli na miejsce, w ładowniach zostały już tylko szczury.

I nagle zrozumiałam, z jakiego powodu papa chodził ostatnio taki nachmurzony. Medyceusze byli od nas bogatsi dlatego, że kradli naszą własność.

Wyrzałam przez okno na ulice mego pięknego miasta i sylwetkę duomo. Dziś jej wspaniałość nie przynosiła mi pocieszenia. Kopułę zbudowano za pieniądze Medyceuszy. Dziś wszystkie mury niosły echem słowa mojego ojca: Medyceusze. Szczury.

Nonna pogłaskała ciężki pierścień, zupełnie tak, jakby czarny pies z onyksu był prawdziwym, futrzastym zwierzęciem.

- Jacopo, starasz się wydać Domenicę za Giuliano Medyceusza, prawda? A co będzie, jeśli ci się to powiedzie? Wyruszysz na wojnę przeciwko rodzinie własnego dziecka?

Papa westchnął.

- To był pomysł Maddeleny. Jeśli wszystko pójdzie po naszej myśli, to fortuna może się

obrócić. Wtedy mógłbym odesłać Riario do domu. Tak czy inaczej, teraz muszę przedsięwziąć pewne środki zapobiegawcze. Jestem pewien, że to rozumiesz. Nie chcę przejść do historii jako zabójca papieża, ale jeśli nie będę mieć wyjścia, nie zawaham się.

- Zabójca? - syknęłam. Papa nie mówił o wojnie. Mówił o morderstwie. Nie byłam w stanie tego pojąć. Papież jest ziemskim wybrańcem Bożym. Jak to możliwe, by ojciec wpadł w ogóle na podobny pomysł? - Co papież może mieć z tym wszystkim wspólnego? - spytałam na głos.

Nonna wyjaśniła mi to, czego nie powiedział ojciec.

- Zajmując się sprawami ducha, papież prowadzi bardzo wystawne życie rozrywkowe i utrzymuje armię. Żadna z tych rzeczy nie należy do tanich przyjemności. Spodziewam się, że zadłużył się u Il Magnifico na znaczną sumę, mam rację?

Papa przytaknął skinieniem.

- Napisał, że Wawrzyniec nie posłucha głosu rozsądku, i z tego powodu Jego Świątobliwość chętnie ujrzałby u steru Florencji kogoś innego. Kogoś, kto nie będzie zbyt chciwy i nie zapomni o państwie kościelnym.

- I ty masz zostać nowym księciem? - zapytała babcia.

- Jego Świątobliwość uważa, że tak byłoby najlepiej - odparł papa i wyprostował się na krześle, jakby już zasiadał na tronie.

Nonna skinęła ze zrozumieniem głową.

- I w tym celu poprosił cię, byś posłał po kogoś, kto nie boi się uwalać rąk we krwi. Teraz, jeżeli hrabiemu Riario powinie się noga, papież wyprze się związków z całą historią i nadal będzie cieszyć się opinią świętego.

Ojciec nie odezwał się słowem.

- Czy to nie jest dla ciebie zbyt niebezpieczne, papo? Bo jeśli papież wykorzystuje hrabię Riario dlatego, że nie jest mu potrzebny, to przecież ciebie także może w pewnej chwili uznać za zbędnego.

Ojciec pochylił się.

- I dlatego właśnie, Floro, nie możemy zawieść. Albo połączymy się z Medyceuszami, albo ich zniszczymy i zajmiemy ich miejsce. To proste.

Znów wyjrzałam przez okno. Barwy duomo stapiały się z kolorami ulic. Wszystko o tej porze oblewała czerwień, nie pomarańczowa czerwień dachów, ale głębsza, o bardziej purpurowym odcieniu. Takim, jaki przybiera ludzka krew. Przez chwilę - tylko przez chwilę - poczułam, że jeśli nam się poszczęści, to zamienię te mury na mury klasztoru. A jeśli nie, jeśli Domenica nie wyjdzie za Giuliana Medyceusza, to nowymi otaczającymi mnie ścianami

okazały się ściany rodzinnego grobowca.

Nonna wstała z miejsca.

- Jacopo, wypowiem się w tej sprawie tylko raz i potem zamilknę. Wysłuchaj zatem swojej mammy, pieniędzy mamy dość. Skarbce w twoim banku są wypełnione złotem. Galerie w tym domu pełne są obrazów, szafy twojej żony pękają od sukien. Mówisz, że Medyceusze przejęli twój towar w jednym z miast. Więc powiem ci, że przecież są inne, bardziej dyskretne porty, do których możesz transportować swoje dobra. Nie bądź chytry. Nie potrzeba nam jeszcze więcej bogactw.

Papa raz jeszcze spojrzął na leżącą przed sobą księgę i pokręcił głową.

- Naprawdę nie rozumiesz, mammo? Tu nie chodzi o to, co można zyskać. Gra idzie o to, co możemy utracić.

Nonna wzięła mnie za rękę i poprowadziła ku drzwiom. Zatrzymałyśmy się.

- Zrobisz, jak uważasz - powiedziała. - Będę nalegać tylko na jedno, Jacopo. Hrabia Riario jest tu mile widzianym gościem, ale jego ludzie już nie. Będą musieli poszukać sobie innej kwatery. Dziś rano jeden z nich nieomal zamachnął się na twoją córkę siekierką.

Przez moment papa wydawał się przerażony. Dla mnie był to sygnał ostrzegawczy. Ojcowska troska? Może jednak od czasu do czasu poświęcał mi choć myśl.

- Ktoś podniósł rękę na Domenicę? - spytał wtedy ojciec. - Zostaną jakieś blizny, których nie da się ukryć?

Byłam pewna, że nonna go uderzy, ale tak się jednak nie stało. Zamiast tego zgarbiła się tylko bardziej, zupełnie jakby ktoś wrzucił jej na barki zbyt wielki ciężar. Spojrzała mętnie swymi zwykle świdrującymi przenikliwymi oczami. Zdawałam sobie sprawę, że babcia jest stara, ale zawsze wydawała mi się pełna życia - to spoliczkowała jednego, to pacnęła inną. Pomimo wieku posiadała energię dziesięciu innych kobiet. I to młodych. A teraz, po raz pierwszy w życiu, zobaczyłam nonnę zmęczoną.

I co zrobiłam, aby ją pocieszyć? Czy powiedziałam: „Nie przejmuj się babciu, to naprawdę nic takiego; jestem do takiego traktowania przyzwyczajona. Zawsze Domenica skupia na sobie całą ludzką uwagę”?

Nie, nie powiedziałam. Nie zrobiłam tego, ponieważ poczułam się równie zmęczona jak nonna. A może nawet bardziej niż ona, dlatego że ja nigdy nie przestałam mieć nadziei na odmianę losu.

Zresztą może rzeczywiście byłam prostytutką. Tego samego dnia, kiedy zeszliśmy na dół, czekałam, by ojciec po mnie posłał. Czekałam, by mnie zechciał, żeby poprosił mnie o coś, co tylko ja mogłam zrobić. Tęskniłam, by usłyszeć od niego, że zawsze wiedział, ile jestem

naprawdę warta i że jestem zbyt cenna, by odsyłać mnie do klasztoru.

W kuchni przy palenisku siedział Emilio. W skórze jego głowy nadal tkwiły okruchy marmuru. Nonna poprosiła mnie, bym się nim zajęła, a sama ruszyła do czekających na zewnątrz pacjentów.

Kiedy wydobywałam z głowy Emilia kolejny odłamek z posągu, pomyślałam, że być może nadszedł już czas, bym przestała kraść. Pamiętałam spojrzenie babci, które rzuciła ojcu, gdy mówiła, iż mamy już dość bogactwa. Wzięłam sobie tę jej przestrożę do serca. Dotąd przez cały czas miałam wrażenie, że próbuję się po prostu ratować, a w rzeczywistości byłam tak samo chciwa, jak cała reszta mojego rodu. Tak samo zachłanna jak Medyceusze.

Czas już, bym poszła w ślady Andrei i zrezygnowała z tych niewielkich okruchów marzeń, które skrywałam w swej poduszce. Potrzebowała mnie rodzina. I to musiało mi wystarczyć.

Rozdział 6

Tego wieczora, kiedy zajmowałam się w kuchni zmywaniem naczyń, Emilio przyciągnął sobie do spiżarni siennik i gdy się z nim mocował, potężnie huknął głową w wielką, zwisającą pod sufitem soloną szynkę. Jego biedna łepetyna i tak już była nielecho poobijana i owinięta tak gęsto bandażami, że chłopak wyglądał jak jakiś sułtan.

- A to co takiego? - spytałam. - Rozbijasz tu obóz?

- Nonna poprosiła, bym został na jakiś czas - odpowiedział, rozstawiając beczułki z czerwonym winem i marynowaną rzepą. - Będę pilnować ognia i pomagać ci wieczorami w sprzątaniu.

Czuł się jak u siebie w domu. Jedną ręką wpychał słomę do siennika, drugą częstował się wielkim okrągłym bochnem gruboziarnistego chleba.

- A dlaczego? Nie masz własnej rodziny? - spytałam.

W odpowiedzi dostałam nagle po głowie. Nawet nie słyszałam, kiedy babcia zaszła mnie od tyłu.

- Floro! Nie bądź nieuprzejma. I nie, Emilio nie ma innej rodziny. Gdybyś bardziej uważała, wiedziałabyś, że jego jedyna siostra odeszła.

Gdy nonna powiedziała, że dziewczyna „odeszła”, pomyślałam, że chodziło jej o to, że dokądś wyjechała i że Emilio musi ją odnaleźć. Zaraz potem jednak spojrzałam mu w twarz, która wyglądała na spaloną na popiół i zrozumiałam, dokąd tak naprawdę odeszła.

- Mi dispiace - powiedziałam. - Przykro mi.

Emilio wzruszył ramionami, ale wyraźnie widziałam, że w tej chwili cierpi nie tylko jego głowa.

- Dostałam wiadomość od ojca Alberto. Spotka się z tobą w duomo, zaraz po treningu gwardii - nonna wręczyła chłopakowi sakiewkę. - Istnieje możliwość, że nie będzie chciał tego przyjąć, ale zaproponować mu trzeba. To porządny człowiek.

- Grazie, nonna - podziękował Emilio, biorąc pieniądze. - W jaki sposób ja się pani odwdzięczę?

Zauważyłam, że nazwał ją „nonna”, a nie „signora Cenesta”. Ten młodzik naprawdę się tu zadomowił.

- Wystarczy, że zabierzesz ją ze sobą - odpowiedziała babcia, wskazując mnie palcem. -

Powinna częściej wychodzić.

- Wychodzić? - spytałam. - Dokąd? Zabieracie mnie dokądś?

- Do Fiesole, Floro. Ojciec Alberto poświęci grób mojej siostry - wyjaśnił Emilio.

- Dlaczego nie pochowałeś jej przy kościele?

- Bo nie miał tyle pieniędzy - odpowiedziała za chłopaka nonna.

Spojrzałam na Emilia, który niechętnie przytaknął. Zaczerwienił się przy tym po same koniuszki uszu.

- Nie ma powodu do wstydu - powiedziałam. - Nie twoja wina. To po prostu nieuczciwe.

- No właśnie. Najwyższy już czas, Floro, żebyś się wreszcie dowiedziała, co to słowo znaczy - zauważyła babcia, wręczając Emilio poduszkę, której poszewka była już wyraźnie naznaczona wiekiem, ale za to czysta. - Wydaje ci się, że niesprawiedliwością jest to, że twoja siostra dostaje same najlepsze suknie. Że niesprawiedliwym jest, że Renato jest porucznikiem twego ojca, a całą pracę wykonuje za niego Andrea. Wydaje ci się, że nie jest sprawiedliwe, by twoja mamma spała w najwytworniejszym łóżu w całym domu, podczas gdy ja zadowolam się swoją małą klitką.

Babcia pokazała palcem skrzypiące schody, które prowadziły do jej ciasnej sypialni. Miała rację. Zawsze wydawało mi się, że nie powinna spać nad spiżarnią, gdzie jej sny przyprawiała woń suszonej szalwii i starej rzepy.

Nie przestawała mówić.

- Wszyscy jemy wystawnie, carissima, nawet podczas Wielkiego Postu; mamy dach nad głową. Ale nie każdy żyje w taki sposób. Dlatego będziesz się szkolić razem z naszymi gwardzistami. Dlatego jutro w nocy pojedziesz z Emiliem i ojcem Alberto do Fiesole.

- Aspetta - wtrąciłam. - Czy ja dobrze usłyszałam? Mam się szkolić z gwardzistami?

Nonna wzniosła oczy ku niebu i zwróciła się do Emilia.

- Widzisz, co ja się mam z tą dziewczuchą? Przecież rozmawialiśmy o tym już wczoraj, kiedy snułaś się bez celu po kuchni. Od dzisiaj będziesz musiała bardziej się przykładać do tego, co robisz. Gdybyś słuchała tego, co mówię, usłyszałabyś, że powiedziałam, iż od jutra kapitan Umberto będzie cię szkolić wraz z resztą swych ludzi. Bardzo mu się ten pomysł spodobał. Ma wyrzuty sumienia z powodu twojego ogrodu.

- To znaczy, że nauczę się walczyć mieczem?

- Mieczem, piką, kijem - a nawet jeździć konno - wyjaśnił Emilio.

- Przecież ja już umiem jeździć wierzchem! - sprostowałam urażona, splatając ręce na piersi.

- W takim razie kapitan zadba o to, żebyś przestała jeździć jak pokraka - odparł Emilio.

Gdyby nie był ranny, dostałby ode mnie w głowę. Niestety musiałam się zadowolić nadeptaniem mu na stopę.

- Basta! - rozkazała babcia. - Tak, Floro, nauczysz się tych wszystkich rzeczy, ponieważ mogą ci się w życiu przydać. Rozumiesz, co mówię? Niedługo nastanie dzień, kiedy ja już nie będę w stanie cię chronić.

- To śmieszne - rzuciłam. - Przecież my zawsze będziemy razem.

- Floro - głos nonny stał się dziwnie miękki. - Spójrz, proszę, na moje ręce.

Wyciągnęła dłonie przed siebie. Palce miała tak powykręcane reumatyzmem, że niemal odginały się w tył. Co gorsza, drżały - jej wielki pierścień z czarnym psem podskakiwał tak, jakby zwierzę bezustannie drapało się w poszukiwaniu pcheł.

Nigdy wcześniej tego nie zauważyłam. Spojrzałam na babcię w poszukiwaniu odpowiedzi i w tej samej chwili spostrzegłam ciemne chmury wypływające z wnętrza jej brązowych oczu. Była nie tylko stara: była również niedołężna i ślepa.

- Posłuchaj mnie, carissima - podjęła nonna. - Dla starego człowieka śmierć nie jest tragedią. Przeżyłam długie życie i nie żałuję zbyt wielu rzeczy.

- Ale... - spróbowałam zaprotestować. - Kto się mną wtedy zaopiekuje?

Gdy tylko te słowa opuściły me usta, od razu ich pożałowałam. Tak jak to było z moimi wszystkimi planami ucieczki, ze wszelkimi marzeniami o wolności - byłam po prostu małą, samolubną dziewczyną. I ona o tym dobrze wiedziała.

Spojrzałam na nasze cienie rzucane na ścianę przez światło świec. Jej sylwetka była zgięta i przygarbiona. Wyglądało to niemal tak, jakby schylała się, by przytulić do siebie jakieś dziecko. Kiedy tak patrzyłam, mój cień urósł i owinął się dokoła niej. Nauczę się, jak być silną. Będę trenować razem z gwardzistami po to, by strzec ją przed moim jedynym wrogiem - przed śmiercią.

- Rozumiem, nonna - powiedziałam.

Skinęła głową i schowała dłonie.

- Wierzę, że to rozumiesz - przyznała, patrząc na mnie wzrokiem, którego przenikliwość nie powstydzilby się sokół.

Weszła na rozlatujące się schodki do swojego pokoju i obejrzała się.

- Jeszcze jedna rzecz. Jutro w nocy nie będziecie pracować w kuchni. Nie będziecie też jeść razem z resztą gwardzistów. Rozumiecie? Kiedy powrócicie z Fiesole, posiłek będzie na was czekać na stole. Pod żadnym pozorem nie wolno wam jeść niczego innego.

Nie zrozumiałam z tego ani jednego słowa. Emilio też nie. Ale żadne z nas nie odezwało się nawet słowem.

- Wypocznij spokojnie, babciu - pożegnałam się.

- Buona notte - powiedział Emilio.

Rozdział 7

Nazajutrz zeszałam na dziedziniec, zanim jeszcze wzeszło słońce. Miałam na sobie prosty strój. Włosy związałam chustką tak, by nie łaskotały twarzy. Byłam gotowa do walki.

Dziedziniec tymczasem uległ całkowitemu przeobrażeniu: przy wejściu od ulicy pojawiły się cztery tarcze strzelnicze, a po drugiej stronie zwisały z tyczek słomiane manekiny. Drewniane miecze, lance i włócznie stały oparte rzędami o kolumny. Obok widniał ocalony przez kogoś jaśmin, półzdeptany, pół-martwy. Nie. Niech teraz kto inny ratuje rośliny. Nie ja. Ja już otrzymałam swoje nowe zadanie.

Wzięłam tarczę i wsunęłam ramię w jej paski. W drugą dłoń chwyciłam drewniany miecz.

Nieśmiało stuknęłam nim w pierś wiszącej słomianej lalki. Chciałam się przekonać, jakie to uczucie. Okazało się, że wspaniałe. Choć raz nie musiałam się zachowywać godnie, nie musiałam być łagodna - o ileż to było piękniejsze od gotowania. Lepsze niż pielęgnowanie roślin. I - Boże wybac mi te słowa - bardziej nawet ekscytujące od kradzieży.

Pierwszą jednak armią, jaką ujrzałam tego ranka, okazała się armia malarzy, dowodzona przez signora Botticellego. Weszli od frontu. W pięciu - razem z signorem Botticellim - wywijając paletami, sztalugami, kolorowymi kamieniami, szmacianą lalką i kłosami jęczmienia. Kroczący na ich czele signor Botticelli podszedł do mnie i ucałował w rękę, w której wciąż dzierżyłam swój drewniany oręż.

- Ach! Kwiat Toskanii we własnej osobie. Pewnego dnia, Floro, przekonam twoją matkę, by się zgodziła, żebym i ciebie namalował.

- Może się pan nie wysilać, signor Botticelli. Ze mną nie wiąże się władza ani wpływy.

- Moja droga Floro - powiedział. - Jestem artystą i moim obowiązkiem jest czcić piękno we wszystkich jego przejawach. Ale teraz, skoro o tym wspomniałaś, jest jedna, bardzo mała, maleńka i doprawdy piccolo przysługa, o którą miałbym śmiałość prosić. Gdybyś mogła, póki twoja szacowna nonna nie patrzy, napełnić to naczynie kropelką czerwonego wina, per piacere?

Puścił do mnie oko i wręczył mi skórzany bukłak. A ja - Panie przebac - wzięłam, mimo że znałam opinię babci na temat picia.

Ukryłam bukłak w fałdach sukienki i zaczepiłam o pasek. Nie wiedziałam, czemu to

robię. Nigdy jeszcze nie postąpiłam wbrew życzeniu nonny. Ale z jakiegoś niezrozumiałego powodu signor Botticelli wydawał się mi inny niż reszta mężczyzn - taki, do którego nie stosowały się zwykłe reguły. Może to przez te jego krzykliwe, aksamitne płaszcze, piękne słowa i diabelski uśmieszek. Całą swoją osobą mówił: „Jestem ciekawszy, niż myślisz”.

Tak właśnie wyglądało zarzewie mojego pierwszego spisku.

Chwilę potem wychynął z kuchni Emilio. Trzymał w dłoni wielki krąg sera.

- Daj jej spokój, co? - warknął na signora Botticellego. - Jest nam potrzebna. Ma zadanie do wykonania.

Miałam ochotę powiedzieć mu, żeby się odczepił. Nie był przecież moim władcą, ale pomyślałam, że zanim rzucę się na niego z pięściami, pozwolę mu się nieco podtuczyć.

Spojrzałam więc na signora Botticellego.

- Czy w młodzieńcu wymachującym cuchnącym serem także będzie pan czcić piękno?

Malarz uśmiechnął się i ten uśmiech przepłynął z ust wprost ku jego oczom.

- Prawdziwe piękno nie ma zupełnie nic wspólnego z tym, czym się wymachuje, ani z noszonym strojem. Jeszcze ci to pewnego dnia udowodnię, Floro Pazzi, wiosenna boginko.

To powiedziawszy, klasnął dwa razy w ręce i jego słudzy ruszyli za nim na górę, do piano nobile, gdzie czekała na nich prawdziwa bogini.

Tego ranka uczyliśmy się, jak prowadzić szturm na zamek.

Kapitan Umberto pokazał nam, jak iść do ataku, osłaniając się równocześnie uniesionymi nad głowy tarczami, których zadaniem było chronić nas przed deszczem płonących strzał. Oczywiście, nie mieliśmy prawdziwych płonących strzał, ale ćwiczenie i tak okazało się trudniejsze, niż z początku myślałam. Przewracaliśmy się, potykając jedno o drugie. Po każdym upadku kapitan Umberto kazał nam powtarzać cały manewr od początku.

- No dalej, Giovanni! Gdyby to była prawdziwa bitwa, już dawno nosiłbyś strzałę w oku! I wy wszyscy! Ruszać się! Nie uprzedzono mnie, że dostanę do wyszkolenia garstkę cherlawych dzierlatek.

Przez cały ten czas na balkonie powyżej powiewały - rozpostarte niczym flaga - włosy Domeniki. Dolatywało do nas na wietrze jej miłkie marudzenie - narzekanie na słońce, które z pewnością całkowicie zrujnuje jej alabastrowo białą skórę, na konieczność zbyt długiego siedzenia w bezruchu, wreszcie obawy: „Czy jest pan pewny, że ten jęczmień w mojej dłoni nie sprawia, że wyglądam jak chłopka?”. Miałam przy tym wrażenie, że kapitan Umberto nie jest do końca skupiony na swoich zadaniach.

Pod koniec dnia gwardziści powrócili do swych kwater, a ja ciężko usadziłam swoje wymęczone ciało na ławce. Podobało mi się to, czego się dziś nauczyłam, choć wciąż nie do końca byłam pewna powodu, dla którego muszę to wszystko umieć. Pamiętałam, co powiedziała mi nonna, nie zapomniałam też słów papy, tylko że wszystko razem nie miało żadnego sensu. Gdyby ojciec przegrał i nie udało mu się zająć miejsca Medyceuszy, to stalibyśmy się po prostu biedniejsi, prawda? A gdyby umarła babcia, to pozbyliby się mnie po prostu, umieszczając w klasztorze Najświętszej Pani w Fiesole, nieprawdaż? Cierpiałabym przez resztę swego życia, ale przecież można cierpieć, nie wiedząc, jak powinno się ochraniać tarczą głowę przed atakami płonących strzał.

Po chwili przestałam się nad tym głowić i przyjrzałam się sobie krytycznie. Nie wyglądałam jak malowanie. Na moim ciele wykwiwały sińce o barwie intensywniejszej niż kolor lazurytu, ale o wiele mniej przyjemnej dla oczu. Boginka wiosny, kwiat Toskanii. Ech, dobre sobie. Nie, nie. Dobrze wiedziałam, jak wyglądałam i z całą pewnością nie byłam piękna.

Poza tym, prawie umierałam z głodu. I nie miałam wcale ochoty na delikatny przysmak w rodzaju bażanta czy rodzynek ani też na fasolę pływającą w cienkim bulionie z pietruszką. O nie! Mogłabym z powodzeniem pochłonąć dzika. W całości - z językiem, oczami i ze wszystkim.

Kiedy wyszedł z kuchni Emilio, obejrzałam go sobie dokładnie. Miałam nadzieję, że wyniesie kapłona albo choć wymiętą pajdę chleba. Tym jednak, co zauważyłam, była przytroczona do jego pasa sakiewka nonny.

- A gdzie masz jedzenie? - spytałam. - Przecież ty zawsze coś jesz!

Emilio pokręcił głową.

- Zapomniałaś, co powiedziała wczoraj nonna? Nie wolno nam jeść, póki nie wrócimy z Fiesole.

O Madonno! Przez to swoje szkolenie na śmierć zapomniałam o jego martwej, a niepoświęconej siostrze i dziwacznej prośbie nonny, która zabroniła nam jeść do wieczora. Co ona sobie w ogóle myśli? Oczywiście. Jest Wielki Post i tak dalej, ale to przecież nigdy jeszcze w tym domu nie powstrzymało nikogo przed krańcowym obżarstwem.

- Proszę, Emilio. Jestem zmęczona i głodna. Nie mogłabym może tu zostać, a ty pojechałbyś do Fiesole sam?

Jeżeli spodziewałam się, że zaprotestuje, to spotkało mnie rozczarowanie. Emilio po prostu zacisnął usta w cienką kreskę.

- Jak chcesz - rzucił i ruszył w stronę frontowego wyjścia.

W jednej chwili poczułam, jak oblewa mnie wstyd. Oto ja, skamląca zupełnie jak

Domenica, tylko dlatego, że kilka godzin spędziłam bez jedzenia. A przecież Emilio jakiś czas temu nie jadł przez bite trzy dni. Zaiste, świetny ze mnie żołnierz.

- Aspetta, Emilio! Zaczekaj! - Chwyliłam go za rękę a on się obrócił. Na jego obliczu malowała się czysta wściekłość i słuszne oburzenie.

- Jedziesz czy nie? Te twoje gierki zaczynają mnie powoli męczyć. Dla ciebie to tylko wycieczka, ale dla mnie to sprawa rodzinna. Tu chodzi o moją jedyną krewną. Siostra mnie wychowała. Zastępowała mi mamę, papę i nonnę. Żebyś wiedziała! Właśnie nonnę! Pomyśl o tym choć przez chwilę, dobrze? Zastanów się, jak ty byś się czuła, gdyby to twoja babcia leżała teraz w niepoświęconej ziemi? Co byś zrobiła?

- Zjadłabym później - odpowiedziałam.

- Właśnie - rzucił Emilio i odszedł, zwycięski.

Ruszyłam za nim.

Pewnego razu, zeszłego lata, Andrea i ja bawiliśmy na festiwalu na Piazza della Signoria. Kiedy wracaliśmy z banku papieża do palazzo, nasz powóz zaczął mieć poważne kłopoty z przebieciem się przez gęstą cizbę. Poprosiłam woźnicę, żeby się zatrzymał i nas wypuścił. Zobaczyłam bowiem odzianych w purpurę i czerwień żonglerów oraz ustawione na środku placu podium. Byłam pewna, że zaraz ujrzymy coś niezwykłego.

Andrea nieco się z początku wahał, ale w końcu zrobił dokładnie to, co chciałam.

- Tylko zanim wyjdziemy, przysłoń przynajmniej twarz woalką.

Zrobiłam, o co poprosił, i podekscytowana pociągnęłam go za rękę.

- Szybciej! Podejdźmy bliżej - błagałam, przeciskając się przez tłum.

Ale Andrea szarpnął mnie ku sobie i po chwili zrozumiałam, dlaczego. Żonglerzy dokazywali nieco z boku, ale naprzód wyprowadzono skutą w kajdany dziewczynę. Była młoda - nie mogła być wiele starsza ode mnie. Miała brudną skórę i włosy przycięte tak krótko, że wydawało się, iż jest zupełnie łysa. Płakała i błagała o coś dwóch mężczyzn, którzy trzymając ją za łokcie, ciągnęli ją ku podwyższeniu. Mówiła coś o tym, że nie ma męża ani dzieci. Wydało mi się to dziwne. Gdybym to ja została uwięziona, prosiłabym raczej, żeby zlitowano się nad moimi dziećmi i wypuszczono mnie na wolność. Nawet, gdybym ich nie miała.

Przed nami stanął szczupły mężczyzna ubrany w bluzę w barwach Medyceuszy, spojrzął na gapiów i odczytał oświadczenie. Pamiętam tylko, że dziewczyna podróżowała do San Gimignano i miała na sobie męski strój - nogawice i sączonek chroniący krocze. Wtedy

więźniarka krzyknęła, że przebrała się tak tylko dlatego, by nie napadli jej bandyci, czyhający na takie jak ona niewinne kobiety, które wybrały się w podróż bez męża ani innego obrońcy. Wydawało się jednak, że mężczyzna z dokumentem jej nie usłyszał, bo czytał dalej do samego końca.

Poczułam nagle, że w moim żołądku pojawił się ciężki kamień.

- Rozmyśliłam się. Nie chcę na to patrzeć - stwierdziłam i odwróciłam się.

- Nie, Floro. Teraz, kiedy już tu jesteśmy, nie możesz pokazać, że się boisz. Im właśnie o to chodzi.

- Kto? Kto chce, żebyśmy się bali?

- Medyceusze - odparł Andrea, wskazując jednocześnie na górne okno w stojącym w pobliżu pałacu władcy. Stojący w nim ciemnowłosa mężczyzna odsunął zasłonę swą upstrzoną klejnotami ręką. Nie widziałam go zbyt dokładnie, ale z pewnością nie bawił się oglądanym widokiem.

Tymczasem na placu, na podium, szczupły mężczyzna zakończył odczytywanie aktu oskarżenia i podniósł wzrok ku temu samemu oknu. Mężczyzna w pałacu skinął głową. Raz, nieznacznie, i mężczyzna z dokumentem wydobyl sztylet zza pasa.

Po chwili strażnicy trzymający dziewczynę zmusili ją do klęknienia. Nie widziałam wyraźnie tego, co jej robili, ale słyszałam jak krzyczy: „nie, nie, nie!”. Najpierw w jej głosie slychać było przerażenie, ale potem zaczęła wrzeszczeć opętańczo, bez słów i słyszałam już tylko ból i panikę. Jej krzyki były to niższe, to wyższe, unosiły się i opadały jak wielka fala. Podniosłam dłonie, by zatkać sobie uszy, ale Andrea chwycił mnie za palce.

- Coraggio, Floro - powiedział. - Nie chciałem, żebyś to oglądała, ale teraz nie mamy już wyjścia. Musimy zostać. Bez względu na wszystko, nie możesz pozwolić, by ktokolwiek widział twoją słabość. Jesteś Pazzi. Musimy być twardzi.

Szczupły mężczyzna z podium wyprostował się i uniósł do góry coś małego i zakrwawionego. Pokazał to gapiom. Strażnicy podciągnęli więźniarkę na nogi. Jeden z nich chwycił ją za brodę i ukazał zebranym jej twarz. Kobieta wciąż wrzeszczała, ale teraz jej krzyki tłumione były przez inne, bulgocące dźwięki. Z miejsca, gdzie jeszcze chwilę temu miała nos, płynęły teraz strumienie intensywnie czerwonej krwi.

- Niech to spróbuje ukryć! - rzucił szczupły oprawca i zwycięskim gestem uniósł w powietrze zaciśniętą pięść.

Tłum zakrzyknął w uniesieniu; kobietę sprowadzono z podium, jej nos rzucono psom na pożarcie i na scenę wkroczyli żonglerzy.

Podniosłam wzrok. W oknie pałacowego pokoju zaciągnięto zasłonę.

Tego wieczora, kiedy razem z Emiliem wsiadaliśmy na konie, żeby odebrać z duomo ojca Alberto, przypomniałam sobie tę biedną dziewczynę i jej nos.

- Floro? - usłyszałam nagle głos chłopaka.

- Co takiego, Emilio?

- Zapytałem, czy potrzebna ci jest woalka.

Przyjrzałam się sobie. Moja sukienka była co prawda prosta, ale tak czy inaczej to sukienka. A moje długie włosy świadczyły wyraźnie, że jestem dziewczyną. To najważniejsze. Władze miasta nie lubiły, kiedy ktoś ukrywał swoją prawdziwą płęć.

- Nie jest zbrodnią, kiedy kobieta chodzi bez woalki - odparłam. - Gdyby nią była, do lochów trafiłyby wszystkie praczki bez wyjątku.

Emilio wzruszył ramionami.

- Twoja skóra, twoja sprawa - oznajmił.

Moja dłoń odruchowo powędrowała do nosa.

Skęciliśmy za róg i znaleźliśmy się w cieniu duomo. Przejechaliśmy klusem wzdłuż wielkiej budowli, aż wreszcie stanęliśmy na otwartej przestrzeni pomiędzy głównym wejściem do katedry, a stojącym naprzeciwko budynkiem baptysterium. W porównaniu z duomo baptysterium wyglądało karłowato, ale i tak to ono zawsze przykuwało moją uwagę. Dziś wieczór było zamknięte. Podwójne drzwi wzbraniały wejścia.

- Ty idź po ojca Alberto - powiedziałam do Emilia. - Ja zostanę tu z koźmi.

Gdy tylko chłopak zniknął mi z oczu, zeskoczyłam z siodła i podeszłam bliżej do baptysterium. Na obu drzwiach widniało po pięć brązowych paneli, każdy przedstawiający inną scenę z Biblii. Mamma wyjaśniła mi kiedyś, że wykonał je artysta o nazwisku Ghiberti. Ona znała się na takich rzeczach. Ja wiedziałam tylko, jakie uczucia i wrażenia wywołują we mnie te wrota. Zachwycało mnie to, że postaci na drzwiach wydawały się tak pełne życia, wydawało się wręcz, że zaraz ku mnie wyjdą. Poglaskałam zaokrąglone loki na głowie Ezawa, wyobrazonego na jednym z paneli, na w pół oczekując, iż odwróci się ku mnie i uśmiechnie. Jeśli kogoś ochrzczono za tak pięknymi drzwiami, bez wątpienia od razu zyskiwał wieczne błogosławieństwo.

Od płaskorzeźb udało mi się oderwać dopiero, gdy pojawił się Emilio w towarzystwie mojego ulubionego księdza.

Ojciec Alberto był chudym mężczyzną z ciemnymi włosami ostrzyżonymi w tonsurę i

zaczęsanymi za uszy Miał na sobie zgrzebną, szarą szatę opadającą aż do ziemi i proste sandały. Z szyi zwisał mu zwykły, drewniany krzyż. Nie był eleganckim człowiekiem. Ale jaką miał wyobraźnię! Ach, to już zupełnie inna sprawa.

Jego kazania przepelnione były jeszcze bardziej wyrazistymi obrazami niż drzwi Ghibertiego. Zwłaszcza, gdy roztaczał przed wiernymi wizje piekła. O ognistych czeluściach, w których skwierczały dusze potępionych, był w stanie perorować godzinami. Potępieni już jakiś czas temu stali się moimi ulubionymi bohaterami kościoła i te kazania stanowiły najbardziej wyczekiwany moment każdej niedzieli.

- Floro - przywitał mnie skinieniem. - Nie widziałem cię ostatnio u spowiedzi. Może jest coś nowego, o czym chciałabyś mi powiedzieć?

- Nie - odparłam, przebiegając jednocześnie w myśli długą listę. - Wciąż to samo. Nie szanuję ojca ani matki i gardzę własną siostrą. Ach, jeszcze czasami zdarza mi się pluć do zupy.

- Czy żałujesz któregoś z tych grzechów?

- Nieszczególnie - odpowiedziałam.

Ojciec Alberto zmarszczył brwi i podrapał się po głowie. Nie wygłosił jednak żadnego kazania. Wiedziałam, że nie powie słowa. Być może spodziewał się, że do bycia świętą muszę jeszcze trochę dorosnąć. Tak jak do sukienek po Domenice.

- W takim razie dobrze. Andiamo.

Droga do położonego wśród pobliskich wzgórz miasteczka Fiesole była szeroka i często uczęszczana. Jechaliśmy całą trójką obok siebie. Ja i Emilio konno, a ojciec Alberto na swoim osiołku. Kiedy tak miarowo sunęliśmy naprzód, zrozumiałam, że najlepszym sposobem na ustrzeżenie się napaści są podróże w towarzystwie ubogo wyglądającego księdza. Nikt nie rzucił nam nawet spojrzenia. Nawet ci najbardziej wychudzeni, których dłonie niebezpiecznie krążyły wokół rękojeści sztyletów.

Emilio opowiedział ojcu Alberto swoją historię o innym księdzu, który nie zechciał pochować jego siostry, ponieważ nie dostał pieniędzy.

Ojciec Alberto ciężko westchnął.

- Wiadomo przynajmniej, że nie jest franciszkaninem. Mam nadzieję, Emilio, że nie będziesz oceniać wszystkich sług bożych po czynach tego jednego - skwitował rewelacje ksiądz, machając ostrzegawczo palcem. - Być może tamten duchowny teraz ma się dobrze, ale w dniu sądu ostatecznego przyleci do niego wielki sęp, który codziennie, przez wieczność,

będzie wyzerać mu wnętrzości.

Emilio wyraźnie się rozpromienił.

- Naprawdę? Jak to możliwe? Czy ludzie nie mają tylko jednych wnętrzości?

- Każdego ranka będą mu odrastać nowe.

I wtedy ojciec Alberto roztoczył przed nami płomienny opis piekielnych mąk, który jak sam potem przyznał, nawet jemu wydał się dość makabryczny. A ja nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że takie właśnie rzeczy Medyceusze już teraz robią kobietom, które nie noszą sukienek.

Na miejski plac w Fiesole dotarliśmy o zachodzie słońca. Zatrzymaliśmy się, by spojrzeć na rozciągające się przed nami widowisko. Barwy były przepiękne: ciepłe czerwienie otoczone zielenią pól. Rzeka Arno przecinała miasto jak złota nić. Jeden po drugim pojawiały się jasne punkciki rozpalanych lamp. Do naszego palazzo wkrótce zaczną się zjeżdżać ulubieni pochlebcy mego ojca i wszyscy członkowie mego rodu zasiądą do codziennej uczyty.

Na tę myśl zaburzało mi w brzuchu. Przez te brązowe drzwi i odmalowane przez ojca Alberto wysublimowane opisy mąk wieczystych na trochę zapomniałam o głodzie.

- Daleko jeszcze? - spytałam.

Emilio wskazał wąską, wijącą się na szczyt dróżkę. Pojechaliśmy gęsiego.

Na górze zsiadliśmy z siodeł. Silny wiatr wypychał mi włosy do ust. Niestety, nie były zbyt smaczne.

Emilio pokazał usypany z ziemi kopczyk z prymitywnym krzyżem, na którym niewprawną dłonią wyryto imię Alessandra. Z tego miejsca rozciągał się widok na dolinę po drugiej stronie miasta. Była piękna. Wśród wysokiej trawy usianej dzikimi kwiatami pasły się owce. Patrzyłam na to i zastanawiałam się, czy to możliwe, by Bóg mieszkał w dwóch miejscach naraz - w moim mieście, w duomo i tutaj wśród owiec?

- Emilio - odezwałam się. - Nie wydaje mi się, żebyś zawiódł swoją siostrę.

- Naprawdę? Mogłem ją pochować bliżej domu, ale zawsze bardzo lubiłem to pole. Sam musiałem tu przynieść jej ciało. To był bardzo długi spacer. Zleciały się muchy... - coś nie pozwoliło mu powiedzieć więcej ni słowa. Nonna miała rację. Ten młodzik nosił na swoich barkach wielki ciężar.

Ojciec Alberto zdjął z szyi drewniany krzyż i ucałował go. Emilio i ja złożyliśmy dłonie i pochyliliśmy głowy. Duchowny wymamrotał kilka słów po łacinie, ale przecież nie one były tu najważniejsze.

Stojąc tam, na szczycie wzniesienia, z wiatrem igrającym w moich włosach zastanawiałam się, czy Alessandra jest teraz z nami, czy obserwuje swojego brata. Patrzyłam na ziemię i wydawało mi się, że kątem oka dostrzegam jakiś cień, fruującą wokół niespokojną duszę.

Chwyciłam dłoń Emilia i uściśniłam lekko.

„Już wszystko dobrze” - zapewniłam jego siostrę. - „Podzielę się z nim swoją babcią. To dobry chłopak, chociaż ostatnio nieco za dużo je. Wydobrzeje.”

Po chwili ojciec Alberto pokropił grób święconą wodą, rozległo się amen i podnieśliśmy oczy.

Czar prysł. Nie widziałam już w cieniu duszy Alessandry ani nie wyczuwałam w łąkowych kwiatach Bożej obecności. Znowu byliśmy tu sami, tylko we troje.

Emilio puścił moją rękę i podał ojcu Alberto sakiewkę od nonny.

Ksiądz pokręcił głową.

- Nie przyjmę tego. Wystarczająco się nacierpiałeś.

- Proszę, ojcze - nalegał Emilio. - Weź, proszę. Jeśli nie dla siebie, to dla ubogich.

Duchowny raz jeszcze odmówił.

- Nie rozumiesz, że jeśli wezmę ją od ciebie, to wszystko się zmieni?

Emilio potrząsnął woreczkiem, monety zabrzęczały.

- To nie moje pieniądze, ojcze. To od signory Cenesty. Jeśli nie dam ich tobie, będzie to kradzież.

- A z pewnością - wtrąciłam - na ludzi, którzy kradną majątek swoich chlebobawców, czeka jakiś szczególnie okrutny krąg piekła?

Ojciec Alberto przyjrzał się sakiewce podejrzliwie. Wyglądał tak, jakby obawiał się, że po otwarciu wypełnieni z niej tysiąc jadowitych żmij, które już po wsze czasy będą wgryzać się w jego wątrobę.

- Allora. Zrobimy tak. Wezmę te pieniądze, ale z nich nie skorzystam. Schowam je. A kiedy ty albo ty - skinął ku mnie głową - będziecie potrzebować złota, zgłóście się do mnie. Pasuje wam takie rozwiązanie?

Emilio przytaknął skinieniem.

- Skoro nie będziemy ich jeszcze przez jakiś czas potrzebować, to może mógłbyś pożyczyć je, ojcze, jakiejś innej ze swoich owieczek. Może ktoś jeszcze musi pochować swoją siostrę.

Ojciec Alberto prychnął.

- A może nawet powinienem policzyć sobie procent, co? Wtedy byłbym już skończonym

lichwiarzem.

To powiedziawszy, spojrzał na mnie i oblał się rumieńcem. Przestraszył się, że obraził córkę drugiego co do zamożności lichwiarza w kraju.

Nie obrażałam się. Dlatego, że tego samego dnia nauczyłam się, jak należy osłaniać tarczą głowę przeciwko płonącym strzałom. Zresztą nie obraziłabym się o to nawet dzień wcześniej.

W pewnym sensie przez całe życie kryłam się za jakąś tarczą.

Rozdział 8

Kiedy wraz z Emiliem wróciliśmy wreszcie z Fiesole, zrobiło się już zupełnie ciemno. W kuchni nie było nikogo; ze spiżarni bił mocny zapach migdałów. Nonna na pewno piekła tarty.

W kącikach ust wezbrała mi ślina. Emilio i ja pogналиśmy do dębowego stołu, na którym czekały na nas dwa pierogi z mięsem i dzban wina. Zjedliśmy to, oblizaliśmy palce i zaczęliśmy myszkować za czymś jeszcze. Skończyliśmy dopiero wtedy, gdy każde z nas zjadło po trzy takie pierogi, pieczone jagnię (z kośćmi i ze wszystkim), cztery bochenki miękkiego, białego chleba przybranego oliwkami i suszoną cebulą oraz koszyk soczystych, czerwonych truskawek.

Wszyscy udali się już na spoczynek, ale Domenica i kapitan Umberto wciąż siedzieli na pograżonym w ciemności dziedzińcu. Zachowywali się odrażająco. Słyszeliśmy ich wyraźnie przez otwarte drzwi. Przeczesał jej włosy dłonią i powtarzał, że kocha ją od zawsze i nigdy nie było inaczej.

- A co przyniesie przyszłość? Czy zawsze będziesz czuł to samo? - pytała głosem nieco tylko mocniejszym od szeptu, ale ja słyszałam każde słowo niezwykle wyraźnie. Słyszałam słowa wypowiedziane, ale także i te, które nie padły na głos. Siostra go sprawdzała. Tak naprawdę pytała: „Czy pójdziesz za mną do domu mojego męża i czy będziesz mi szeptać te słodkości, gdy on wyjedzie w interesach?”.

- Sempre, amore - odpowiedział ściszym głosem. - Zawsze, ukochana - ucałował jej twarz, bogato przybraną grubą warstwą tej cuchnącej pasty z koziego mleka i innymi świństwami.

Usłyszałam zza siebie dźwięki dławienia. Emilio przewrócił oczami i udawał, że jest mu niedobrze.

- Dzięki Bogu, my nigdy tak nie będziemy - oznajmił i raz jeszcze uniósł oczy ku niebu.

- Grazie a Dio - przytaknęłam. Prawda wyglądała tak, że nigdy wcześniej nie pomyślałam o całowaniu się z Emiliem, ale teraz, kiedy dotknął tego tematu, zaczęłam się zastanawiać, jak by to mogło być. Wyobraziłam sobie, że jego oddech na pewno cuchnął jak stary ser. Taki wyjątkowo paskudny, słony. Kapitan Umberto z pewnością miał dość rozsądku, by przed całowaniem kogokolwiek rozgryźć kilka goździków.

Za mną Emilio wgrzył się potężnie w ogromną golonkę. Przy stole zachowywał się równie wytwornie, co bezański pies. Nie, na pewno nie był moim lubym.

Następnego ranka Emilio stawiał się na dziedzińcu wcześniej nawet ode mnie. W jednej dłoni ścisnął bułkę, w drugiej drewniany miecz, którym bezlitośnie dźgał słomianą kukłę.

- Słyszałaś nowinę? - spytał. - Cesare nie żyje.

- Cesare? - próbowałam sobie przypomnieć, który to z gwardzistów miał na imię Cesare, ale nie mogłam. Znałam Giovanniego i Piero, i Ludovico...

- No wiesz - przypomniał chłopak. - To ten, którego nazwałaś tępakiem.

Wtedy zrozumiałam, że nie mogłam sobie przypomnieć, dlatego że to był obcy.

- Chodzi ci o tego olbrzyma od hrabiego Riario? O tego z siekierą? Tego, który mnie popchnął?

Emilio skinął głową.

- Dość nagle umarł - stwierdziłam. - Wczoraj jeszcze widziałam go zupełnie żywego. Stał na ulicy, naprzeciwko palazzo, ze swymi fratelli i oglądał świat spode łba.

- Wiem.

- Jak to się stało? Zabiła go jakaś ladacznica? A może wdał się w bójkę?

Emilio pokręcił głową.

- Nie. Umarł we własnym łóżku, w potwornych męczarniach. Cierpiał tak bardzo, że przegryzł sobie własny język. Powiadają, że to albo trucizna, albo zaraza.

- Zaraza? - przesłoniłam dłonią usta i nos.

- Tranquillo, Floro. Nikt niczego nie wie na pewno. Pozostałych przenieśli do naszych kwater i zamknęli budynek. Nie można stamtąd wyjść. Po trzech dniach, jeśli nikt inny nie umrze, wypuszczą ich.

- Grazie a Dio, że spaliśmy tutaj - westchnęłam z ulgą. - Wolę nie myśleć, jak tam u nich będzie śmierdzieć.

Emilio o czymś nagle pomyślał i przestał masakrować słomianego nieszczęśnika, by wypowiedzieć swoją kwestię.

- Floro, ale skoro wszyscy są zamknięci, to kto strzeże palazzo?

Rzuciłam gwałtownie okiem na ulicę. Zazwyczaj widziałam tam trzech lub czterech ludzi z delfinem Pazzich na mundurach, stojących ze skrzyżowanymi włóczniami. Teraz od zewnętrznego świata nie odgradzał nas nikt.

- No chyba... my.

Spojrzeliśmy po sobie szeroko otwartymi oczyma, z równie szerokimi uśmiechami.

O Madonno! Zapowiadała się przednia zabawa!

Następne trzy dni wydawały mi się rajem. Nie rajem przeszłości, którą spędziłam samotnie w ogrodzie, zachęcając do wzrostu kolejne rośliny, ale rajem spędzania czasu z kimś, kto chce przebywać w moim towarzystwie. Starłam się przypomnieć sobie, kiedy ostatnio miałam takiego przyjaciela. Ale jedyna możliwa odpowiedź brzmiała: nigdy. Chyba żeby za przyjaciółkę uznać Domenicę, czego oczywiście nie robiłam. Za dnia, razem z Emiliem, a to wspinaliśmy się na dach, a to z niego schodziliśmy, czujnie wypatrując zagrożeń. Pewnego razu Emilio stwierdził, że zobaczył piratów.

- Komu potrzebni piraci, kiedy tylu ludzi chodzi ulicami? - odparłam.

Pod nami mieszkańcy miasta tłoczyli się i targowali, pili wino i wymieniali się najświeższymi plotkami. Raz, w budynku naprzeciwko, pijana ulicznica usiadła z gołymi pośladkami w oknie i zrobiła kupę prosto na ulicę.

Mnie zapewne wydało się to szalenie zabawne. Nieborak, który przechodził akurat pod rzeczonym oknem był przeciwnego zdania.

Harcowaliśmy z naszymi drewnianymi mieczami i śmialiśmy się tak głośno, że mamma spojrzała na dach i odwróciła wzrok, a Domenica wyjrzała z balkonu, na którym pozowała signorowi Botticellemu i z niesmakiem pokręciła głową.

Signor Botticelli był najgorszy. Co kilka maźnięć pędzlem podnosił oczy na nas, a potem na powrót spoglądał na swoją modelkę. Przez nas trudno mu było skupić się na pracy. Po dwóch dniach takiego stanu rzeczy cisnął w nas z balkonu słoikiem niebieskiej farby.

- Ech! W tym harmidrze nie mogę się skupić! - wy dobył coś ze swojego plecaka i wbiegł ku nam na dach.

Emilio i ja siedzieliśmy w rogu i staraliśmy się wyglądać jak dwa niewiniątka.

Signor Botticelli dotarł na szczyt drabiny i zawołał mnie.

- Wy dwoje! - perorował niezwykle głośno. - Naprawdę chcecie, żebym kazał postrącać was z dachu? Wstydzilibyście się! Przecież w takich warunkach zupełnie nie da się pracować!

Wtedy wyciągnął zza pazuchy dzbanek i podał go mi.

- Masz, schowajcie to gdzieś tutaj - rzucił konspiracyjnym szeptem, po czym zszedł pospiesznie po drabinie, przez cały czas złorzecząc na nas - nieznośnych rozrabiaków.

Kiedy zniknął, wcisnęłam dzbanek do ręki Emilia. Schowaliśmy go pod okapem, za obluzowaną dachówką.

- Dziwny z niego człowiek - zauważył Emilio.

- Artysta. Artysci tacy właśnie są.

Emilio wzruszył ramionami i oboje wróciliśmy do zabawy w strażników.

Czuliśmy się ze sobą swobodnie. Tak swobodnie zachowywałam się przedtem jedynie wobec nonny. A może nawet teraz czułam się jeszcze bardziej beztrosko. Pewnego dnia, kiedy siedzieliśmy na górze i przyglądaliśmy się przechodniom, wyjawiałam nawet swemu towarzyszowi plan ucieczki do Wenecji. I powiedziałam mu także o czternastu diamentach ze skazą, które czekały na swój dzień, zaszyte w poduszkę.

- Po przyjeździe hrabiego Riario zastanawiałam się, czy ich nie oddać - przyznałam. - Andrea twierdzi, że jest nam teraz potrzebny każdy floren. Ale w tej chwili nie jestem już taka pewna. Wiem, co powiedziałaby na to papa i wiem też, co powiedziałaby ojciec Alberto, ale też dokładnie wiem, co czuję.

- A co takiego czujesz? - spytał Emilio, popijając wodę z bukłaka (sam zdecydował, że na służbie nie powinniśmy jeść).

Zastanowiłam się przez chwilę.

- Czuję się oszukana - odpowiedziałam.

I wtedy Emilio, mój nowy przyjaciel, zaczął się ze mnie śmiać. Śmiał się tak głośno, że miałam wrażenie, że wytrząśnie sobie mózg przez nos.

- Crelino! - syknęłam. - Za kogo ty się uważasz? Jak śmiesz wyśmiewać się z mojego nieszczęścia?

- No przestań, Floro. Sama przyznasz, że to dość śmieszne. Niby w czym zostałam oszukana? Czego cię pozbawiono?

- Własnego życia? - odparłam. - Męża? Mężczyzny, który nie byłby takim nicponiem jak ty?

Emilio otarł z policzków łzy, które wycisnął z jego oczu śmiech, i uspokoił się wreszcie.

- Widzę, że faktycznie twoje życie jest pasmem udręk, dziewczyno, która masz kochającą i dbającą o ciebie nonnę. Wiesz, Floro, czasem wydaje mi się, że jesteś jak Domenica.

- Nie jestem! - dźgnęłam go drewnianym mieczem w pierś. - Natychmiast to odszczekaj!

Emilio odsunął ostrze broni od siebie.

- Może i nie chcesz tego słuchać, ale taka jest prawda. Rozejrzyj się wokół siebie, Floro.

Pokazał palcem trzy przecznice dalej, wzdłuż Via dei Balastrieri w kierunku więzienia Bargello.

- Przez całą zeszłą godzinę jakiś nieszczęśnik bez przerwy krzyczy. Jego wrzaski ścinają mi krew w żyłach, ale ty ich nie słyszysz. Spójrz na dół, zobacz, ile się tu dzieje. Ci ludzie

szamocą się po to, by zdobyć swój chleb powszedni. A dla ciebie to tylko źródło rozrywki. Bardzo niewielu ludzi żyje tak, jak chce, Floro. Reszta przyzwyczaja się do tego, do czego musi. Czemu ty nie miałabyś się przyzwyczaić? Czemu wciąż pragniesz doskonałości? Naprawdę jesteś strasznie zepsuta.

Pomyślałam o krzykach uwięzionych i o żebrakach z trudem zdobywających każdy kęs chleba, nie wspominając o niekończącej się kolejce czekających na nonnę przed kuchnią pacjentów. Jak mogłam mu powiedzieć, że się do tego wszystkiego przyzwyczaiłam? Cierpienie innych stało się dla mnie częścią krajobrazu. Nie poruszało mnie. Nie tutaj, nie w tym bezpiecznym, strzeżonym zamku, w podwójnym kokonie mocnych murów i troski mojej babci.

Miał rację: byłam zepsuta. Ale nie przyznałam tego.

- Chcę tego, co doskonałe, ponieważ nie jestem tchórzem - odpowiedziałam. - Czy nie uważasz, że dążenie do lepszego życia to coś, co robią ludzie odważni?

Emilio pokręcił głową.

- Marzysz o wielkich i wspaniałych rzeczach, przyznaję. Ale marzenia są zabawne. Ja na przykład zawsze marzyłem, by zostać żołnierzem.

- Bene - odpowiedziałam. - W takim razie powinieneś mnie rozumieć. Zostałeś żołnierzem. Zmieniłeś swoje życie. Mogłeś zostać na wsi, ale postąpiłeś inaczej.

- Nie mogłem tam zostać, Floro. Nie mieliśmy dość jedzenia - odparł i spojrzał ponad dachami w kierunku wzgórz Fiesole. - Masz rację. Odmieniłem swoje życie. Być tu? Służyć panu? Niczego innego nigdy nie pragnąłem. Powiniennem więc być szczęśliwy, ale kiedy jestem najszczęśliwszy jest mi również najgorzej.

Tego nie zrozumiałam.

- Jak to?

Popatrzył na mnie, niczym na głupią prostaczkę.

- Gdyby moja siostra żyła, nigdy bym tego wszystkiego nie miał. Nie zrozum mnie źle - bardzo ją kochałem. Ale gdyby nie umarła, wciąż pracowałbym w polu. A gdybym wziął sobie żonę, to musiałbym pracować jeszcze ciężiej, żeby wykarmić rodzinę. I bez względu na to, jak ciężko bym harował, zawsze mogłaby nadejść taka zima jak ta zeszłego roku, kiedy nie wystarczyło jedzenia dla wszystkich. Zamiast tego siedzę o pełnym brzuchu i zabawiam się na dachu z córką bogacza. Nie, Floro. Z powodu Alessandry nie wolno mi nigdy zapomnieć, że swoje szczęście zbudowałem na jej grobie.

To było poważne stwierdzenie. Nawet jak na niego. Zabrakło mi ciętej riposty na końcu języka. Przestało być zabawnie.

Wreszcie Emilio podniósł oczy i przerwał ciszę.

- Nigdy nie dotarłabyś do Wenecji. Nie udałoby ci się dojechać nawet do Bolonii - powiedział. - Na drogach czyhają rozbójnicy. Szczególnie na takie dziewczęta jak ty. Takie, które całe życie spędzają w palazzos i wiozą diamenty swego papy.

Zrozumiałam, do czego zmierza Emilio. W drodze nie mogłabym posługiwać się swoją własną twarzą. Musiałabym stać się kimś innym.

- W takim razie nie podróżowałabym jako dziewczyna - stwierdziłam.

Gwałtownie podniósł głowę i przymrużył oczy.

- Złapałby cię.

Przyjrzałam się sobie badawczo. W zasadzie można mnie było wziąć za młodzieńca. Ramiona i twarz miałam zaczerwienione od słońca, za paznokciami półksiężyc brudu. Może jednak nie skończyłabym jak tamta dziewczyna, ta, którą pozbawiono nosa na placu.

- Może nie. Popatrz na mnie, Emilio. Ja już wyglądam prawie jak chłopak.

Emilio zlustrował mnie od stóp do głów. Bardzo dokładnie. Kiedy skończył, pokręcił głową.

- Nie wyglądasz prawie jak chłopak - zaprotestował i powtórzył: - Złapałby cię.

Powietrze rozdarł kolejny krzyk z Bargello. Ten już usłyszałam. Ktoś musiał wyrządzić Medyceuszom straszliwą zniewagę, że zasłużył sobie na taki los. A może nie. Może był to ktoś taki jak Emilio, kto musiał posunąć się do drastycznych czynów, by zdobyć cokolwiek do jedzenia. Kimkolwiek był, pomodliłam się za niego, by cierpienia nie zabiły w nim marzeń.

- Biedacy - podjął Emilio i przeżegnał się. - Signor Valentini z pewnością się teraz śmieje.

- Signor Valentini nie istnieje - odparłam. - To tylko historyjka wymyślona, by straszyć dzieci, które nie chcą jeść kolacji.

Emilio wzruszył ramionami.

- Alessandra opowiadała, że kiedyś żył prawdziwy signor Valentini. Że mieszkał w Bargello i to właśnie on był przyczyną wszystkiego cierpienia na całym świecie. Ale może masz rację. Może to tylko ludzka opowieść, którą zmusza się dzieci do właściwego zachowania.

Poderwał się na równe nogi.

- Allora, późno się robi. Powinniśmy pomóc nonnie - zdecydował. Ruszył ku drabinie, ale po chwili odwrócił się do mnie. - Zatrzymaj jeszcze swoje diamenty. Twój plan ma co prawda skazy, ale może istnieje jakiś inny sposób, abyś zrealizowała marzenia.

Słyszac kolejne krzyki, zacisnelam mocno oczy. Swiatełka, które rozjarzyły się pod moimi zamkniętymi powiekami, wyglądały jak milion białych szwów na koronkowym łożu. Po chwili otworzyłam na powrót oczy i dołączyłam do chłopaka.

Z całą pewnością wiedziałam tylko jedno: Nie chciałam iść do klasztoru, nie, dziękuję bardzo. Mamma co roku mnie nim straszyla, ale jak dotąd udawalo mi się podobnego losu uniknąć. Byłam już w klasztorze Najświętszej Pani w Fiesole: jest tam ciemno i ciasno, a zakonnice wydzielają woń rozgotowanych owoców. Poza tym wszystkie ślepna od haftowania bielizny.

Wiedzialam tez, ze lubię mieć nos na swoim miejscu - nie chciałam, by trafil do miski jakiegoś bezdomnego kundla. Żywiłam szczerą nadzieję, że Emilio ma rację i że znajdzie się jakiś inny sposób. Może, jeśli się odpowiednio przysłuże swej rodzinie, to poznają się na mojej prawdziwej wartości. Może wtedy pozwolą mi zostać w palazzo. Nie marzyłam już nawet o ślubie - to byłaby zbyt duża śmiałość. Ale może mogłabym zająć miejsce nonny i stać się kucharką i uzdrowicielką. To chyba nie byłoby wcale takie złe. Zwłaszcza, jeśli mogłabym w ten sposób odzyskać swój ogród. Życie babci wypełnione było ciężką pracą, ale przynajmniej miała swoją miarkę wolności.

Rozdział 9

Tej nocy, kiedy goście już odjechali i w kuchni piętrzyły się wysokie jak prawdziwe góry stosy brudnych talerzy, nonna opowiedziała nam historię mojej imienniczki.

Stała przy palenisku i wciskała pomiędzy rozżarzone węgle kolejne drewniane szczapy. Właśnie wtedy Emilio zapytał, czy Flora to imię, które otrzymałam po kimś z rodziny.

- Nie bardziej niż Lorenza, które to imię nadała jej matka. Florą nazwałam ją ja. Dlatego, że przez całe swoje życie wolała przebywać na świeżym powietrzu niż wśród czterech ścian. Ale nie jestem pewna, czy postąpiłam słusznie. Legenda o bogini Florze wcale nie jest przyjemną opowieścią.

To mnie zdziwiło: Jak to możliwe, żeby losy bogini kwiatów nie były przyjemne?

Babcia tymczasem, zadowolona z rozpalonego ognia, ciężko usiadła na krześle za dębowym stołem i obrała sobie pomarańczę.

- Proszę mówić, nonna - zachęcił Emilio.

- Podobnie jak w przypadku mojej wnuczki, Flora nie było prawdziwym imieniem bogini wiosny Florą nazwano ją dopiero w starożytnym Rzymie. W Grecji, zanim została Florą, była zwykłym ludzkim dzieckiem. Dziewczynką o imieniu Chloris.

Zanurzyłam naczynia w brudnej wodzie. Staralam się nie okazywać zbytniego zainteresowania. Chloris. Takie proste, zwyczajne imię. Podobało mi się. W moim domu zazwyczaj opowiadano historie o zupełnie innych dziewczętach - o tych ładnych. Spotykał je dobry lub zły koniec, w zależności od tego, jak bardzo były potulne. Takie nieposłuszne dziewczyny jak ja bardzo rzadko stawały się bohaterkami.

- Niobe, matka Chloris, była królową Teb - ciągnęła nonna. - Była to dumna i próżna kobieta. Urodziła siedem córek i siedmiu synów. Tak bardzo upoiła ją jej pozycja i to, jak była ważna, że zaczęła się przechwalać swoim potomstwem przed samymi bogami. A bogów bardzo to rozwścieczyło. Szczególnie urażona poczuła się Leto, która sama powiła tylko dwójkę dzieci - Apolla i Dianę.

Przeszukałam swoją pamięć. Apollo był bogiem słońca, a Diana, jego siostra bliźniaczka, boginią łowów i księżycy. Żadne z nich nie było potulne. A już na pewno nie Diana. Lubiła przemieniać ludzi w jelenie i posyłać za nimi w las swoje wygłodniałe psy gończe. Nonna miała rację. Ta opowieść nie zapowiadała się zbyt wesoło.

W tej chwili na stole leżał jeden, spiralnie zwinięty pasek pomarańczowej skórki. Nonna wbiła kciuki w samo serce owocu i rozerwała go na cząstki. W powietrzu natychmiast rozszedł się słodki zapach.

- Czternaścioro dzieci - ciągnęła babcia, kręcąc głową. - Wszystkie zostały zamordowane na oczach matki. To była rzeź. Ale nie jest mi łatwo współczuć Niobe. Była głupia. Zanadto przejmowała się swoją pozycją, ulotną opinią na własny temat, dużo bardziej niż rzeczywistym losem własnej rodziny.

- A gdzie w tym wszystkim Chloris? - spytał Emilio, zdrapując małe kosteczki z zatłuszczonych talerzy do kubła na śmieci.

- Chloris była najmłodszą z dzieci Niobe. Zanim Diana wypuściła ostatnią ze swych strzał, Chloris poprosiła zabójczynię o oszczędzenie jej życia.

- Skoro potem sama została boginią, to prośba pewnie zadziałała? - zauważył Emilio.

Nonna wzruszyła ramionami.

- O jej końcu różnie się mówi. Zależy kogo zapytasz. Niektórzy powiadają, że została zabita jak całe jej rodzeństwo. Ale większość jednak utrzymuje, że Diana się mimo wszystko zlitowała i darowała Chloris życie, po czym przegnała ją precz i skazała na wieczne krążenie po ziemi, na wieczną ucieczkę przed Zefirem, bogiem zachodniego wiatru.

Uciekłam myślami do Fiesole i do wiatru, który zmusił mnie do jedzenia własnych włosów. Nie bardzo mieściło mi się w głowie, by jakkolwiek wicher mógł być tak silny, by ścigać kogoś przez całe lata. Zrobiło mi się szkoda losu Chloris: zaskoczonej, nierozumiejącej co się dzieje, wyczerpanej, chcącej po prostu usiąść i odpocząć. Chloris, która gdy tylko pozwalała sobie na chwilę bezruchu, natychmiast czuła na plecach smagający ją bezlitośnie wiatr i musiała zrywać się do dalszego biegu.

- I co się zmieniło? - spytałam. - Co sprawiło, że Chloris stała się Florą?

Nonna usiadła wygodniej na swoim drewnianym krześle, smakując szczegóły historii, jakby to robiła ze świeżym miodem.

- Mogą być tylko dwie odpowiedzi. Pierwsza jest taka, że bogowie wreszcie się nad dziewczyną zlitowali i przemienili ją w boginię. Druga brzmi tak, że Chloris wreszcie zebrała się na odwagę, przestała uciekać i zmierzyła się z własnym przeznaczeniem.

Nonna zjadła ostatnią cząstkę pomarańczy. Emilio stał, wciąż wycierając ten sam talerz, którym się zajął na początku opowieści.

- Musiała być naprawdę dzielna, że ważyła się stanąć twarzą w twarz z bogiem - zauważył chłopak zasłuchanym głosem.

- Owszem - przytaknęła babcia, machając ku nam skórką pomarańczy. - Dziewczyna

miała coraggio. Ale to była innego rodzaju odwaga niż ta, której pełni są zazwyczaj mityczni bohaterowie. Wszyscy oni szukają własnej chwały, jeden płynie na obcą wyspę zabić Minotaura, inny wyprawia się po złote runo. Sami szukają okazji do bohaterstwa, które spada na nich niczym ulewa. Ale Flora? Ona niczego takiego nie chciała. Po prostu nie dała się złamać własnej tragedii. I coś takiego wymaga prawdziwej siły woli.

Nonna spojrzała mi w oczy, czym przekazała mi wiadomość, którą nie do końca zrozumiałam. Wydaje mi się jednak, że było to coś w rodzaju: wiem, jak cierpisz. Wiem o diamentach. Nie łam się. Wytrwaj, a staniesz się boginią. Nonna westchnęła i cisnęła pomarańczową skórę w ogień.

- Jestem zmęczona. Bądź dobrym chłopcem i pomóż mi wejść na górę - poprosiła Emilia, który już stał przy jej łokciu.

Kiedy oboje zniknęli, rzuciłam się do ataku na resztę brudnych naczyń, starając się przerobić góry w niewysokie wzgórza. Właśnie wrzuciłam kolejny stos do wody i uwaląłam sobie ramiona mydłem po łokcie, gdy usłyszałam czyjeś kasznięcie.

Odwróciłam się. Na stopniu siedział signor Botticelli. W dłoni trzymał pusty, wysadzany rubinami kielich. Z czoła spływał mu strużkami perlisty pot, który co chwila ocierał nieskazitelnie białą chusteczką.

- Co pan tu robi? - spytałam.

- Uciekam przed waszymi gośćmi. Potrzebowałam oddechu - wyjaśnił. - Ten Riario to dopiero lubi przemawiać. Rozwlekle. Dziś wieczorem z nudów zacząłem sobie wyobrazać, jak by to było, gdybym włosy w nosie zaplótł sobie w warkocze. A skoro o nudzie mowa: gdzie jest wino? Po winie z pewnością poczuje się lepiej.

Skinęłam głową w stronę spiżarki.

- Proszę się częstować - powiedziałam i wróciłam do swoich naczyń, w nadziei, że kiedy dostanie, czego chce, pójdzie sobie precz.

Niestety jednak wrócił i postawił na stole dwa pełne kielichy. Zrozumiałam, że jeden miał być dla niego, a drugi przeznaczony był dla mnie. Potem wziął do ręki czystą szmatkę, zwilżył ją i bez słowa przemył moją twarz.

- Hej! - syknęłam i zaczęłam się opędząć, jakby był natrętną pszczołą.

Ale moje protesty wcale go nie powstrzymały. Kiedy skończył, wziął mnie za brodę i obrócił moją twarz w lewo, a potem w prawo. Miałam wrażenie, że wypatruje skaz. Jestem pewna, że dostrzegł ich całe mnóstwo.

Wreszcie mnie puścił. W dół schodów spływały do nas dźwięki bankietu.

- Piękna jest dosyć w wielkiej sali. Naprawdę musi się pan jeszcze znęcać nade mną? -

spytałam.

Skrzywił nos z odrazą.

- Tam na górze? Tam jest aż nazbyt wiele piękna. Piękne suknie, piękna muzyka, piękne nakrycia - spojrzał na wysadzany klejnotami kielich. - Ale tamto piękno nie jest w stanie nakarmić duszy.

- Bene, skoro już pan tu jest, to niechże się pan do czegoś przyda - oznajmiłam i podałam mu czysty talerz. Potem jeszcze jeden. Wytarł je i nadal wcale nie zbierał się do odejścia.

- Myślę, że twoja nonna jest najpiękniejszą kobietą na całym świecie - stwierdził w pewnej chwili.

Odłożyłam naczynie, które właśnie myłam. Nigdy nie słyszałam, by ktoś powiedział o niej coś podobnego. Nawet ci wdzięczni babci za uzdrowienie i poczęstunek nader często nazywali ją wiedźmą. Ale ja pomyślałam o rzucanym przez nią zgarbionym cieniu i nagle w powietrzu rozszedł się słodki zapach, jakby ktoś wdarł się właśnie w miękkie ciało pomarańczy.

- Też tak uważam. Jej troskliwość - cierpi przez nią, ale także dzięki niej staje się piękna.

Signor Botticelli przytaknął mi skinieniem głowy.

- Żałuję, że maluję twoją siostrę, a nie ją.

Spojrzałam na niego w najwyższym zdumieniu.

- Zamknij usta, Floro. To nie uchodzi - Botticelli, upił długi łyk wina. - Twoja siostra jest naprawdę śliczna, ale sztuka potrzebuje czegoś więcej. Czegoś, co wreszcie odnalazłem. A nie było to proste zadanie. Teraz jednak wszyscy powinni zacząć nazywać mnie maestro.

To powiedziawszy, osuszył kielich i sięgnął po mój. Nie sprzeciwiłam się. Na jego oblicze wypłynął wywołany alkoholem rumieniec.

Też mi maestro. Za każdym razem kiedy przechodziłam obok niego i mojej siostry, sztalugi były zasłonięte. W moich oczach zajmował się jedynie układaniem jej włosów i kiści winogron w jej rękach, a potem pił nasze wino, z naszych kielichów i nazywał naszych gości nudziarzami.

- I co pan zrobił? - spytałam. - Umył jej pan twarz?

- Nie, nie - odparł siadając na krześle i zarzucił na dębowy stół swoje nogi w brudnych buciorach. Najwyraźniej dał już sobie spokój z wycieraniem naczyń. Rozpiął pas i westchnął bardzo głośno, z zadowoleniem. - Tu chodzi o coś, co ona zrobiła. Zdarzyło się to tamtego dnia, kiedy słońce świeciło na ciebie, a strażnicy trenowali na dziedzińcu. Usadziłem ją z lalką na łonie. Lalka zastępowała mi małego Jezusa. Rozważałem, czy nie namalować jej jako Madonny na tronie. Ale wtedy ktoś krzyknął z dołu i obróciła głowę.

- To na pewno Giuseppe - przypominałam sobie. - Stałam mu na nodze.

- Nie przerywaj - zganił mnie Botticelli. - Allora. Zobaczyłem, jak ona patrzy na kapitana waszej gwardii. Z tak wielką tęsknotą i smutkiem w oczach... To właśnie ten smutek sprawił, że stała się piękna. Może twoja siostra prowadzi teraz czarowne życie, ale to nie potrwa wiecznie. I ona zdaje sobie z tego sprawę.

Raz jeszcze przyjrzałam mu się w zdumieniu, ale tym razem uważałam, żeby nie otworzyć ust. Domenica? Moja Domenica posmutniała z jakiegokolwiek powodu? Ta dziewczyna, wystarczająco piękna, by mieć naraz męża i kochankę? Ta, która zawsze otrzymywała rodzicielskie błogosławieństwo?

Być może jednak w jego słowach tkwiło jakieś ziarno prawdy. Ostatnio uśmiechała się w bardziej wymuszony sposób, a kiedy czegoś chciała, mówiła szybciej niż dawniej. Może signor Botticelli miał rację. Bardziej szczęśliwa już nigdy nie będzie i dobrze to rozumiejąc, czuła dławiący niepokój.

Ze spiżarki wyszedł Emilio i z jego oczu pomknęło ku naszemu gościowi naręcze strzał.

- Co pan tu robi?

- Przyszedłem w poszukiwaniu małych beczulek - odpowiedział Botticelli, unosząc kielich w kpiącym pozdrowieniu. - Jak myślisz, skąd wzięło się moje przezwisko?

Emilio spojrzał na wypuszczony z pasa potężny kałdun malarza. Potem strzelił oczyma ku mnie. Botticelli. Mała baryłka. Z jakiego powodu ktoś mógł wybrać sobie taki pseudonim? Albo z powodu budowy - pękaty jak beczułka - albo dlatego, że wypijał naraz wiele małych beczulek wina. Emilio znalazł się w kłopotliwym położeniu. Mógł albo nazwać signora Botticellego pijakiem, albo grubasem.

- Może jeszcze wina, signor Botticelli? - zaproponowałam i sięgnęłam po pusty kielich.

- Signorina Flora, jest pani boginią pośród kobiet - odpowiedział i mrugnął porozumiewawczo.

Wzięłam świecę i poszłam do spiżarki. W półmroku wciąż uderzałam głową w zwisające z sufitu udźce i suszone wiązki ziół. Wreszcie wpadłam na beczkę wina i zanurzyłam w niej kielich. Kiedy wyszłam, we włosach miałam pełno kawałeczków prosciutto i suszonego rozmarynu.

Zatrzymałam się w ciemności na progu i usłyszałam skrawek rozmowy pomiędzy Emiliem i artystą.

- Dlaczego ona pracuje tu na dole? Dlaczego nie jest na górze razem ze swoją siostrą, ozdobiona perłami? Dlaczego nie gra na mandolinie? - pytał signor Botticelli. - Przecież jest tak samo Pazzi, jak ta druga.

Zdjęta paniką, cofnęłam się w mrok. Poczułam się tak, jakby ktoś miał do mnie wystrzelić z łuku. Nie. Nie to. Tego mu nie mów. To nie jest przyjemna opowiastka.

- ...jak niechciane kocięta. Może sobie pan to wyobrazić? - mówił Emilio.

- Ci arystokraci są inni ode mnie i od ciebie - odparł signor Botticelli. - Co za ludzie. Lubię sobie myśleć, że gdybyśmy - ty czy ja - mieli jedenaścioro dzieci, to i tak równie mocno kochalibyśmy jeszcze i dwunaste.

Emilio odpowiedział:

- Signora Cenesta próbowała powiedzieć signorze Maddelenie, że z głową Flory wszystko jest w porządku, że dzieci, które długi czas spędziły w kanale rodzym często tak wyglądają i że z czasem ten jajowaty kształt zładownieje.

Ale signora Maddelena nadal nie dała się przekonać. Nie chciała się Florą zajmować, ani nawet na nią patrzeć. Powiadają, że signora Cenesta musiała wyciągać Florę z signory Maddeleny szczypcami, których zwykle używa się przy hartowaniu podków końskich. Może kiedy patrzyła na Florę, widziała tylko swój ból.

- Musisz pamiętać, że to tylko przypuszczenia - zwrócił uwagę signor Botticelli, machając ostrzegawczo palcem - ale być może wcale nie jesteś daleki od prawdy. Pewnie jesteś zbyt młody, by to pamiętać, ale dwadzieścia lat temu signora Cenesta robiła naprawdę szalone wrażenie. Co noc uctowała na górze, a mężczyźni zjeżdżali z daleka, by wysłuchać jej rad. A co teraz z niej zostało? Pokręcona stara kobieta, przygotowująca kompresy i mieszająca zupę?

- Proszę uważać na słowa, signor - powiedział Emilio. - Signora Cenesta zawsze była dla mnie dobra.

- Ona jest dobra dla całego miasta - przytaknął Botticelli. - Co nie zmienia faktu, że jest teraz jedynie cieniem dawnej siebie.

- Co pan sugeruje?

- Według mnie możliwe jest, że signora Maddelena tylko groziła, że utopi Florę jak niechciane kocięta w worku, ponieważ zrozumiała, że ktoś chce jej bardziej niż ona sama.

- I myśli pan, że signora Cenesta zrezygnowała ze swej pozycji głowy domu w zamian za możliwość wychowania Flory, za jej życie?

Przez kilka minut panowała zupełna cisza, zmacona jedynie szczękiem talerzy, chowanych do kredensu.

- Flora twierdzi, że przeznaczono ją do klasztoru, ale ma już czternaście lat, a wciąż tu jest. Sądzi pan, że to wpływ signory Cenesty? - spytał wreszcie Emilio.

- Był taki czas, że ta kobieta miała posłuch nawet u królów - odparł Botticelli. -

Zatrzymanie Flory przy sobie nie byłoby żadnym wyczynem dla kogoś tak przebiegłego jak ona.

Nie spodobało mi się, że ktoś nazywał nonnę przebiegłą, ale z drugiej strony nie podobała mi się cała ta rozmowa. Słyszałam tę historię już dziesiątki razy przedtem. Wniosek z niej pozostawał wciąż jeden i niezmienny: byłam brzydkim dzieckiem i mój ród nie mógł niczego zyskać, wydając mnie za męża. Nikomu nie byłam do niczego potrzebna.

Usłyszałam ciche westchnienie Emilia.

- Co za rodzina, co? Sami cretini.

- Nie, Emilio. To ci się nie uda. Nie możesz zatrzymać dla siebie Flory i signory Celesty, nie zwracając uwagi na innych. One obie są także częścią tego rodu.

Nasłuchiwałam się już dosyć. Wysłałam ze spiżarni i zbyt zdecydowanym ruchem podałam signorowi Botticellemu jego kielich. Napój rozlał się na stole i zabrudził nieskazitelną, lnianą bluzę malarza.

Spojrzałam gniewnie na Emilia, zakasałam spódnicę i ostro ruszyłam w górę po schodach. Moje stopy, obciążone zazwyczaj wagą noszonych do i z kuchni rzeczy, wyłobily przez lata dołki w miękkim drewnie stopni.

Czułam się rozdarta na dwoje. Trzaskający w palenisku ogień i spokojny ton Emilia w połączeniu z przyjemnym brzmieniem jego głosu sprawiały, iż moja tragedia wydawała się jedną z wielu podobnych opowieści - taką, która przydarzyła się komuś innemu, komuś, kto dorósł i został przemieniony w krzak wawrzynu, albo opowieścią o kimś, kto strzelał w słońce złotymi jabłkami.

Ale druga połowa mnie nie mogła przestać się trząść. Słyszałam już to wszystko dziesiątki razy, ale zawsze na końcu dowiadywałam się o tym, że mamma mnie nie chce („A dlaczego miałyby cię chcieć?” - skwitowała niegdyś Domenica. - „Przecież miała już mnie”). Aż do dziś. Dziś po raz pierwszy dowiedziałam się, że mamma wykorzystwała mnie, sprzedała za lepszą pozycję w domu. Czy to mogło być kłamstwo? Chyba nie. Wiedziałam wcześniej tyle: kiedy umarł mój nonno, mamma powinna natychmiast stać się panią domu. Tak się jednak nie stało. Rodem nadal kierowała nonna, która - niczym Lukrecja Medyceusz - zyskała sobie potężną pozycję. Skoro jednak nonna z mamką zamieniły się miejscami, musiało się wydarzyć coś innego. Nigdy nie pomyślałam, że chodziło o mnie. Od zawsze żyłam w przekonaniu, że nie miało to ze mną zupełnie nic wspólnego.

A jednak Emilio się nie mylił. Mamma mnie rzeczywiście nie chciała. Ponadto, jak zauważył signor Botticelli, wszystko to były tylko przypuszczenia, ale bardzo prawdopodobne przypuszczenia.

Przed dzisiejszą nocą nie byłam pewna, na czym polega tragedia mojego życia. Nie wiedziałam, czy cierpię dlatego, że nie jestem piękna, czy dlatego, że nie mogę przynieść fortuny mojej rodzinie.

Teraz jednak zrozumiałam, co było moją rzeczywistą tragedią. Było nią to, że babcia kochała mnie zbyt mocno.

To prawda, bez jej wsparcia mogłam skończyć na dnie rzeki Arno. Ale mogłoby też tak nie być. Bez wpływu nonny, mamma mogła mnie wreszcie zaakceptować. Może wtedy nigdy nie stałabym się Florą, możliwe, że pozostałabym Lorenzą Pazzi, arystokratką, dziewczyną przystrojoną w akceptację rodziców, gładką i luksusową jak najprzedniejszy aksamit. Przechadzałabym się po całym palazzo jak Domenica, krokiem tak lekkim, że nie złośliłby w podłodze najmniejszych nawet rowków.

Ale tak się nie stało. Zostałam zmuszona, by szukać innych sposobów na przysłużenie się rodowi. Gdy zasypiałam - czując pod policzkiem twarde kształty moich diamentów - nie wiedziałam jeszcze, w jaki sposób mam uciec. Wiedziałam za to, że nonna się pomyliła. Samo spojrzenie w oczy własnemu przeznaczeniu to za mało. Gdybym tu została, nigdy nie stałabym się boginią. Musiałam działać raczej jak ci inni, mityczni bohaterowie - ci z Grecji - którzy sami wyruszali na poszukiwanie własnych potworów. Te, które żyły w moim domu, bardzo mnie już nużyły.

Rozdział 10

Następnego ranka napadłam na Andreę, kiedy szedł do biblioteki. Z nosem ukrytym w książce przemierzał właśnie galerię Madonn. W jaki sposób udawało mu się naraz iść i czytać? Zaczęłam się bać, że przewróci się o popiersie Dantego.

- Fratello mio - przywitałam się.

Spojrzał na mnie i uśmiechnął się z pobłażaniem.

- Floro - odpowiedział. - Kiedy wrócisz do banku? Otrzymaliśmy nową dostawę gobelinów i zastawy stołowej. Trzeba je zinwentaryzować.

Gobeliny i zastawa stołowa. Widocznie znowu jakiś rozwiąży książkę nie spłacił pożyczki na czas.

- Kiedy tylko mnie wezwiesz - rzekłam. - Ale teraz posłuchaj. Mam do ciebie pytanie.

Z wielkiej sali dobiegał nas głos signora Botticellego, który usadzał właśnie Domenicę w odpowiedniej pozycji i rozstawiał po kątach swoich uczniów. Wyciągnęłam brata na balkon i ściszyłam głos.

- Jak najlepiej dostać się do Wenecji?

- Chyba nie zamierzasz wybrać się w taką podróż, prawda, Floro? - spytał, wybuchając śmiechem. - Obrabowano by cię albo i zabito, zanim dotarłabyś do Fiesole.

Sama też spróbowałam się roześmiać, ale z jakiegoś powodu zupełnie mi to nie wyszło.

- Nie, nie ja. Miałam na myśli kogoś w rodzaju Emilia.

Andrea spojrzał na mnie poważniej.

- Ale on z pewnością także nie zamierza odejść, prawda? Jest nadzwyczaj godny zaufania. Trzeba nam więcej podobnych ludzi.

- Nic mi nie wiadomo, żeby się dokądś wybierał. Ale proszę cię, Andrea. Nie rozumiesz, że jestem po prostu ciekawa? Jak się do tego rodzaju wyprawy zabrać? Ile potrzeba na taką drogę pieniędzy?

Andrea wyraźnie się uspokoił. Pomyślał zapewne, że zabawiam się intelektualnymi rozrywkami, wyobrażam sobie niestworzone, nierealne historie. A to było przecież jego ulubione zajęcie. Następne po zrzucaniu przedmiotów z dużej wysokości.

- Tu nie chodzi o pieniądze, Floro. Pieniądzy powinnaś w takiej podróży pilnie strzec. Gdybym był podróżującym samotnie młodzieńcem, jechałbym jak najszybciej, trzymał się

głównych traktów i modlił się o to, by nikt nie dowiedział się, że wiozę ze sobą cokolwiek wartościowego. Miałbym też ze sobą broń i nie mógłbym się bać jej użyć. Na całym półwyspie nie ma ani jednej bezpiecznej drogi.

Poklepałam go po kolanie.

- Grazie, Andrea. Skoro i tak nie mogę opuścić tego miejsca, muszę podróżować w wyobraźni.

Wyprostowałam się i chciałam odejść.

- Floro - zatrzymał mnie brat, którego czoło nagle pokryło się zmarszczkami niepokoju. - Jesteś pewna, że pytałaś o podróż dla jednej osoby? Nie chodziło ci czasem o dwie?

Wiedziałam, o co pyta. Chciał się upewnić, czy nie planujemy z Emiliem wspólnej ucieczki.

- Jestem pewna, Andrea. Nie mam zamiaru uciekać. Ani z Emiliem, ani bez niego.

- Chodziło mi tylko o... - teraz on się wyprostował. Znajdujące się za moimi plecami drzwi do galerii stały na wpół otwarte. Zamknął je dokładnie. Szczęknęła klamka. - Nie jestem ślepy. Wiem, że w klasztorze nie byłabyś szczęśliwa. Wiem także, że z rozmaitych powodów mamma nie planuje wydać cię za mąż - pochylił się bliżej - i jeżeli rzeczywiście chciałabyś się dowiedzieć, w jaki sposób dwie osoby mogłyby się przedostać ukradkiem do Wenecji, to chyba mógłbym ci pomóc. Ale nie teraz.

- Skoro nie teraz, to kiedy?

- Najlepiej byłoby nigdy. Za bardzo bym za tobą tęsknił. Ale z południa wieją silne wiatry. Takie, które mogą odmienić cały nasz los.

Tym mnie zaskoczył. We Florencji najczęściej wiało od północy. Ale na południu leżał Rzym. Andrea mówił o papieżu.

- W przyszłym tygodniu jest Wielkanoc - ciągnął. - Nasza matka planuje wyprawić w Wielką Sobotę wspaniałą ucztę. Zaprosiła na nią Medyceuszy. Ma nadzieję pokazać im wtedy arcydzieło signora Botticellego.

- Uczta? W Wielką Sobotę? Ta kobieta zupełnie oszalała.

Andrea wzruszył tylko ramionami.

- Jeśli jej się uda, może nie będziesz wcale musiała wyjeżdżać. Ale jeśli nie, to może okazać się niezbędne. Trzeba ci wiedzieć, że nie podoba mi się ten Riario. Jak na mój gust, jest nazbyt sztuczny.

- Obiecuję ci, że przed Wielkanocą nie zrobię nic.

- Bene - odpowiedział Andrea.

Otworzyłam drzwi.

Zamknął je na powrót. Jakiś problem dręczył go bardziej niż zwykle. Coś, co obracał w zamkniętych ustach raz po raz, jak drażniące ziarenko piasku.

- Jest jeszcze coś. Przykładaj się do nauk kapitana Umberto. Myślę, że wszyscy powinniśmy przejść takie przygotowania.

Andrea wciąż trzymał drzwi ręką. Nie otwierał ich. Chciał, bym go w jakiś sposób uspokoiła. Jeszcze bardziej niż dotąd.

- Fratello mio, niczym się nie przejmuj. Przysięgam ci, że jeszcze się razem zestarzejemy i będziemy zrzucać z dachów ciężary, żeby sprawdzić, jak szybko spadają.

Cofnął rękę i uchylił lekko drzwi. Wcale się nie uspokoił.

- To moje ulubione marzenie, Floro. Ale tak naprawdę boję się, że nasze szanse na jego zniszczenie spadają. Bardzo szybko.

Zostawiłam Andreę i zesłam na dół, poszukać Emilia. Chłopak stał w wejściu do palazzo pod herbem z delfinem, w niezwykle urzędowej pozie. Ubrany był w bluzę od munduru, mazzochio mocno trzymało się jego głowy. Nie mogłam nie zauważyć, że bardzo się zmienił, odkąd pojawił się u nas po raz pierwszy. Dziś - w roli strażnika - już prawie wcale nie wyglądał śmiesznie. Przynajmniej czapka trzymała się prosto.

- Co ty tu robisz? Myślałam, że pobawimy się na dachu.

- Nonna właśnie otrzymała wiadomość. Kapitan Umberto i reszta dzisiaj wracają. Od śmierci Cesare nie zachorował już nikt. Drzwi do kwater gwardzistów zostały otwarte i nasi ludzie mogą wyjść, kiedy tylko zechcą.

- Bene - powiedziałam. - W takim razie stanę tu z tobą.

Emilio i ja zajęliśmy posterunek przed palazzo. Stanęliśmy ze skrzyżowanymi włóczniami, tak jak podpatrzyliśmy u innych strażników. Przechodzący obok ludzie pozdrawiali nas skinieniami głowy.

- Ciao, Floro! Ciao, Emilio! Piękną dziś mamy pogodę.

Starłam się, jak mogłam, ale sama myśl o tym, że mogłabym wyglądać groźnie jako wartownik wywołała u mnie głośny chichot. Jeśli o mnie chodzi, to stanie z włócznią w ręku niczym się nie różniło od wypatrywania piratów z dachu. Wreszcie przyszła do nas nonna. Przyniosła dwa budynie z rodzynkami i wtedy przestałam już pilnować czegokolwiek.

- I jak tam poranna wachta, ragazzi? - spytała. Ona także uważała, że się bawimy.

Emilio uniósł dłonie ku niebu.

- Z tej tutaj nigdy nie będzie dobrego żołnierza - powiedział, wskazując mnie brodą.

- Ale nawet żołnierze muszą czasem jeść - powiedziała babcia i naląła mu kubek wody i właśnie w tej chwili, kiedy przestaliśmy pilnować wejścia, wrócili strażnicy. Było ich w sumie siedemnastu: dwunastu naszych gwardzistów i pięciu od hrabiego Riario.

Miałam nadzieję, że nasi nie zżyli się z przylbami od hrabiego. Tamtych wciąż nienawidziłam za to, że zniszczyli mój ogród (mimo że jeden przeprosił mnie odpowiednio - umierając za karę).

Kiedy jednak tak szli wolnym krokiem przez ulicę, zdałam sobie sprawę, że nie mam najmniejszego pojęcia, co zaszło w czasie, kiedy siedzieli razem zamknięci.

Po pierwsze, obie grupy trzymały się z dala od siebie. Ludzie Riario szli po drugiej stronie ulicy. Kapitan Umberto i cała reszta natomiast szli w ten sposób, by znajdować się przez cały czas pomiędzy obcymi i palazzo. Wyczułam niesłychane napięcie; gwardziści hrabiego przez całą drogę pluli i mamrotali coś ściszonymi głosami.

Wszyscy byli bladzi i wydzielali okrutną woń. Nic dziwnego. Trzy dni bez opróżniania nocników.

I wtedy zorientowałam się, że jeden z naszych gwardzistów, Piero, był jeszcze bledszy niż pozostała szesnastka. Kiedy podeszli jeszcze bliżej, zauważyłam, że się potyka. Kapitan Umberto podał mu rękę i wtedy spostrzegłam, że Piero lewą dłoń owiniętą miał zakrwawionym, brudnym bandażem.

O Madonno! Co się temu nieborakowi stało?

Nonna zareagowała natychmiast. Odwinęła opatrunek. Całe przedramię zbroczone miało krwią. Stanęłam obok niej i polałam krew wodą z kubka, byśmy mogły zobaczyć rozmiary rany. Wyglądało to zupełnie tak, jakby ktoś przebił mu dłoń włócznią.

- Zaprowadźcie go do kuchni - poleciła Giovanniemu. - Niech Graziella da mu tyle wina, ile tylko zdoła wypić. Przeżyje, ale następna godzina nie będzie dla niego przyjemna.

Mimo ostrzeżenia, Piero ucieszył się z troskliwej opieki, jaką otoczyła go babcia.

- Grazie, signora Cenesta - powiedział i zniknął.

Ludzie hrabiego Riario stanęli blisko siebie po prawej stronie wejścia.

Ten najgorszy, ten, który dłużył sobie sztyletem w nosie, także i teraz wyjął swój nóż i zaczął rzucać nim w wyobrażony na ziemi cel.

I wtedy zrozumiałam, że chociaż nie spędziłam z nimi tych trzech dni w zamknięciu, to wiedziałam już dostatecznie wiele.

Nonna pociągnęła mocno nosem. Pachniało obrzydliwie. Swąd oblepiał włosy i ubrania mężczyzn.

Cisnęła kapitanowi Umberto sakiewkę i kazała zaprowadzić gwardzistów do łaźni.

- Tylko żeby mi się nie skończyło na zwilżeniu twarzy i karków. Macie wejść do wody cali. Potem podeślę wam Graziellę z czystą bielizną.

Babcia powąchała fryzurę tępaka od hrabiego Riario. Z jednego z jego loków zerwała się do lotu mucha.

- Tobie też by nie zaszkodziło, gdybyś z nimi poszedł - zauważyła.

W odpowiedzi jedynie rzucił nóż i podniósł go z ziemi. Nonna chwyciła go za ucho.

- Mówię coś do ciebie, prostaku.

Wydaje mi się, że wiedziałam, co się święci, jeszcze zanim dotarło to do nonny. Ten z muchami we włosach zbyt chętnie brał się do noża.

Odrzącił gwałtownie dłoń babci, pchnął ją na ścianę i przystawił ostrze do gardła kobiety.

- Siedz cicho, stara babo. Nie ty będziesz nam rozkazywać.

W jednej chwili znalazłam się na jego plecach. Drapałam mu twarz, próbowałam wyłupić oczy.

- Zostaw ją!

Nie byłam w stanie wyrządzić mu poważnej krzywdy, ale swoje zrobiłam.

Napastnik odsunął ostrze od gardła nonny i ciął mnie w przedramię. Poczułam palący ból, ale wciąż trzymałam go mocno. Emilio ryknął głośno i straszliwie i odciągnął ramię zbira. Był przy tym tak brutalny, że wydawało mi się, iż za moment wykręci rękę mężczyzny ze stawów.

Tępak zmienił wtedy swoją taktykę i uderzył moimi plecami o ścianę. Wciąż nie puszczałam. Byłam wściekła. Nikomu nie wolno w ten sposób traktować mojej babci. Uniosłam zdrową rękę do przetłuszczonej głowy bandyty i wydarłam z niej garść włosów. Przeciwnik okrutnie krzyknął i raz jeszcze uderzył moimi plecami w ścianę, tym razem skutecznie mnie od siebie odrywając. Wtedy rzucił mnie na ulicę, jakbym była workiem słomy. Wylądowałam w łajnie.

Przez chwilę czułam tak silne zawroty głowy, że widziałam tylko kościelne wieże. Gdy wreszcie spojrzałam przytomniej, ujrzałam co najmniej dziesięć sztyletów (naszych) przytkniętych do ludzkich ciał (ich). To były prawdziwe noże - nie jakieś tam drewniane atrapy. Mocnym tego dowodem była moja zakrwawiona ręka.

Na piersi mężczyzny, który to wszystko rozpętał, siedział kapitan Umberto. Nóż oficera dotykał gardła napastnika.

- Dość tego! Nie obchodzi mnie, kto jest twoim panem - rzucił z miną tak srogą i zażartą, że byłam przekonana, że z człowieka przemienił się w jakieś mordercze, niebezpieczne zwierzę.

Przycisnął ostrze broni nieco mocniej do szyi leżącego i po skórze spłynęła kropla krwi. Nie rozluźnił chwytu. Klęczałam obok przez chwilę, przez dwie chwile, przez trzy. I wtedy, gdy byłam już przekonana, że jest po wszystkim, kapitan Umberto warknął nieludzko, uniósł sztylet do twarzy przeciwnika i wyrzył mu w policzku głębokie, nierówne nacięcie.

Mimowolnie cofnęłam się, rozglądając za Emiliem, który nagle pojawił się z tyłu, chroniąc moje plecy. Ścisnął moje zranione ramię. Mimo że wiosenne powietrze dokoła było niezwykle ciepłe, zaczęłam się trząść.

- Tranquillo - szepnął. - Spokojnie - ale jego własny głos wcale nie pobrzmiwał spokojem.

Przypomniałam sobie, że dobrze jest oddychać. Z tego wszystkiego, co wydarzyło się w przeciągu ostatnich kilku minut - począwszy od wyciągnięcia noża i podniesienia uzbrojonej ręki na nonnę, przez rozcięcie mojej własnej skóry - najbardziej przerażający wydał mi się wyraz twarzy kapitana Umberto, gdy rozcinał policzek napastnika.

Pachołek hrabiego Riario podniósł dłoń do rany, ale nie wydał z siebie ani jednego dźwięku. Jego wzrok był także przerażający - mroczny i pełen nienawiści.

Kapitan Umberto odpowiedział mu spojrzeniem równie przenikniętym ciemnością.

- Dziś pozbawiłem cię przystojnej twarzy. Jeśli jeszcze choć raz podniesiesz rękę na którąkolwiek z mieszkańek tego domu, pozbawię cię czegoś zupełnie innego.

Wstał, podszedł do mnie i podał mi rękę.

- Va bene, Floro? - spytał. - W porządku?

- Si - potwierdziłam niepewnie i wyprostowałam się. Bardzo się go w tej chwili bałam, ale jakąś częścią umysłu, tą, do której strach nie miał dostępu, wiedziałam, że Umberto stał się tak przerażający z naszego powodu. Dobrze rozumiałam, kto jest prawdziwym wrogiem i nie miałam zamiaru pokazać im swojego lęku i wahania. - To tylko zadraśnięcie - dodałam, oglądając ramię. I faktycznie - rana była długa, ale niezbyt głęboka.

Emilio stanął obok mnie. Patrzył za wycofującymi się ulicą ludźmi hrabiego Riario. Zebrał w ustach porcję śliny, zupełnie tak, jakby chciał splunąć, ale Umberto zasłonił mojemu przyjacielowi twarz dłonią.

- Nie - powiedział cicho kapitan.

Popatrzyłam dokoła. Nonna przybrała już swą zwyczajną, przygarbioną postawę i obracała na palcu swój pierścień z czarnym psem. Piero - druga krwawiąca osoba - był już w kuchni i upijał się, by nonna mogła zabrać się do zszywania jego ran. Po starciu pozostał tylko okropny swąd w powietrzu. Nie przeszkadzał mi już.

Tego dnia stało się jednak coś więcej. Raz jeszcze spojrzałam na spływającą po swoim

ramieniu krew i poczułam się tak, jakbym została właśnie ochrzczona.

Kapitan Umberto uklonił się przed babcią.

- Jeśli można prosić o słowo rozmowy, signora - powiedział.

Nonna skinęła głową i całą czwórką - Emilio, Umberto, nonna i ja - weszliśmy na dziedziniec.

Za nami została dziesiątka ludzi. Wszyscy stali dumnie wyprostowani i kiedy skrzyżowali w wejściu swoje włócznie, zupełnie nie wyglądało to, jakby się bawili.

Kiedy byliśmy już ukryci przed spojrzeniami z ulicy, kapitan Umberto oparł się o marmurową kolumnę i zaczął ciężko dyszeć, jakby miał ochotę zwymiotować. Dopiero teraz zrozumiałam, ile go to zajście kosztowało. Właśnie taka była cena zachowania sznurów pereł i gładkiej skóry mojej siostry.

- Miała pani rację - Umberto odezwał się do nonny. - Trzy dni w zamknięciu z tymi szczurami ze wszystkich nas zrobiły zwierzęta.

- Udało się wam czegoś dowiedzieć? - odpowiedziała pytaniem.

- Zupełnie niczego - przyznał kapitan. - Poza tym jednym, że nie wolno się z nimi obchodzić jak ze zwykłymi ludźmi. To wystarczający dowód - dodał, wskazując na moją rękę.

Skinęłam tak, jakbym zrozumiała, o czym rozmawiali. Ale nie rozumiałam niczego. Czego oni się chcieli dowiedzieć?

- Jest gorzej, niż się obawiałam - zgodziła się nonna. - Raz jeszcze postaram się wpłynąć na swojego syna. Być może nie jest zbyt późno, by posłuchał głosu rozsądku. Mam tylko nadzieję, że sobotnia uczta okaże się sukcesem i będziemy mogli nazywać Domenicę signorą de Medici.

Na wzmiankę o mojej siostrze kapitan Umberto nagle podniósł głowę.

- W tę sobotę? - spytał. - Tak szybko?

Nonna przytaknęła skinieniem.

- Wiem, jak bardzo cię to boli, ale tak będzie najlepiej.

- Rozumiem, oczywiście, signora Cenesta - odpowiedział zmęczonym głosem. - Przez całą zimę wydawało mi się, że w życiu nie będę chciał o tym pomyśleć z wytęsknieniem. Ale po tym, co stało się dzisiaj... wystarczy mi świadomość, że nic jej nie grozi.

Umberto mocno zacisnął powieki i wyprostował się. Kiedy na powrót otworzył oczy, znów był bohaterem - takim o przyjemnym uśmiechu, rozmawiającym gładkimi słowami. Przestał już być groźnym mężczyzną, który ledwie kilka chwil przedtem rozciął ludzką twarz.

Podszedł do mnie i łagodnie przeczesał mi włosy palcami. Poczułam drżenie w

koniuszkach palców u stóp. „Powiedz to” - przemknęło mi przez głowę. - „Choć raz nazwij mnie amore.”

- Widzę - odezwał się - że wy dwoje nie próżnowaliście pod naszą nieobecność - powiódł wzrokiem w kierunku Emilia i z powrotem do mnie.

Teraz bolała mnie nie tylko ręka. Chciał być uprzejmy, ale przecież zupełnie nie to pragnęłam usłyszeć.

- Tak - prychnął ironicznie Emilio - bardzo sprawnie strześliśmy palazzo przed słomianymi manekinami.

Kapitan Umberto skinął głową.

- Walcząc przeciwko ludziom z krwi i kości też poradziście sobie dobrze - stwierdził. - Ale słusznie się boicie. Skoro uczta ma się odbyć już w sobotę, nie zostało nam zbyt wiele czasu - zdjął dłoń z mojego ramienia. - Umyj się - powiedział. - Dziś po południu nauczę cię bić się kijem. Dla ciebie to odpowiednia broń do walki z wyższym przeciwnikiem.

Rozdział 11

Nonna poleciła, by przygotowano mi kąpiel w wannie w jej pokoju. Przycisnęłam do rany wilgotną szmatkę i zanurzyłam się w ciepłej wodzie, wdzięczna za tę chwilę ucieczki od wszystkiego, co działo się w domu. Lubiłam pokój babci. Było tu cicho i skromnie - za całe wyposażenie służyło proste łóżko, kufer, krucyfiks nad łóżkiem i stojąca pod ścianą brązowa płaskorzeźba przedstawiająca psa. Sięgała mi niewiele ponad pas. Gdybym stała, musiałabym się pochylać, żeby ją zobaczyć, ale z wanny mogłam przyglądać się bez przeszkód.

Wciąż nie mogłam przestać myśleć o dzisiejszym zajściu. Cały czas rozlegały się echem w mojej głowie wypowiedziane na dziedzińcu słowa rozmowy nonny i kapitana Umberto. „Miała pani rację. To zwierzęta.”

Rozmawiali ze sobą tak swobodnie. Jak dwójka towarzyszy broni.

Nie, nie towarzyszy broni - zrozumiałam po chwili. Jak dwoje spiskowców.

Ale w jakim spisku brali udział? „Trzy dni zamknięcia. Niczego się nie dowiedział”.

Przecież zostali zamknięci razem tylko dlatego, że Cesare zmarł na zarazę. Czegoś takiego nie można było zaplanować, prawda? Jak można samemu sprawić, że wydarzy się coś, co jest wyłącznie boskim zrzędzeniem?

Z narożnika pokoju nonny doleciały mnie stłumione głosy. Skuliłam się w wannie.

- Graziella? - zawołałam nieśmiało.

Ale nie było jej tu; na trzeszczących schodach nie rozległy się niczyje kroki. Byłam sama. Co więc usłyszałam?

Rozejrzałam się. Głosy zdawały się dobiegać wprost z brązowego psa. Pamiętałam, że gdzieś go już wcześniej widziałam, ale nie byłam sobie w stanie przypomnieć, gdzie. Wreszcie zrozumiałam. Identyczny pies widniał na pierścieniu nonny.

I znowu to usłyszałam - cichy głos. Nie! Dwa ciche głosy.

Podniosłam leżący na kufrze lniany ręcznik i owinęłam się nim. Podeszłam pod ścianę, do psa i przyłożyłam ucho do drewnianej boazerii. Co było po drugiej stronie? Zawsze wcześniej wydawało mi się, że pokój nonny graniczy tylko ze spiżarnią.

Położyłam dłoń na głowie brązowego psa, żeby go pogłaskać i ściana otworzyła się bezszelestnie, przesuwając na zawiasach. Odskokczyłam w tył.

Ujrzałam ciemny, ciasny schówek wypełniony zakorkowanymi fiolkami. Uśmiechnęłam

się. Więc nonna miała tajemny pokój. Ucieszyłam się. Od dawna uważałam, że ma u siebie zbyt mało rzeczy. Nabrałam odwagi i postąpiłam o krok dalej, do środka. Powąła była tu nisko i uderzyłam się głową o belkę. Przykucnęłam. W schowku było bardzo ciemno. Żeby cokolwiek zobaczyć, musiałam posługiwać się dotykiem. Coś przewróciłam.

- Co to było? - rozległ się głos. Męski głos. Dobiegał z miejsca po drugiej stronie babcinego schowka. Znieruchomiałam i wstrzymałam oddech.

- Nic takiego - odpowiedział mu drugi głos, należący do mojego ojca. - Ten kominek skrzypi od czasu do czasu.

Ostrożnie podniosłam to, co przewróciłam - szklaną buteleczkę opatrzoną znajomym symbolem czarnego psa. Zobaczyłam także ceramiczny kielich - niezbyt ozdobny. Różny od tych, których używano w wielkiej sali na ucztach. Bardziej przypominał te zwykłe, które podawano gwardzistom do posiłków. Uniosłam go do nosa.

Z naczynia ostro cuchnęło migdałami.

Odwróciłam się ku głosom i nieśmiało napałam na ścianę. Była ciężka, ale nieznacznie się uchyliła. Poczulałam w twarzy takie gorąco, jakbym stanęła w ogniu. I wtedy zrozumiałam, gdzie się znalazłam - za kominkiem w bibliotece papy.

- Zwlekłeś zbyt długo, Jacopo - odezwał się ten drugi głos, w którym rozpoznałam hrabiego Riario. - Nie jesteś niewiniątkiem, pamiętasz? Obiecałeś papieżowi, że w tym tygodniu pozbędziesz się Medyceuszy. Jeśli zawiedziesz, jego świętobliwość nie będzie zachwycony.

- Nie zawiodę, Riario. Wierz mi. Potrzebuję tylko czasu.

- Czasu? Na co? Nie jesteśmy słabymi ludźmi. Trzeba nam działać.

- I tak się też stanie. Po jutrzejszym przyjęciu.

Coś trzasnęło. Jakby uderzająca w stół, ciężka księga.

- Przyjęcie i przyjęcie. Powtarzam ci, moi ludzie już wrócili. Musimy uderzyć teraz.

- Roztropności, mój drogi hrabio. Il Magnifico ze swoją matką i bratem przybędą na ucztę osobiście. Chcę zobaczyć, jak ze sobą współdziałają. Wawrzyniec coraz odważniej poczyna sobie w signoriach, ale podejrzewam, że to nie jego powinniśmy się tak naprawdę obawiać.

- Uważasz, że groźniejszy jest Giuliano? - spytał Riario.

- Nie, mam na myśli ich matkę, Lukrecję - papa zachichotał. - Z doświadczenia wiem, że starych kobiet nie wolno nie doceniać.

Usłyszałam westchnienie, po czym znów odezwał się Riario.

- Rozumiem. Nie rwiesz się do działania, ponieważ obawiasz się zemsty czyjejś mammy.

Ojciec nie odpowiedział. Ciągnął więc hrabia, niezwykle wygładzonym, niemal do

połysku, głosem.

- Są tacy, którzy uważają, że tak naprawdę nie stoisz po naszej stronie. Powiadają, że w tajemnicy pragniesz się ułożyć z Medyceuszami.

- Dlaczegoż miałbym coś takiego robić, Riario? Nienawidzę Medyceuszy równie gorąco, jak ty.

Nastąpiła cisza i pomyślałam, że to jasne, że papa kłamie.

- Bene, pojutrze zatem - stwierdził wreszcie hrabia. - Z roztropności opóźnimy nasze przedsięwzięcie. Ale w całej swej roztropności, Jacopo, pamiętaj o jednym. Dziś jest już piątek. W niedzielę armia papieska dotrze pod Porta Romana. Spodziewają się spotkać i poprzeć nowego władcę Florencji. Tym człowiekiem możesz być ty. Ale może to być także ktoś inny. Ktoś, kto potrafi należycie obchodzić się ze starymi kobietami.

Przypomniałam sobie widok noża przytkniętego do gardła nonny. Zrozumiałam, że babcia i kapitan Umberto spiskowali, by uwolnić nas od armii szczurów hrabiego Riario.

Usłyszałam dosyć. Zamknęłam drzwiczki najciszej, jak potrafiłam i wyszłam ze schowka.

I ujrzałam trzymającą czystą koszulę nonnę.

Rozdział 12

- Odłóż to - powiedziała nonna. Jej skóra była w tej chwili równie srebrzystosiwa, co włosy.

Zupełnie zapomniałam, że trzymam w ręku kielich.

- Odłóż to! - powtórzyła ostrzej.

Odstawiłam naczynie na ławkę w ciemnym schowku. Nigdy jeszcze nie widziałam, by babcia rozzłościła się do tego stopnia. Była drobną kobietą, ale kiedy się gniewała, wydawała się gigantem.

- Czy ten kielich znalazł się w pobliżu twoich ust?

Nie odpowiedziałam. Wciąż zachowywałam się jak odlany z brązu posąg.

- Pytam cię o coś, dziewczyno! Czy dotknęłaś wargami tego kielicha?! Czy piłaś z niego?!

- Był pusty - wydukałam wreszcie.

Zbadała mnie, zupełnie tak, jakby oceniała stan któregoś ze swoich pacjentów. Podciągała mi do góry powiekę, otworzyła usta, zajrzała pod pachy. Czego mogła szukać?

- Bene - odezwała się wreszcie, wyciągnęła mnie z mrocznego schowka i zatrzasnęła ukryte drzwiczki. Potem zanurzyła mi ręce w wannie aż po pachy i szorowała je mocno, póki moja rana nie otworzyła się na powrót. Żeby nie krzyknąć, musiałam zagryźć wargę.

Kiedy skończyła, osuszyła mnie ręcznikiem i wręczyła mi koszulę.

- Załóż to i siadaj tam - wskazała mi swoje wąskie, proste łóżko. Zrobiłam, co kazała.

Babcia, drżąc na całym ciele, zaczęła nerwowo przechadzać się po pokoju.

Przyglądałam się jej i zaczęłam coś podejrzewać, choć nie ważyłam się dać tej myśli dojść do głosu. Kiedyś już słyszałam, że cyjanek, nawet w niewielkich ilościach, pachnie migdałami. Być może tak można było wywołać boskie zrzádenia.

Wreszcie nonna opadła ciężko na drugim końcu łóżka i westchnęła.

- Mogło się to skończyć o wiele gorzej - odezwała się po chwili.

- Proszę, nonna, ja naprawdę nie chciałam nic nabroić. Usłyszałam tylko głosy i chciałam sprawdzić, skąd dochodzą.

- Nie jestem na ciebie zła, Floro - odparła, kładąc swą powykrcaną, cętkowaną dłoń na mojej. - Jestem tylko starą, przestraszoną kobietą.

- Może przyniosłabym ci kieliszek wina, babciu?

- Nie, cara mia. Dobrze się czuję. Ale kiedy zobaczyłam cię, stojącą z tym kielichem w rękę, pomyślałam, że nadeszła godzina zapłaty za moje grzechy.

- Za jakie grzechy? Czego ty mi nie mówisz?

Podniosła się z miejsca.

- Nie jestem jeszcze gotowa, by wyjawić ci wszystko, cara mia, choć wiesz, że cię kocham. Ale wydaje mi się, że częścią tej opowieści mogę się z tobą podzielić.

Raz jeszcze nacisnęła brązowego psa. Drzwiczki stanęły otworem.

- To przejście wybudował nasz przodek, pierwszy Pazzi - ten rycerz, którym tak przechwala się twój ojciec. Korzystał z niego rycerz, a potem jego syn. Wszyscy mężczyźni z rodu Pazzich używali tej drogi. Nawet twój dziadek. Mój mąż. Wszyscy, jak jeden, byli cudzołóżnikami. Dobierali kuchenne posługaczki pod względem urody i oddawali im ten pokój. Potem, tym korytarzykiem wymykali się żonom i przychodzili tutaj. Twój nonno przysięgał, że nie jest taki jak reszta. Był grzesznikiem, ale wciąż obiecywał, że przestanie. Nie przestał. Nigdy. Więc to ja go powstrzymałam.

Spojrzałam na pyszniący się na jej palcu pierścień z czarnym psem. Obracała go wciąż i wciąż, tak jak to zwykle czyniła, gdy była podenerwowana.

Truczna. Wreszcie ważyłam się pomyśleć to słowo. Nonna była nie tylko uzdrowicielką. Była też zabójczynią. Właśnie mi o tym powiedziała: to ona zabiła mojego dziadka.

Czy mnie to zaskoczyło, zszokowało? Może. Ale nawet w połowie nie tak mocno, jak powinno było. Wciąż pozostała dla mnie moją babcią. Zgarbioną, siwą i piękną.

- Miałam nadzieję, że przynajmniej twój ojciec okaże się inny. Ale teraz wiem już, że jest taki sam jak reszta. Jedyne co zrobił, to zamienił rozpustę i zberezeństwa na chciwość, a swoją przebiegłość posługuje się w signoriach.

- Papai Jest chytry? Wydawało mi się, że prowadzi wyłącznie jawne interesy.

Nonna pokręciła głową i zamknęła drzwiczki schowka.

- Nie rozumiałaś jeszcze? W tym mieście nikt nie prowadzi wyłącznie jawnych interesów. Nawet ja.

Tej nocy sen nie chciał do mnie przyjść. Kiedy zamykałam oczy i czekałam na pojawienie się orzeźwiającej bryzy i lazurowego morza, widziałam jedynie wielkiego, czarnego psa. Im bardziej starałam się go przepędzić, tym bliżej mnie podchodził. Miałam wrażenie, że zupełnie wyraźnie czuję jego cuchnący oddech i widzę muchy latające naokoło

jego łba. Zęby miał ostre niczym sztylety.

I te wizje prześladowały mnie długo. Nie było więc niczym dziwnym, że kiedy Domenica przyszła na noc, wciąż jeszcze nie spałam. Siostra przyniosła ze sobą pojedynczą świecę, która rzucała na nas nieziemskie światło. Szeleszcząc, wyplątała się ze spódnicy, narzuciła koszulę nocną i przez cały czas mruczała pod nosem:

- Stupida, stupida, stupida.

A potem, moja czarująca, piękna siostrzyczka wypowiedziała takie słowo, na dźwięk którego zarumieniłby się nawet sam hrabia Riario.

- Domenica? - odezwałam się.

Po drugiej stronie pokoju nagle ucichło. Zdmuchnęła świecę i wpełzła do łóżka.

- Domenica? - spróbowałam raz jeszcze. - Nie śpisz?

- Nie - odpowiedziała i przewróciła się na drugi bok.

- Czy coś się stało? - spytałam, choć nie spodziewałam się innej odpowiedzi niż jakieś złorzeczenie, czy polecenie. Może, gdyby miała wyjątkowo dobry humor, powiedziała by coś w rodzaju: „przynies mi trochę sera” albo „rusz się po kolejną świecę”.

A jednak stało się zupełnie inaczej.

- Czuję się jak kura! - rzuciła i wybuchnęła najbardziej zajadłym płaczem, jaki słyszałam w życiu.

- O czym ty mówisz? - spytałam.

Po chwili zaczęła szlochać w nieco dłuższych odstępach.

- Zostałam oskubana - powiedziała. - Mamma wyjaśniła, że musi to zrobić dzisiaj, żeby jutro na mojej twarzy nie było widać żadnych czerwonych plamek.

- I to jest cały problem? - spytałam. - Przecież ty skubiesz się bez przerwy.

- Wyrrywam sobie włosy z głowy i czasem ten meszek nad wargą. Ale dziś zrobiła coś innego. Błagałam ją, żeby przestała. Ale ona nie chciała. Kazała mi się zamknąć. Powiedziała, że przynoszę wstyd rodowi Pazzich.

Wciąż nie rozumiejąc, słuchałam jej płaczu. Czyli mamma przesadziła, wyrrywając Domenice włosy. Ale czy to naprawdę był powód do płaczu?

Wtedy, raz jeszcze, odezwała się moja siostra.

- To zabawne, jak czasem uważa się pewne rzeczy za dane na stałe. Na przykład brwi.

- Wyskubała ci brwi?

- Powiedziała, że tak robią wszystkie modne damy i że muszę to znieść. Ale mnie się to wcale nie podoba. Wyglądam brzydko.

To powiedziawszy, ze zdwojoną mocą zalała się łzami.

Było ciemno, więc nie widziałam jej twarzy. Staralam się za to sobie ją wyobrazić.

- Czy mamma jest pewna, że taka panuje moda? Medyceusze nie pomyślą, że wyglądasz jak duch?

- Obiecała, że namaluje mi smołą cieńsze, bardziej delikatne brwi.

Smoła i kozia pasta - wszystko to na ludzkiej twarzy. I po co? Przecież naturalne brwi Domeniki były doskonałe.

- To nie ma sensu - zdecydowałam. - Żeby pozbywać się czegoś tylko po to, żeby założyć nowe.

- Łatwo ci mówić - zaczęła się robić opryskliwa. - Na ciebie mamma nigdy nie zwraca uwagi.

Zmarszczyłam czoło.

- Nadzwyczaj celna uwaga, Domenico - rzuciłam sucho.

Dobiegający dotąd z przeciwległej strony pokoju płacz zniknął. Nie zwolnił, nie zelżał. Całkowicie urwał się w jednej chwili. Zupełnie jakby potrafiła zdmuchnąć swoje uczucia, tak jak chwilę wcześniej zdmuchnęła świeczkę.

- Ta kobieta wciąż znajduje jakieś skazy i niedoskonałości - odezwała się, bardziej do siebie niż do mnie. - Nic i nigdy nie jest dla niej wystarczająco dobre. Jeśli tu zostanę, wkrótce nic po mnie nie będzie. Wyskubie mnie całą.

Kiedy to powiedziała, zaczęłam ją trochę rozumieć. Być może nie byliśmy od siebie aż tak bardzo różne - ona i ja. Ona chciała tu zostać, w ogrodzie. Ale ogrodu już nie było i - podobnie jak to stało się ze mną - nie miała przed sobą już wyraźnie wytyczonej ścieżki. Wszyscy dokoła tylko mówili jej, jak ta ścieżka powinna wyglądać. Może, gdzieś pod tymi wszystkimi przechwałkami na temat męża i kochanka, po prostu się bała.

- Domenico - odezwałam się. - Posłuchaj kogoś, kto widział w życiu bardzo wiele oskubanych kur. Zupełnie nie przypominasz żadnej z nich. Nigdy nie będziesz do żadnej podobna. Cokolwiek by mamma nie zrobiła, nie będzie w stanie odebrać ci twojego piękna. Bo masz coś pod sukniami i pod makijażem. Widział to signor Botticelli. I ja też to dostrzegam. A także kapitan Umberto. Czemu ty sama nie chcesz tego zobaczyć?

Zapadła cisza i dotarło do mnie, że przywołując osobę kapitana Umberto, posunęłam się o krok za daleko. Trochę tak, jakbym otworzyła jej zablźnioną ranę.

Domenica westchnęła.

- Czeka mnie jutro bardzo długi dzień.

I to było już wszystko. Nie powiedziała, że spróbuje złapać nieco snu. Wiedziałam, że nie będzie w stanie. Nie nazwała mnie siostrą - skądś wiedziałam, że tego także nie potrafi.

Wymieniłyśmy po prostu kilka słów w mroku.

Tej nocy, choć z całych sił starałam się wygładzić poduszkę, wciąż czułam diamenty, które wspólnie spiskując przeciwko swej właścicielce, gryzły mnie w policzek.

Jutrzejszy dzień miał się okazać bardzo długim dla nas obu.

Rozdział 13

Kiedy obudziłam się nazajutrz rano, Domenica już nie spała. A nawet więcej - nie tylko nie spała, ale i wesoło nuciała.

Otworzyła okiennice na oścież i świergotała w porannym słońcu. Teraz dopiero zobaczyłam, co mamma wczoraj narobiła. Faktycznie, brwi mojej siostry zniknęły. Nie tylko one. Mamma wyskubała też włosy znad jej czoła. Tak wysoko, że twarz Domeniki wyglądała jak połówka jajka.

Bez względu jednak na to, co stało się z nią wczoraj, nie wydawało się to mieć żadnego wpływu na jej dzisiejszy humor.

- No, wstawaj leniuchu - rzuciła. - Rusz się i przynieś mi trochę truskawek.

Ściągnęłam z siebie kołdrę i sięgnęłam po sukienkę. Nie byłam zła, widząc, że Domenica znów stała się sobą. I tak musiałam iść do kuchni. Czekają mnie wiele pracy. Miała przyjść dostawa pięćdziesięciu żywych węgorzy, licznych klatek pełnych skrzeczących bażantów, beczek oliwy z oliwek i całych funtów gęsich wątróbek, z których wyrabialiśmy gęsty sos. Moim zdaniem powinniśmy po prostu zaszlachtować świniaka i byłoby z głowy, ale nonna stwierdziła, że Medyceusze wolą lżejszą, bardziej wystawną strawę. No i zgadnijcie, kto miał odrąbywać głowy do naszej kolacji?

Wyszłam z pokoju i ruszyłam korytarzem. Cienkie kapcie nie wydawały na drewnianej podłodze żadnego dźwięku.

- A ty dokąd się wybierasz? - w holu pojawiła się mamma i żeby zwrócić na siebie moją uwagę, zaklaskała w dłonie. Była nieuczesana i ciemne włosy spadały falami wokół jej pasa.

- Do kuchni? - rzuciłam. Było to bardziej pytanie niż odpowiedź.

- Nonsens - prychnęła mamma i wzięła mnie pod rękę. - Jesteś częścią tej rodziny i czas już, byś zaczęła się odpowiednio do tej roli zachowywać, a nie przemykać wciąż dołem jak szczurzyca. A teraz wracaj do swojego pokoju i czekaj na pokojówki. Poproszę twoją babkę, żeby przyniosła tobie i twojej siostrze coś do jedzenia. Ale nie jedzcie zbyt wiele. Dziś wieczorem musicie się zmieścić w ciasnych sukniach.

Zauważyła bandaż na moim ramieniu.

- Musisz założyć długi rękaw - stwierdziła.

To był pierwszy raz, kiedy usłyszałam, że mam zasiąść w wielkiej sali do uczyty razem z

wszystkimi. Myślałam do tej pory, że mam tam tylko podawać i wcale mi się ta zmiana nie podobała. Jak widziałam, mammie najwyraźniej też nie.

- Nie mogliście po prostu powiedzieć gościom, że jestem dziewczką kuchenną?

- Zastanawiałam się nad tym - przyznała mamma - ale twój ojciec zdążył już powiedzieć Il Magnifico, że mamy dwie córki na wydaniu. Zupełnie nie wiem, co go opętało.

Złapałam się na prostym wniosku: zrobił to dla pieniędzy, po cóż by innego? Prawdopodobnie chciał mnie pokazać ludziom, żeby zorientować się, ile może zyskać, wydając mnie za mąż. Byłam towarem, czymś w rodzaju diamentu ze skazą.

Domenica i ja spędziłyśmy cały dzień, siedząc w pokoju przed lustrami. Wokół nas krzątały się cztery pokojówki, a za nami czała się mamma, co chwila wyszczekująca kolejne polecenia.

- Trochę mocniej pod oczami.

Jedna ze służek zaczesła mi włosy do tyłu i już chciała się wziąć do ich skubania, gdy powstrzymała ją mamma.

- Na nią nie traćcie zbyt wiele czasu - rzuciła, patrząc mi przez ramię. - Ona musi tylko dygać i tyle. Prawda, Floro? Nie będziesz się dziś wieczorem odzywać, prawda?

- Nie, jeśli nie muszę - sama nie chciałam mówić. Miałam nadzieję, że schowam się w jakimś rogu i ukryję twarz za fałszywym uśmiechem.

Pod koniec długiego popołudnia jedna z dziewcząt wcisnęła mnie w prostą suknię (prostą znaczyło w tym wypadku ozdobioną jedynie czterema rubinami, zamiast całą zawartością skarbcza), po czym matka zgoniła mnie na dół, bym witała gości, choć nie bardzo rozumiem, jak spodziewała się, że będę to robić, nie odzywając się. Domenica była jeszcze w nocnej koszuli, nuciła sobie melodyjkę i podziwiała w lustrze swoje odbicie.

Ja na swoje odbicie nawet nie spojrzałam. Sukienki źle na mnie leżały i dobrze o tym wiedziałam. Poza tym, gdyby mnie w takim stroju zobaczył Emilio, z pewnością uznałby, że jestem babą i mięczakiem. Albo kimś podobnym.

Kiedy stanęłam na progu wielkiej sali i zaczęłam podziwiać dzieło mammy, był już wczesny wieczór. To miejsce rzeczywiście wyglądało dziś na scenę świątecznej uczy - było ślicznie - miękkie światło świec oblewało wszystko dokoła. Licznie zebrane damy błyszczały brokatem, minstrele wykonywali skoczną, wesołą muzykę. Przybyła już większość zaproszonych gości. Zauważyłam Renato i jego żonę, potem moją najstarszą siostrę Beatrice i Paola - jej męża o obliczu ropuchy. Przyjechali aż z Neapolu. Andrea stał przy balkonie, pogrążony w rozmowie z jakimś filozofem z Pizy.

Sam Il Magnifico wcisnął się w róg sali. Był ciemnowłosym mężczyzną o złowrogiem

twarzy i smukłej budowie. Założył na siebie bluzę o barwie czerwonego wina; nogawice miał czarne. Rozmawiał z innym mężczyzną - jednym z kolegów papieża z signorii. Pochylił czoło blisko do rozmówcy, szeptał mu coś i klepał go po policzku. Wyobrażałam sobie, że wypowiadał słowa w rodzaju „miłość” i „sojusz”, ale w głowie dźwięczało mu jedynie „władza”.

- Czyli nie jesteśmy już dla ciebie dość dobre, co?

Obróciłam się i ujrzałam Graziellę, dziewczynę kuchenną, o twarzy pokraśnialej z wysiłku lub od alkoholu. W rękach trzymała tacę z węgorem gotowanym w szałwi i oliwie. O Madonno! Czy ta kobieta każdą rozmowę musiała przemieniać w wymianę wzajemnych pretensji? Na sukienkę zarzuciła nową, aksamitną bluzę. Z przodu widniał symbol Medyceuszy - palle -, nasz herbowy delphine ozdobił ją na plecach. Mamma musiała zamówić te stroje specjalnie z myślą o dzisiejszym wieczorze. Nie szczędziła przy tym złota. Gdyby zechciała mnie wysłuchać, powiedziałabym jej, że wygląda to nieco zbyt arogancko. Samo noszenie na sobie herbu Medyceuszy nikogo jeszcze Medyceuszem nie zrobiło.

- Może zainteresuje cię to, że odkąd twoja wysokość nas porzuciła, każda ma dwa razy więcej roboty - dorzuciła Graziella.

Zmarszczyłam brwi.

- Mamma nie prosiła jeszcze o podanie głównego dania.

Dziewczyna zdecydowanym ruchem odstawiła tacę na stolik w korytarzu. Węgorze gwałtownie podskoczyły, jakby były jeszcze żywe. Wyprostowała się i schwyciła pod boki.

- W takim razie mam nadzieję, że wasi goście lubią jeść zimne. Dlatego, że nie zamierzam tego zabierać z powrotem do kuchni. Te tace są zbyt ciężkie. Twoja nonna wymaga ode mnie zbyt wiele.

Wzruszyłam ramionami. Jak chcesz. Mnie zimne węgorze zupełnie w niczym nie wadziły. To nie było moje przyjęcie.

Spodziewałam się, że Graziella wróci zaraz do kuchni, ale podeszła bliżej i zatrzymała się tuż obok mnie. Nie podobało mi się, że ta kobieta staje ze mną ramię w ramię. Nie lubiłam przebywać z nią nawet w jednym pomieszczeniu. Była taka leniwa. Chciałam, żeby sobie poszła.

Ale nawet nie drgnęła. Nie skończyła jeszcze mnie obrażać.

- Piękna noc - zauważyła. - Na pewno zebrała się tu cała Florencja. Ale mogę ci powiedzieć, kogo tu nie ma. Ojca Alberto.

Zmusiłam się, by nie przestać oddychać. Tylko nie ojciec Alberto. Lubiłam ojca Alberto. A ona dobrze o tym wiedziała i wykorzystywała do swoich celów. Mogłam tylko mieć

nadzieję, że szybko mnie obrazi i się tym nasyci.

- Wstąpił wcześniej do kuchni. Powiedział, że w wigilię Wielkiej Nocy osobom duchownym nie przystoi uczestniczyć w takich imprezach. Przypomnił nam, że Chrystus wciąż jeszcze jest martwy. I nie zmartwychwstanie do jutra rana. Mówił też, że do tej pory całe miasto powinno nosić żałobę. Aha, powiedział jeszcze, że gdyby przekroczył dziś wasz próg, sam szatan upiekłby go na ruszcie jak prosiaka.

Bardzo się bałam, że zarumienię się ze wstydu. Nie wiedziałam, czy ojciec Alberto naprawdę to wszystko powiedział, ale gdyby to uczynił, miałby przecież rację. Wróciłam myślami do tego dnia, gdy Emilio po raz pierwszy pojawił się w palazzo i do chwili, gdy oboje podsłuchiwaliśmy przez uchylone drzwi. Mamma przyrównała wtedy Domenicę do Najświętszej Pani. Już wtedy grzeszyła zbyt dużą pychą w imieniu całego naszego rodu. A dziś, kiedy tak patrzyłam na całe to widowisko i dwa herby zdobiące bluzy sług, odniosłam wrażenie, że nasza fortuna jest jak małe dziecko, dziewczynka, niemowlę, które mamma wyniosła na szczyt krzywej wieży i trzymając za nóżkę wyciągnęła za barierkę. A ja mogłam tylko przyglądać się, jak spada na bruk.

Grazielli nie przyznałam się do żadnej z tych myśli.

- Dwa razy więcej nieróbstwa wciąż pozostaje nieróbstwem - odparłam, prostując się. - Proponuję, żebyś zabrała się z powrotem do kuchni, zanim dopadnie cię nonna i pozwoli ci lenić się do woli na ulicy.

Graziella odeszła, mamrocąc pod nosem.

- Poczekaj tylko, Floro. Jeszcze was wszystkich Bóg pokarze.

Świetnie, pomyślałam. Niech sobie złorzeczy, niech zrzędzi. Przecież nie jest księdzem. Nie ma prawa przemawiać w imieniu Boga.

Wróciłam spojrzeniem do wielkiej sali. Stwierdziłam w duchu, że przez pierwsze nieprzyjemne spotkanie już przebrnęłam. Spodziewałam się, że reszta wieczoru nie może być o wiele gorsza.

I wtedy usłyszałam szelest spódnic. Dołączyła do mnie siostra.

Stała obok mnie na progu. Cztery pokojówki poprawiały ułożenie i wygląd sukni. Teraz, wymalowana i odpowiednio przystrojona wyglądała świetliście. Brwi namalowano jej ze znanostwem; na głowie miała delikatną, złotą opaskę, która wyglądała zupełnie jak aureola; jej sukienka mieniła się barwą bladego, niemal białego, różu. Rękawy przyozdobione były drogimi kamieniami - małe światełka mrugały do gości od nadgarstka po ramiona. Gdy przyjrzało się bliżej, klejnoty okazywały się wcale nie takie piękne, nie dorównywały efektowi, jakie starały się wywołać. W jednym zauważyłam nawet skazę. Bardzo znajomą,

przypominającą kształtem królika skazę.

Stała obok mnie i jej uśmiech stał się na moment złośliwym uśmieszkiem.

I nagle, zrozumiałam.

Przystroiła się w moją przyszłość.

Poczułam, jak płonie mi twarz. Ogarnęła mnie wściekłość tak wielka, że zaczęłam się cała trząść. Poczułam przemożną chęć, by zrzucić ją z balkonu, prosto w łajno. Miałam ochotę wcisnąć jej twarz w koński nawóz i trzeć tak długo, aż zejda jej brwi, a potem przepędzić w tym stanie przed gośćmi. Widzicie państwo? Pod całą tą pozłotą, jest zwykłą połówką zepsutego jaja.

Ale pomyślałam o nonnie i kapitanie Umberto i powstrzymałam się. To dobrzy ludzie chcieli tego ślubu, wcale nie sama Domenica. Postanowiłam zachować spokój. Dziś wieczorem będę się zachowywać, jak przystało na córkę rodu Pazzich. A zaraz po końcu uczty, pójdę prosto do jej pokoju i wrzucę jej szczotkę do włosów do nocnika.

- Pozwólcie, że pomogę siostrze - rzuciłam służkom, z coraz bardziej wyrafinowanym, sztucznym uśmiechem na twarzy.

Kiedy zniknęły, udałam, że poprawiam na trenie Domeniki zbląkaną nitkę.

- Po co? - syknęłam jej do ucha przez zęby. - Po co ci te kamienie?

- Powinnaś mi podziękować - odparła. - Nikomu nie powiem, że je ukradłaś.

- Nie masz nawet pojęcia, co narobiłaś.

- Nie tak głośno, siostrzo - rzuciła, kryjąc usta za torebką. - Doskonale wiem, co zrobiłam.

Zatrzepotała rzesami i zrobiła skromną minkę. Poczułam się, jak gotowa do strzału armata. A mimo to wciąż udawałam, że zaprzęta mnie coś z tyłu jej sukni. Miałam nadzieję, że znajdę tę jedną nitkę, której pociągnięcie sprułoby naraz cały strój.

- Mam piętnaście lat, siostrzo - ciągnęła. - Za mąż powinnam była wyjść mając dwanaście. Słyszałam, jak arystokraci szeptali o tym między sobą. Mówili, że musi we mnie być coś, co odstrasza kawalerów. Jeden nawet stwierdził, że spotykam się z diabłem, a pod spódnicami ukrywam kozie nogi.

Zaśmiałam się, wcale niewymuszenie. Faktycznie, w połowie była diabolicą.

- Mamma pracowała nade mną dzień i noc. Wyskubała mnie całą. A ty co zrobiłaś? Biegałaś sobie wolna jak ptaszek. Przychodziłaś i wychodziłaś, gdy ci się żywnie podobało. Przeżywałaś mnie za plecami. Nie myśl, że o tym nie wiem. Gdybym przez cały ten czas usłyszała od ciebie lub nonny choć jedno dobre słowo...

Podniosłam oczy i zobaczyłam, że na chwilę jej oblicze przestało być maską. Po chwili jednak stało się nią na powrót.

- Poza tym - szeptała Domenica - po co ci te śliczne błyskotki? Z nimi tylko wydawałabyś się jeszcze brzydsza, niż jesteś.

Podeszła do nas mamma w sukni koloru dobrego, czerwonego wina; włosy zaplecione miała w warkocze.

- Ach, tu jesteście - odezwała się. - Moje dwa słońca - wyciągnęła dłonie, jakby chciała objąć nas obie, ale pocałowała tylko powietrze wokół Domeniki, jej samej nie dotykając wcale - mnie zostawiła w spokoju.

Wzięła moją siostrę pod rękę i odwróciła ją tyłem do mnie. Też dobrze. Dzisiejszego wieczora odtrącenie nie przeszkadzało mi ani trochę. Mamma poprowadziła Domenicę ku pięknej damie o białej skórze i prostym nosie (na którym nie było świadczących o pochodzeniu z niższych sfer zgrubień, jak u mammy). Stała w sukni, w której materiał wpleciona była złota nić.

To musiała być Lukrecja de Medici, matka Wawrzyńca i Giuliana.

W pobliżu signory de Medici uwijał się signor Botticelli, wciąż donosił jej coraz to więcej wina i kolejne grzybowe tarty.

- Sługus - mruknęłam bezgłośnie. Signor Botticelli każdy wieczór ubiegłego tygodnia spędzał z nami w kuchni. Polubiłam go. Był dziwnym mężczyzną. Nawet potłuczone talerze potrafił ułożyć tak, że wyglądały ładnie. Dzisiaj jednak zaczynałam dostrzegać, że to nie miało żadnego znaczenia. Tu, na górze, okazał się taki sam jak reszta.

Domenica stanęła przed signorą de Medici. Ręce cnotliwie splotła przed sobą, oczy spuściła ku posadzce. Mimo że jej w tej chwili nienawidziłam, musiałam przyznać, że wygląda pięknie.

Z tym nie zgodziła się jednak signora de Medici.

- To rzeczywiście dość nadobne dziewczę - usłyszałam jej słowa - ale daleko jej do mojej Bianki. Trzyma się dobrze, włosy ma znośne...

Skub, skub, skub. Skubnięcie za skubnięciem. Domenica się nie pomyliła. Wszyscy ją skubali i wydawało się, że nie spoczną, póki nie wyskubią jej całej. Nie było to dla niej żadnym usprawiedliwieniem, ale dzięki tej świadomości mogłam zrozumieć ją nieco lepiej.

I wtedy - zupełnie jak wcześniej signorowi Botticellemu - zakręciło mi się w głowie od nadmiaru piękna. Zaczęło mi się wydawać, że każdy uśmiech jest zbyt szeroki, każda suknia zbyt bogato zdobiona. Wysłam na balkon i zamknęłam za sobą drzwi.

Wychyliłam się nad barierką. Tranquillo - napomniałam się w duchu, próbując uspokoić oddech.

- Dobrze się czujesz, signorina? - rozległ się męski głos.

Rozejrzałam się gwałtownie dokoła. Zobaczyłam młodego mężczyznę w doskonałym płaszczu i kaftanie z czarnego jedwabiu. W rękę trzymał kielich. W świetle lampy mogłam dostrzec tylko pół jego twarzy, ale jego rysy wyglądały bardziej na wygładzone niż przystojne. Miał gładką twarz; ręce niestwardniałe od pracy. Na szyi dźwigał ciężki, wysadzany klejnotami krzyż.

Nie miałam pojęcia, kim jest nieznajomy, ale oczywistym było, że miałam do czynienia z arystokratą. Musiałam się odpowiednio zachować.

Dygnęłam.

- Tak, czuję się świetnie, dziękuję. Po prostu wewnątrz panuje zbyt duży ścisk.

Spojrzałam na wyłożoną marmurowymi kafelkami posadzkę i złożyłam ręce przed sobą, dokładnie tak, jak to podejrzałam u Domeniki.

- Ale ty nie jesteś... Czy nazywasz się może Domenica?

- Nie - sprostowałam. - Jestem jej młodszą siostrą. Na imię mi Flora - powinnam była przedstawić się prawdziwym imieniem, Lorenza. Ale nie byłam nawykła do tak wyszukanych rozmów.

- Flora? - upewnił się. - Ta, którą traktują jak służkę?

Podniosłam wzrok i spojrzałam mu prosto w oczy.

- Skąd pan wie? - wydukałam.

Nieznajomy wzruszył ramionami.

- Mój brat ma szpiegów w całym mieście. Podejrzewam, że wie nawet, co jadłaś dziś na śniadanie.

- Pański brat? - spytałam. - Pan jest... Giuliano?

Przytaknął prostym skinieniem i oparł się o barierkę.

Podał mi swój kielich. Upiłam głęboki łyk wina i oddałam mu. Za nami rozlegał się wymuszony śmiech. Żadne z nas nawet nie spróbowało wrócić do środka. Staliśmy obok siebie, razem i przyglądaliśmy się świecącym poniżej, odświętnym lampom. Ktoś naprawił fontannę i woda szemrała w niej teraz miłym dla ucha dźwiękiem.

- Nie wydajesz się zawiedziona, że nie jestem kimś innym - zauważył Giuliano.

- Ani pan.

- Oczkiem w głowie rodziny jest mój brat. Ja nigdy nie byłem taki bystry ani inteligentny jak on. Mamma nazywa mnie utracjuszem.

- A moja mamma nazywa mnie szcurzycą. Mówi, że zawsze i wszędzie przemykam chyłkiem.

Ta chwila była pełna ciszy i spokoju. Żałowałam, że nie mogę spędzić tu całego

wieczoru, bez słów, bez obawy o to, że powie się coś nie tak, bez ciągłych, badawczych, dociekliwych spojrzeń, i przede wszystkim bez zastanawiania się, co będzie jutro.

Wtedy wszystko zniszczyłam.

- Ożenisz się z moją siostrą?

Giuliano nawet na mnie nie spojrział. Nie wydawał się urażony ani zaskoczony. Odniosłam wręcz wrażenie, że spodziewał się, że go o to zapytam.

- Twoja siostra jest naprawdę piękna - odpowiedział. - Ale nie tak piękna jak moja... - urwał.

- Jak twoja kto?

- W tym właśnie tkwi problem. Nie wiem, jak powinienem ją nazywać. Chciałbym móc powiedzieć o niej „moja żona”, ale nią nie jest. I nigdy nie będzie. Carolina, kobieta, którą kocham. Matka codziennie mi przypomina, że ona nie jest jedną z nas. Jest córką człowieka, który trudni się produkcją dzieł. Ma warsztat po drugiej stronie Arno, w pobliżu Fortu Belvedere. Ona zajmuje się jego klientami. Według mnie to najpiękniejsza kobieta na świecie.

- Ach - odpowiedziałam. Zrozumiałam też, że nadeszła właśnie chwila, której obawiał się cały mójród. Giuliano w niezwykle uprzejmy sposób dawał mi do zrozumienia, iż ślubu nie będzie.

Zadrzałam nieznacznie w chłodnym, nocnym powiewie. W końcu był dopiero kwiecień.

- Mamma twierdzi, że ja Caroliny nie kocham - ciągnął Giuliano. - Mówi, że to tylko przelotne zauroczenie i że tego należało się spodziewać. Ale ja dobrze wiem, co czuję.

- Twoja mamma nie może wiedzieć wszystkiego - zauważyłam. - Czy ona kiedykolwiek była zakochana?

Giuliano ściągnął usta.

- Wątpię. Jej małżeństwo było politycznym przymierzem.

Trąciłam go łokciem w ramię i wskazałam rozbawionych gości. Ich uśmiechy wyglądały niczym freski - jak coś domalowanego.

- Spójrz na nich. Czy którekolwiek wygląda, jakby kiedykolwiek kochali? Czy się dobrze bawią? Gdyby mnie ktoś spytał, to oni są utracjuszami.

Ta myśl go rozbawiła.

- Bardzo mi przykro, że stanę się powodem rozczarowania twojej siostry - przyznał. - Był taki czas, kiedy rzeczywiście stanowiła poważną kandydatkę na moją żonę. Ale to nie byłoby to samo, sama rozumiesz. Dostałaby moje pieniądze, ale nie moje serce. Potem jeszcze moja

matka postanowiła, że nie jest wystarczająco dobra i klamka zapadła.

- Dzięki - odpowiedziałam słabym głosem.

- Proszę cię, Floro, nie bądź taka - lekko, po przyjacielsku pchnął mnie w ramię. - Nie chciałem cię obrazić. Chciałem ją obrazić - swoją mamę. Dla niej nikt nie jest dostatecznie dobry. Może poza Chrystusem. Kupiła dla mnie biskupstwo. Powiada, że ród potrzebuje kogoś, kto zajmie się naraz kozą i kapustą. To chyba znaczy, zarazem bogactwem i sprawami ducha. Spodziewa się, że pewnego dnia zostanę pierwszym Medyceuszem - papieżem.

- I zostaniesz?

- Prawdopodobnie tak - odparł. - Papież Sykstus jest bardzo zadłużony u mojej rodziny. W dzisiejszych czasach kupić można nawet miejsce w watykańskiej hierarchii.

Spróbowałam zrobić zaskoczoną minę.

Odwrócił się ku dzielnicy i opróżnił kielich.

- Mówiłem ci, że mam syna? - spytał tonem starego przyjaciela, który chce się podzielić nowinami. „Czy wspominałem ci, co jedliśmy w zeszły wtorek? Ach i przy okazji, mam dziecko”.

- Nie.

- No więc mam. Wciąż jest jeszcze mały, ale to naprawdę szalenie przystojny chłopak. Prawdopodobnie najpiękniejszy Medyceusz w dziejach. Nie ma dla mnie większej radości niż spędzenie z nim godziny w ogrodzie... Widok jego uśmiechniętej twarzy, jego gaworzenie, raczkowanie w trawie. Bardzo mnie boli, że nie będzie mu wolno nosić mojego nazwiska.

Odwróciłam się od niego. Nie chciałam już słyszeć kolejnych rewelacji. Nie chciałam go polubić. Ale i tak było już za późno.

- Może tak będzie lepiej - skomentowałam, nie patrząc mu w oczy.

- Co masz na myśli? - zapytał.

- Może to, że nie nosząc twojego nazwiska, nie przejmie także całej, ciężkiej na tobie odpowiedzialności. Myślę o tym, że będzie mógł dokonywać własnych wyborów.

Giuliano przyjrzał się mi otwarcie.

- Wolność, co? - rzucił. - Cóż za piękna idea.

Mogłam tylko zgodzić się w duchu.

Po chwili spochmurniał i wziął mnie za rękę.

- Floro, bardzo dobrze mi się z tobą rozmawiało. Przyrzeknij mi, że nie będziesz o mnie źle myśleć.

Pomyślałam o losie mojej rodziny, o losie, który zawisł od kaprysu tego młodzieńca. Pomyślałam o słowach, którymi tak chętnie posługiwała się moja matka: przymierze, sojusz, szacunek. I zdałam sobie sprawę, że ze wszystkich durnych, pokrętnych spisków, jakie rodziły się w głowach członków mojej rodziny, ten z próbą zapewnienia sobie

bezpieczeństwa dzięki miłości, był najgłupszy.

- Obiecuję - powiedziałam. - Kiedy wyjeżdżasz do swojego nowego biskupstwa?

- Natychmiast po jutrzejszej sumie. Dlaczego pytasz? - odparł.

„W takim razie, kiedy Riario wcieli swój plan w życie, będziesz bezpieczny”.

- Naturalnie pojedziesz w towarzystwie gwardzistów? - spytałam.

- Zawsze tak podróżuję.

- Boję się po prostu. Tylu teraz rabusiów przy drogach - mruknęłam. - Wczoraj jeden z naszych kurierów nieomal dał sobie poderżnąć gardło na trakcie do Fiesole.

Przyjacielsko poklepał moją dłoń.

- Dobra z ciebie dziewczyna, Floro - powiedział. - Wiem, jak to jest żyć w cieniu starszego rodzeństwa. Ale wiem także, że to, iż mój brat jest diabelsko przebiegły, nie oznacza, że ja jestem przygłupem. Rozumiesz?

Przytaknęłam skinieniem, ale nie rozumiałam. Naprawdę nie.

Dostrzegł moje zmieszanie i wytłumaczył.

- Chciałem tylko powiedzieć, że nawet jeśli wszyscy uważają twoją siostrę za skończoną piękność, to wcale jeszcze nie znaczy, że ty jesteś brzydka. Twój ród może być rodem dwóch piękności, tak samo jak w moim mogą być dwaj mężczyźni zdolni do prowadzenia udanych interesów.

Odwrócił się, by odejść.

- Trwaj przy tym, co kochasz, Floro. Nie pozwól nikomu sobie tego odebrać. I nie pozwól - mówię poważnie - nie pozwól nikomu sprzedać cię kościołowi.

Żartował. Tak naprawdę mówił o sobie. Nic przecież nie wiedział o mojej przyszłości u Najświętszej Marii Panny w Fiesole. Byłam tego prawie pewna. Wtedy jednak mogłam tylko razem z nim zachichotać. Ukłonił się i swobodnie ucałował moją dłoń. Arystokrata obdarzony naturalnym wdziękiem. Dopiero wtedy zrozumiałam, że dobre maniery, jeśli się je odpowiednio stosuje, nie muszą być orężem, narzędziem walki. Niekiedy służą po prostu rozluźnieniu atmosfery.

Kiedy Giuliano otworzył drzwi, by wejść do sali, ujrzałam swoją matkę. Stała wewnątrz i patrzyła prosto na mnie. Spojrzeniem lodowatym jak marmur.

Rozdział 14

Goście zasiedli już za stołami i z zadowoleniem poruszali szczękami. Patery z węgorzami zostały opróżnione jakiś czas temu i teraz wszyscy dobierali się do pieczonych bażantów ze śliwkami w sosie z gęsich wątróbek. Mamma wskazała mi kościstym palcem wolne siedzenie, na dalekim krańcu stołu, z dala od co znamienitszych gości. W samym środku Il Magnifico rozmawiał z papą. Ręka Medyceusza spoczywała poufale na dłoni mojego ojca.

Okazało się, że posadzono mnie naprzeciwko mistrza cechu złotników, człowieka nazwiskiem Girolamo, który musiał być dawnym nauczycielem signora Botticellego. Poverino. Signor Botticelli bez przerwy opowiadał, jak bardzo cierpiał, terminując u złotnika; jak cierpiał w cuchnącym kuźnię warsztacie, nie mogąc realizować swych artystycznych wizji. A jednak siedzący naprzeciwko mnie człowiek wydawał się sympatyczny. Twarz miał całą czerwoną, zupełnie jakby ktoś go z okazji uczyty bardzo mocno wyszorował, a dłonie poczerniałe od sadzy. Zabawiał mnie fachową wyceną każdego naszyjnika w sali, zawstydzając jednocześnie z powodu miernego talentu, jaki wykazywałam do rachunków.

Hrabia Riario siedział jeszcze dalej od centrum wydarzeń niż ja. Nie rozmawiał z nikim. Kolejnymi ruchami łyżki przenosił zupę z talerza do ust, tylko jego oczy bez przerwy omiały salę.

Wreszcie nadszedł moment, którego tak bardzo się obawiałam. Wniesiono przesłoniętą tkaniną sztalugę i stanął przed nami signor Botticelli. Wyglądał wspaniale w aksamitnym płaszczu obszytym futrem gronostaja. Nie uśmiechał się, ale w jego oczach tańczyły ogniki ogromnego zadowolenia. To była jego chwila i cieszył się nią, jak mógł.

Ojciec poprosił zgromadzonych gości o ciszę i wygłosił zgrabną mowę:

- Przez kilka zeszłych tygodni mieliśmy zaszczyt gościć w naszych skromnych progach wielkiego artystę. Malarza, który postanowił, że moja córka Domenica, będzie mu pozować. Rozpoczął wtedy pracę nad nowym obrazem. Nad Madonną. Chyląc czoła, z najwyższą przyjemnością, chcielibyśmy teraz to dzieło wręczyć wielkiemu mecenasowi sztuki w naszym mieście - pani Lukrecji de Medici.

Signor Botticelli wystąpił naprzód. Wyprostowany, spoglądał swym przeszywającym spojrzeniem wprost w oczy siedzących na honorowych miejscach gości. Uśmiechnął się pełnym samozadowolenia uśmiechem, który zdawał się mówić, że malarz i tak jest

mądrzejszy od wszystkich obecnych. Przemawiał znakomicie.

- Signor Pazzi, signora Pazzi - skinął głową. - Chciałbym podziękować za waszą gościnność. Państwa córka jest najpiękniejszą młodą kobietą, jaką przyszło mi kiedykolwiek spotkać. Uważam, że jeżeli tym obrazem udało mi się oddać choć niewielką część jej urody, to moje dzieło zostało zwieńczone sukcesem.

Delikatna bażancia kostka utknęła mi w gardle.

Malarz klasnął dwukrotnie w dłonie i dwóch jego pomocników odsłoniło płótno.

Nóż wypadł mi z ręki. Otworzyłam szeroko usta.

Przed nami widniała Madonna piękniejsza niż jakikolwiek obraz, który widziałam do tej pory. Przed tym malowidłem musiały ustąpić nawet wrota Ghibertiego ze swoimi rajsłkimi wizjami.

Obraz przedstawiał trzy postacie: samą Madonnę, leżące na jej podołku dzieciątko Jezus i stojącego obok nich anioła o kędzierzawych włosach. Twarz Dziewicy należała do Domeniki, ale jej wyraz - ach! Przypomniałam sobie słowa signora Botticellego, który powiedział kiedyś, że moja siostra jest piękna tylko wtedy, gdy się smuci. A ta Matka Boska była bardzo smutna.

Anioł podsuwał Madonnie talerz, na którym leżały winogrona i pszenica. Takie same winogrona i pszenica, z jakich wyrabialiśmy chleb i wino. Takie same, jak te, z których ktoś musiał przygotować ostatni posiłek Jezusa.

To z pewnością symbol eucharystii - pomyślałam.

Madonna wyciągała dłoń, by odebrać podarunek. Zrozumiałam, że właśnie dlatego była taka smutna. Ona już znała los swojego dziecka, tego radosnego niemowlęcia na jej kolanach. Wiedziała, że ostatnia wieczerza nadejdzie. Wiedziała, że on umrze.

Spojrzałam na Giuliana, który sam także miał przecież małego synka. Wyglądał na wstrząsniętego i dotarło do mnie, że się nie mylę.

Siedzący obok maestro Orazio szepnął:

- Dobrze Sandro zrobił, że zmienił fach. To jeden z piękniejszych obrazów, jakie widziałem. Spójrzcie tylko! Cóż za patos!

Lukrecja de Medici wstała i przyjrzała się płótnu z fałszywym uśmiechem, igrającym na jej ustach.

- Signor Botticelli. Przeszedłeś sam siebie. Jakże mistrzowskie pociągnięcia pędzla! Jaka głębia i bogactwo barw! Signor Pazzi, przyjmuję ten wspaniały dar z wdzięcznością. Dziękuję ci i gratuluję doboru artysty oraz urody twej pięknej córki...

Mamma rozpromieniła się w jednej chwili. Właśnie na ten moment czekała.

- ...która pewnego dnia uszczęśliwi swą urodą jakiegoś szczęśliwego młodzieńca.

- Jakiegoś młodzieńca? - powtórzyła moja matka. Na jej twarzy zaszła straszliwa przemiana. Nie wiem, jak to możliwe, by naraz krzywiła się z wściekłości i uśmiechała, ale tak właśnie było.

- Owszem - odparła signora de Medici. - Żal, że nie udało się nam zatrzymać jej dla Giuliana, ale mój młodszy syn dopiero co ogłosił swój zamiar poświęcenia się kościołowi. Jutro, zaraz po sumie w duomo, wyrusza w podróż do Sieny. Moim najszczerzym życzeniem jest, by po powrocie zarówno uczestniczył w mszach, jak i sam je celebrował.

Dokoła rozległy się uprzejme oklaski. Zawstydzony Giuliano uklonił się lekko.

A mamma! Żadna ilość pasty z koziego mleka nie dałaby rady ukryć tego, co działo się w jej duszy.

- Rozumiem - powiedziała spokojnym głosem, podnosząc się z miejsca. - Zechciejcie wybaczyć. Pilnie muszę dopatrzeć czegoś w kuchni.

Po tych słowach uczta dobiegła końca. Pozostali goście wstali z miejsc i zaczęli się przepychać bliżej arcydzieła signora Botticellego.

Nie byłam w stanie obejrzeć płótna z bliska i wiedziałam, że kiedy wyjdzie dziś ostatni z gości, utracę tę możliwość na zawsze. Ten obraz nie miał zawisnąć w naszej galerii; nie miał też zawisnąć na piazza. Należał do Medyceuszy.

Signor Botticelli stał na boku, odgrywając rolę spełnionego artysty. Ale jakaś część jego duszy musiała przecież wciąż należeć do nas, do jego kamratów spod schodów. I właśnie z tą częścią chciałam porozmawiać. Przcisnęłam się do niego i ucałowałam go w policzek.

- Dziękuję - szepnęłam mu do ucha, po czym uciekłam. Chciałam, by wiedział, że choć jedno z nas naprawdę zrozumiało i doceniło jego dzieło.

Kiedy umykałam wydawało mi się, że słyszę, jak woła mnie zupełnie naturalnym głosem.

- Zaczekaj, Floro, proszę...

Ale ja nie mogłam poświęcić mu więcej czasu. Dzięki obrazowi signora Botticellego wiedziałam, co muszę teraz zrobić.

Pełne smutku oczy Dziewicy. Rysy twarzy należały do Domeniki, ale jej wyraz pochodził od mojej babci. Tyle zrozumiałam. Wszystkie makabryczne przestrogi nonny, szepty, półsekrety, uderzenia po głowie. Ona też zachowywała się jak kobieta, która wie, że jej dziecko jest skazane na zagładę. Ale nie była taka jak Madonna signora Botticellego - nie przyjmowała pokornie winogron i pszenicy. Była kobietą wojowniczą. I walczyła o mnie - o nas wszystkich.

Nadciągała wojna, ale nie miała się rozpocząć w signoriach. Miała wybuchnąć w kuchni.

Mamma potrzebowała kogoś, kogo można było obarczyć winą za dzisiejszą katastrofę i dokładnie wiedziałam, kogo sobie upatrzy.

Głos mammy doleciał do mnie, jeszcze zanim postawiłam stopę za progiem kuchni. Nie stroiła się już w dobre maniere, które wcześniej nosiła na sobie, jak nosi się drogocenne kamienie. Krzyczała i wymachiwała rękoma. Rozplotły się jej warkocze, jej oblicze przypominało krajobraz po lawinie - biała pasta topiła się i odpadała płatami.

- Mam cię dość - wrzeszczała na nonnę, która siedziała w milczeniu i obierała pomarańczę. - Całymi latami znosiłam twoją obecność. Twoje wieczne podważanie moich poleceń. Podkopywanie mojego miejsca pani domu. Coś ty sobie umyśliła? Że poślubisz własnego syna?

Za babcią jak strażnik stał Emilio.

- Od dzisiaj to ja wydaję polecenia w tym domu - rzuciła mamma. - Rozumiesz, co mówię? Ja planuję jadłospis, ja zajmuję się tą zbieraniną z ulicy i ja mówię, kto i dokąd idzie.

- O jakiej zbieraninie mówisz? - odezwałam się, stając pomiędzy mamą i nonną.

- Cicho bądź, Floro - syknęła na mnie babcia.

- Ty! - warknęła mamma, patrząc prosto na mnie. Zmrużyła oczy z nienawiści.

Zrozumiałam, widząc to spojrzenie, że pomyliłam się co do wszystkiego. Nie powinnam była zakładać, że starając się, ciężko pracując przekonam ją, by mnie pokochała. Błędnie myślałam, że gdyby nonna nie wzięła mnie pod swoje skrzydła, kiedy byłam brzydkim dzieciątkiem, to mamma by mnie zaakceptowała. Bez wstawiennictwa babci już dawno spotkałabym się ze swoim przeznaczeniem na dnie rzeki Arno. Mamma nie pokochałaby mnie nawet, gdybym była bardziej podobna do Domeniki; nie kochałaby mnie nawet, gdybym mogła pomóc rodowi; nie pokochałaby mnie nawet, gdybym została zakonnica; nie kochałaby mnie nawet, gdyby mogła świetnie wydać mnie za męża.

I ze świadomością tego wszystkiego, jedyne, co byłam w stanie zrobić, to stanąć pomiędzy mamą, której nie lubiłam, a nonną, którą szaleńczo kochałam.

- Jedna, jedyna noc, kiedy oczekuję, że zachowasz się normalnie - rzuciła mamma. - A ty co robisz? Zamieniasz biednego, bezradnego Giuliano w kompletnego wiejskiego głupka. Powiedz mi, strega, coś ty mu dodała do wina?

Opuściłam ręce wzdłuż boków i zacisnęłam dłonie w pięści. Spojrzałam jej w oczy i nie zamrugałam.

- Ona nie jest strega - syknął Emilio i ruszył naprzód. Nonna odepchnęła go w tył.

- Ach, teraz jeszcze będzie mi rozkazywać kuchenny posługacz? - warknęła mamma. - Nie mów mi, stara kobieto, że to nie twoja wina. Z pewnością rozumiesz, dlaczego nie mogę

pozwoić, by ten stan rzeczy trwał dalej.

Ponownie zwróciła swą uwagę na mnie.

- Moja ukochana Lorenza. Ostatnie dziecko, pociecha na stare lata - rzuciła sarkastycznie.
- Teraz wiem, że powinnam była traktować cię ostrzej. Twardszą ręką. Niestety, pozwoliłam, by diabeł zajął się twoim wychowaniem!

- Dość tego, Maddelena - powiedziała spokojnym głosem nonna.

- Ty chyba nadal nie rozumiesz, starucho. Ty już nie będziesz decydować, co i kiedy jest dość. Teraz moja kolej. I dziś to ja mówię ci dość. Gdybym tylko mogła, wykopałabym cię na ulicę, ale twój syn nigdy do tego nie dopuści - pochyliła się i intensywnie spojrzała babci w oczy. - Kara cię jednak nie ominie.

- Floro - rzuciła mamma, odwracając spojrzenie od nonny. - Spakuj się. Jutro pojedziesz prosto do klasztoru Najświętszej Marii Panny w Fiesole. Siostry zostaną poinstruowane, by dopóki nie opuści cię diabeł, trzymać cię w ciemnej celi i obchodzić się z tobą niezwykle surowo.

To powiedziawszy, poprawiła włosy i szeleszcząc spódnicami opuściła nasze królestwo.

Przez chwilę nikt nie był w stanie wymówić słowa. Jako pierwszy, ciszę przerwał Emilio. Cisnął talerzem w miejsce, gdzie przed chwilą stała moja matka. Naczynie roztrzaskało się na posadzce w drobny mak.

- Co za bestia - syknął.

Usiadł obok nonny przy stole i ukrył głowę w dłoniach.

- Tranquillo, Emilio. Nie do niej należy ostatnie słowo. Babcia ma z pewnością jakiś plan. Prawda, nonna?

Spojrzałam na nią i rzuciłam szybkie spojrzenie w stronę jej pokoju, w nadziei, że zrozumie, co mam na myśli. W tej chwili sama byłabym w stanie podać matce truciznę.

Ale nonna chyba nie podzielała moich uczuć. Pokręciła głową.

- Nie, Floro. Nie będziemy niczego planować. Nie rozumiesz? Ona jest twoją matką. Nie możemy z nią postępować tak samo, jak zrobiłybyśmy to z obcymi.

- Ale musi być jakiś sposób - jęknął Emilio. - Proszę, nonna. Nie o ciebie się martwię. Po miesiącu, w którym ten dom będzie pod opieką tej kobiety, ty odzyskasz dawną pozycję. Ale to, co ona chce zrobić Florze, jest złe, wiesz przecież dobrze.

Nonna podniosła na niego oczy i znów pokręciła głową.

- Maddelena już postanowiła, synu - powiedziała. - A dziś wieczorem nie mam zębów, którymi mogłabym się odgryzać. Wy oboje także nie powinniście się mścić.

Nie mogłam się z nią zgodzić. Miałam dość zębów, by pomścić nas wszystkich. Chciałam

wgryźć się w surowe mięso, w ciało mammy, wyszarpać na jej twarzy swój gniew i wściekłość.

- Allora - Emilio nie rezygnował. - Musimy coś zrobić.

- Co takiego na przykład? Chciałbyś sprawić, żeby Flora tu została? Nawet gdyby twój plan się powiódł, i tak już nic nie byłoby takie jak dotąd. Nie, Emilio. Czy ty też nie rozumiesz? Jeśli zrobicie cokolwiek jeszcze dziś w nocy, może się wam nawet powiedzie, ale jeśli Flora zostanie, przemieni się w jedną z nich.

To zamknęło usta nam obojgu.

- Popatrz na nią, Emilio. Spójrz na jej twarz. Już teraz nie jest tą samą dziewczyną, którą była jeszcze dziś rano. To już się zaczęło.

„Nie” - pomyślałam. - „Nie jestem taka jak oni. Nigdy się taka nie stanę.” Zaraz potem przypomniałam sobie jednak sposób, w jaki odprawiłam Graziellę z powrotem do kuchni i zrozumiałam, że nonna ma rację. Był już najwyższy czas, bym opuściła ten dom. Ale iść do klasztoru? Czy naprawdę musiałam pozwolić się zamknąć w odosobnieniu? Żadna inna możliwość nie przychodziła mi do głowy. Jak to powiedział Emilio: wolność trzeba sobie kupić. A od dzisiejszego wieczora nie miałam już przecież żadnych pieniędzy.

- Floro, każdy musi kiedyś dorosnąć - stwierdziła babcia. - Dziś nadeszła pora na ciebie. Nie będziemy walczyć. Spakujemy cię. Pójdziemy spać. A jutro ucałujemy się na do widzenia.

Zwróciła uwagę na stojący przed nią na stole kielich.

- Myślę, że tobie jest to bardziej potrzebne niż mnie. Ach, ale za mało tego. Pozwól, że doleję.

Pokuśtykała do spizarni i wynurzyła się po chwili.

- Pij - powiedziała, podając mi naczynie. - Poczujesz się lepiej.

Nie chciałam pić. Nie czułam głodu ani pragnienia. Zostałam skazana i czułam to bardzo dobitnie. Nie chciałam jechać do klasztoru Najświętszej Marii Panny w Fiesole. Wołałabym już zostać zakuta w kajdany i pozbawiona nosa.

Nonna jednak nalegała, bym napiła się wina i by nie sprzeciwić się jej, opróżniłam kielich. Do dna.

Nigdy przedtem nie wypiałam tak szybko tak dużej ilości wina. Natychmiast poczułam jego niezwykle działanie. Poczulałam znużenie - zmęczenie tak silne, że ledwie udawało mi się powstrzymać powieki przed opadaniem.

- Zmęczona? - spytała nonna. - W takim razie idź już na górę.

Skinęłam głową i podźwignęłam się z wysiłkiem na nogi. Emilio podtrzymał mnie

opiekuńczo za łokieć. Zupełnie, jakbym była starą kobietą.

- Pomóż jej wejść na górę - poleciła babcia. Pogładziła moją dłoń i uśmiechnęła się
pozbawionym sił uśmiechem. - Odpocznij dobrze, cara mia - powiedziała. - Zobaczymy się
rano.

Rozdział 15

Obudziło mnie łomotanie do drzwi. Rozejrzałam się dokoła. Przez chwilę zupełnie nie wiedziałam, gdzie jestem - tak bardzo głęboko spałam. Miałam wrażenie, że przedzieram się przez gęstą mgłę. Stopniowo pojawiały się kolejne szczegóły: leżałam u siebie w pokoju; Domeniki nie było; po jej łóżku poznałam, że ktoś w nim spał. W kościele Santa Maria del Fiore biły dzwony. Niedziela. Wielkanoc. A ja zasnęłam.

- Floro! - uderzenia w drzwi nie słabły. - Wstawaj!

Otworzyłam i ujrzałam na progu Emilia. Stał z zaciśniętymi pięściami, gotów nadal bić w deski.

- Co się stało? - spytałam, przecierając oczy.

- Kapitan Umberto chce cię zobaczyć - odpowiedział. - Ubieraj się i chodź prędko. Załóż czystą sukienkę. Idziemy na mszę.

Chciałam zadać mu jeszcze wiele pytań, ale w tym momencie chłopak zatrzasnął mi drzwi przed nosem. Nie miałam wyboru, mogłam już tylko usłuchać. Zastanawiało mnie, skąd ten pośpiech.

Ubrałam się i zeszłam za Emiliem na dół. Przed pałacem, w otoczeniu sześciu gwardzistów, stał kapitan Umberto. A gdzie reszta?

- Jesteś, Floro! Grazie a Dio - przywitał mnie oficer. - Potrzebuję twojej pomocy.

- Dziś nie mogę dla ciebie nic zrobić, kapitanie. Dziś muszę udać się w miejsce, gdzie będę haftować bieliznę i starzeć się. Nie słyszałeś jeszcze?

- Nie zaprzataj sobie tym teraz głowy. Mam dla ciebie niezwykle pilne zadanie.

Przyjrzałam się mu uważniej. Jego oczy raz po raz omiatały oba krańce ulicy. Widziałam go już ogarniętego żądzą krwi; widziałam go przytępionego miłosnym uniesieniem, nigdy jednak nie widziałam by był tak pobudzony.

- Gdzie są ludzie hrabiego Riario? - spytałam cicho. Poczulałam przebiegający mnie, nieznaną dreszcz. Zaczęłam się bać.

Kapitan Umberto skinął głową.

- Właśnie w tym rzecz. Zniknęli o świcie. Nasz Emilio poczuł, że coś jest nie tak i zachował na tyle rozsądku, by za nimi pójść.

- Sam Riario udał się wraz z resztą twojej rodziny na mszę do kościoła Santa Croce -

oznajmił Emilio. - Ale jego gwardziści z nim nie poszli. Ruszyli za Medyceuszami i teraz idą na sumę w duomo.

Nagle opadły mnie wszystkie wydarzenia wczorajszego wieczoru: rozmowa z Giulianem;

arcydzieło Botticellego; afront signory de Medici wobec Domeniki.

- Obawiamy się, że twój ojciec mógł wejść na ścieżkę głupca - rzucił kapitan Umberto.

- Podejrzewacie, że coś się stanie na sumie?

- Jeśli mamy zapobiec nieszczęściu, musimy zakładać najgorsze.

- Allora. W jaki sposób ja mogę pomóc?

- Emilio zgubił ludzi hrabiego Riario w samym duomo. Nie mógł się zbliżyć do Medyceuszy, ponieważ...

- Ja jestem tylko contadino - wtrącił chłopak. W jego głosie nie było słycać wstydu, po prostu stwierdzał fakt. W Santa Maria del Fiore, tak jak i w innych kościołach, na pierwsze miejsca dopuszczano wyłącznie arystokratów. Biorąc pod uwagę rozmiary Santa Maria del Fiore, stałby pół mili z tyłu.

Skinęłam głową.

- Tak, w pobliże Il Magnifico mógłby dotrzeć jedynie ktoś dobrze urodzony - Do duomo odprowadzi cię Emilio. Stań tak blisko Medyceuszy, jak tylko będziesz w stanie, i miej oczy i uszy otwarte - polecił Umberto, wręczając mi squarcato - tym razem było to prawdziwe ostrze, nie drewniane. Krótkie i kwadratowe. Ciężyło mi w dłoni.

Wsunęłam broń za pas, pod sukienkę. Przyprawiono dwa wierzchowce. Wsiadając na konia, musiałam się napomnieć, by wciąż oddychać. Ale czyż nie tego od zawsze pragnęłam? Przydać się? Zrobić coś więcej niż tylko wycierać naczynia?

Jeden z gwardzistów, Piero, podał mi chusteczkę, która miała pełnić funkcję welonu.

- Per piacere, signorina. Bądź ostrożna - poprosił. Do twarzy miał przyklejony niepokój.

Nie pamiętałam, by kiedykolwiek wcześniej któryś z nich nazwał mnie „signorina”. Nie pamiętałam, by zwracali się do mnie inaczej niż Flora. Ale i ten tytuł, i chustka były wręczone z dobrego serca. Podziękowałam więc i przypięłam ją sobie do włosów. Gdy się z tym uporałam, podszedł kapitan Umberto i ucałował moją dłoń.

- Pamiętaj Floro, jesteś tak samo dobra, jak każdy z moich ludzi. Z Bogiem.

Wszyscy stojący dokoła mnie żołnierze, w tym i sam Umberto, ukłonili się tak głęboko, jakbym była księżniczką.

- Z Bogiem, signorina Flora - mówili, czyniąc na piersi znak krzyża. Niektórzy nawet całowali rąbek mej sukienki.

Ich kurtuazja wywarła na mnie niezwykle wrażenie: imponowała mi i przerażała

jednocześnie. Czułam się zupełnie tak, jakby posyłali mnie na pewną śmierć.

Emilio i ja przejechaliśmy galopem dwie, dzielące nas od Piazza del Duomo, przecznice.

W przejściu pomiędzy duomo i baptysterium aż ciasno było od liberii wszystkich najlepszych rodów Florencji. Zauważyłam herby rodziny Strozzych, Turnabuonich, Pittich i Ricardich. Pilnujący koni służący wypudrowani byli tak, że wyglądem przypominali duchy. Samo powietrze przyozdobione było jaskrawymi, kolorowymi proporcami. Bo dlaczego nie? Alleluja! Chrystus zmartwychwstał! Czas już zostawić za sobą długi okres zimowego postu i odrodzić się w świetle Jego zwycięstwa nad śmiercią.

Przebacz mi Boże, ale w tamtej chwili modliłam się, bym razem z Emiliem odniosła takie samo zwycięstwo jak On.

Pierwszy zeskoczył z siodła Emilio. Pomógł mi zejść. Wiedziałam, że czas nas nagli, ale przed wejściem do kościoła stali woźni i bacznie nas obserwowali. Musiałam zachowywać się godnie. Uniosłam zatem swoją spódnicę delikatnie i trzymałam się prosto. Razem z Emiliem szliśmy ku wejściu tak dostojnie, jak tylko potrafiliśmy.

- Signorina Flora - odezwał się woźny. - Benvenuto. Powiedziano nam, że twoja rodzina udaje się dziś do Santa Croce.

- Od nudnych niebios Santa Croce bardziej mi jest miłe piekło ojca Alberto - odparłam z konspiracyjnym uśmieszkiem.

Woźny odpowiedział tym samym.

- Z takim wyborem nie uchodzi mi dyskutować - odpowiedział i wprowadził mnie do wewnątrz.

- Zostanę przy swojej pani - rzucił Emilio.

Woźny wskazał mu galeryjkę. Gest oznaczał: „znikaj”. Emilio rzucił mi pełne niepokoju spojrzenie, ale ja skinęłam głową. Tranquillo, wszystko będzie dobrze.

Pierwsza połowa Santa Maria del Fiore wyglądała jak zwyczajny kościół: dwa rzędy ławek, zwróconych przodem ku wysokiemu ołtarzowi, mniejsze kaplice i konfesjonały po bokach. Jeśli jednak zrobić kilka kroków ku ołtarzowi, pod sklepieniem naszej wspaniałej kopuły otwierały się bramy samego raju.

Woźny poprowadził mnie do drugiej ławy, licząc od przodu. Do tej, którą zawsze trzymano zarezerwowaną dla członków rodu Pazzich, drugiej najzamożniejszej rodziny Florencji. Zająłam miejsce tuż za plecami Il Magnifico i jego brata, nieszczęsnego Giuliana. Stali, oddychali. Wszystko było w porządku. Giuliano nawet odwrócił się w pewnej chwili do mnie i przywitał się mrugnięciem.

Rozejrzałam się wokół, ale nie zauważyłam nawet śladu ludzi hrabiego Riario. Wszędzie

dokoła otaczał mnie aksamit. Morze aksamitu.

Wymamrotałam modlitwę i podniosłam oczy ku samej kopule.

- Per piacere, Dio. Obdarz mnie siłą.

Ojciec Alberto stał przed całym zgromadzeniem, w pięknej, tkanej, białej sutannie ze zdobnym, złotym krzyżem na piersi. Gdybym nie wiedziała, nie poznałabym w nim tego obdartego duchownego, który odmówił przyjęcia zapłaty za poświęcenie splachetka ziemi.

Właśnie zakończył kazanie. Rozpostarł ramiona i wezwał wiernych do przyjęcia komunii.

Wawrzyniec i Giuliano, zgodnie ze swą pozycją, ruszyli jako pierwsi. Zrobili pierwsze cztery kroki i wciąż wszystko odbywało się normalnie.

Ale wtedy, kątem oka, pochwyciłam czarny cień. Pięciu mężczyzn w ciemnych płaszczach dobyło sztyletów i rzuciło się ku braciom. Usłyszałam czyjś krzyk. To ja krzyczałam.

Obaj Medyceusze mieli dość czasu, by się obrócić i zobaczyć napastników. Giuliano stanął przed bratem.

- Lichwiarze! - wołali zabójcy, gnając ku swym ofiarom.

- Rozpustnicy!

Dokoła rozległy się krzyki przerażonych kobiet. Wszyscy zaczęli się cofać. Bracia i zamachowcy byli już u stóp ołtarza. Mordercy pochylali się nad Medyceuszami, zalewali ich morzem czerni. Ich sztylety spadały raz po raz. Wrzaski brzmiały przerażająco; jeszcze gorszy był widok czerwonych ostrzy.

Spomiędzy nóg zabójców zsunęła się upierścieniona dłoń. Jej palce zwinęły się i zwiotczały. Gdy ujrzałam to ramię, poczułam jakby przestała działać unieruchamiająca mnie dotąd trucizna i rzuciłam się naprzód. „Giuliano” - huczało mi w głowie. - „Muszę uratować Giuliana”. Schwyciłam wyciągniętą rękę, szarpnęłam z całej siły i uwolniłam ciało. Ciągnęłam je po posadzce, zostawiając za nami krwawy ślad. Za mną szli zakapturzeni, mężczyźni w czarnych płaszczach. W ich rękach połyskiwały noże. Czy ktoś mi pomoże?

Wtedy zobaczyłam ludzi, którzy wskazywali mi drogę na lewo. Na ich bluzach widniały trzy palle herbu Medyceuszy.

- Tędy, signorina! - wrzeszczeli, pokazując brązowe drzwi prowadzące do zakrystii. - Subito! Ale Giuliano okazał się zanadto ciężki. Szłam zbyt wolno. Opadła mnie trójka czarnych płaszczy, zanim jeszcze pokonałam całą odległość. Męskie ręce oderwały mnie od ciała i rzuciły na posadzkę. Podniosłam wzrok.

Przykucnął nade mną pacholek hrabiego Riario. Ten, który groził nonnie i zranił mnie w ramię. Z jego sztyletu skapywała krew. Zauważyłam jego minę i zrozumiałam, że czeka tylko

na powód, by mnie przebić. Sięgnęłam po squarcato od Umberto, który wciąż tkwił w

ukryciu za moim pasem. Zrobiłam to jednak zbyt ospale. Nie zdążyłam odbić pierwszego ciosu.

Uderzenie ledwie drasnęło moje ramię. Nie poczułam zupełnie nic, choć nagle zaczęłam tonąć w fontannie krwi, krwi która zalewała mi oczy i wlewała się słonym smakiem do ust. Potem napastnik runął na mnie. Z gardłem poderżniętym od ucha do ucha. Czyjeś silne ręce zepchnęły ze mnie jego ciało i ujrzałam podającego mi rękę Emilia. W drugiej ścisłał squarcato. O czerwonym ostrzu.

Rozejrzałam się za Giulianem i znalazłam go - mężczyznę ubranego w płaszcz z aksamitu i krwi - czołgającego się ku drzwiom zakrystii. Gwardzista Medyceuszy zdołał dobiec do ołtarza i starł się z zabójcami. Giuliano posuwał się zbyt powoli. Nie mogło mu się udać.

Emilio i ja podbiegliśmy do niego. Schwyciliśmy go, każde za jedno ramię i dociągnęliśmy do celu, gdzie odebrali go od nas jego ludzie i zatrzasnęli przed naszymi nosami ciężkie drzwi z brązu.

Zostaliśmy sami, odsłonięci. Odwróciliśmy się, gotowi do obrony, ale nie było już przed kim się bronić. Tam, gdzie jeszcze chwilę wcześniej wszystko wirowało i gdzie rozlegały się głośne krzyki, panowała niezmacona, nieziemiska cisza. Ci z morderców, którzy ocaleli, wtopili się w tłum. Wszyscy dokoła zdawali się czekać. Tylko na co?

Spojrzeliliśmy na ołtarz. Ojciec Alberto trzymał na kolanach głowę człowieka, który spoczywał w szybko rosnącej kałuży krwi. „O nie!” - pomyślałam. - „Wawrzyniec z tego nie wyjdzie.”

Ale to nie był Wawrzyniec.

Parę sekund temu wszystko działo się bardzo szybko. Chwyciłam dłoń tego, kto wydawał się najbardziej potrzebujący pomocy. I chwyciłam złą rękę. Nie przyjaciela, ale wroga. A teraz mój przyjaciel ciężko krwawił z otwartej rany na brzuchu - na ustach wykwitwały mu pękające, czerwone bąble. Na szyi miał przynajmniej jedną paskudną ranę, znacznie więcej skrywało się pod szatami. Oddychał z mrożącym krew w żyłach charkotem, aż całe ciało trzęsło się z wysiłku.

Podbiegłam i odsłoniłam jego bluzę. Naliczyłam przynajmniej dziewięć ran. Jedna, na dole wydawała się szczególnie groźna. Z niej, wraz z krwią, wypłynęło coś jeszcze. Coś śliskiego. Wepchnęłam tę rzecz z powrotem do jego brzucha i spróbowałam zatamować krwotok swoją chustką.

- Pomocy! - krzyknęłam.

Wszyscy się cofnęli.

- Na pomoc! - powtórzyłam. - Potrzeba nam medyka!

Giuliano chwycił mnie za rękaw i spróbował coś powiedzieć.

- Tranquillo - uspokoiłam go, przybierając podpatrzoną u nonny minę wyrażającą medyczną pewność siebie. - Pomoc już jest w drodze. Teraz musisz odpoczywać.

Skinął jednym palcem, przywołał mnie niżej, do swych ust. Chciał mi coś przekazać.

Mocno uścisnęłam jego dłoń, bałam się go puścić. Nie rozumiałam, co do mnie mówi, ale wiedziałam, co myśli.

- Nie martw się - szepnęłam. - Zadbam o twojego syna.

Jego uścisk na moich palcach osłabł; zakrztusił się krwią i opadł bezwładnie. Nie charczał już, nie wydawał żadnego dźwięku. Zawiodłam.

Nade mną ojciec Alberto uczynił nad martwym ciałem Giuliana znak krzyża.

Nikt się nie poruszył.

- Cretini! - warknęłam na zebranych w kościele. - Dlaczego nikt mi nie pomógł? Na co wy wszyscy czekacie?

Spojrzałam po twarzach w tłumie. Stali nieruchomo niczym posągi - nawet Lukrecja de Medici. Potem, ktoś stojący z tyłu wskazał palcem ku górze.

- Patrzcie! Na chórze!

Spojrzałam w tamtą stronę. Na górze, w galerii nad zakrystią stał Il Magnifico. Krwawił z rany na szyi, ale był bez wątpienia żywy. Bardzo żywy. Zrozumiałam, dlaczego nikt mi nie pomógł.

Czekali, by zobaczyć, kto zwycięży.

Gdyby ludzie hrabiego Riario zabili obu, i Wawrzyńca, i Giuliana, tłum wykląłby Lukrecję i posłał do Santa Croce po mojego ojca, by uznać go nowym władcą Florencji.

Ale Wawrzyniec przeżył, a przez to raz na zawsze pokonał mojego ojca.

- Świątokradztwo! - rozległ się okrzyk wśród tłumu. - Mordercy!

Wtedy wreszcie poruszyła się matka Giuliana, wspaniała i groźna Lukrecja.

- Bambino mio! - krzyknęła, przepychając się ku swemu martwemu dziecku.

Do pomocy rzucił się jej co najmniej tuzin osób.

- Proszę, signora, pomogę pani, podtrzymam.

Odepchnięto mnie na bok.

Ojciec Alberto, nie zwracając uwagi na panujący dokoła chaos, wziął mnie za rękę.

- Czas, żebyś stąd poszła, signorina - szepnął. - To nie jest miejsce dla pańienek.

Nie nazwał mnie Florą. Nie powiedział do mnie Pazzi.

To samo musiał pomyśleć Emilio, który szarpnął mnie za rękę.

- Chodź - rzucił. - Musimy stąd iść. Stało się - szepnął mi do ucha po chwili. - Musimy ostrzec pozostałych.

Skinęłam głową i pobiegliśmy pomiędzy ławkami ku naszym koniom. Do kościoła wchodziłam jako dama, opuszczałam go jako zbieg.

Choć Emilio ponaglał i ciągnął mnie naprzód, rzuciłam spojrzeniem w tył i w górę, na chór. Wawrzyniec Medyceusz wciąż tam stał i przyglądał się zamieszaniu poniżej. Biła od niego słuszna wściekłość. Wyglądał, jakby miał zamiar ciskać gromami i zsyłać na wrogów powódź. Zrozumiałam, że jakąkolwiek cenę Medyceusze zapłacili za swe grzechy, była to wystarczająca pokuta. Teraz to oni mieli Boga po swej stronie, a z takim sojusznikiem ich gniew musiał okazać się straszliwy.

Przez chwilę spojrzenie Il Magnifico zatrzymało się na mnie. Przestraszyłam się tak bardzo, że zadrzałam i zachwiałam się, jakbym od trzech dni nic nie jadła. Czekałam na lekkie skinienie, takie, jakie widziałam wtedy, w pałacowym oknie na placu. „Tamta. Chcę jej krwi i krwi wszystkich z jej rodu.”

Nie wskazał mnie jednak. Tę swoją straszliwą, wezbraną gniewem twarz skłonił w moim kierunku i w jednej chwili zrozumiałam, że on wszystko wie. Wiedział, czyją jestem córką i wiedział także, co dziś dla niego zrobiłam. I za to, co uczyniłam chwilę temu, pozwalał mi na ucieczkę.

Rozdział 16

Kapitan Umberto czekał na nas przed bramą palazzo.

- O Madonno! Floro, co ci się stało?

- Nic jej nie jest - rzucił Emilio, zeskakując z konia. - Nie pomyliłeś się. Udało nam się ocalić Wawrzyńca, ale nie zdążyliśmy uratować Giuliana.

Kapitan Umberto poklepał Emilia po ramieniu, ale nie wydawał się dumny. Jego oblicze wciąż poznaczone było zmartwieniem.

- Dobrze się spisaliście, ale obawiam się, że wszystko skończyłoby się jeszcze gorzej, gdybyście zostali w domu.

Za nami narastał jakiś hałas. Na ulicy zbierała się tłuszcza, która ruszyła w naszą stronę, z okrzykami „Zdrajcy!” i „Mordercy!” na ustach. Przycisnęliśmy się do ściany. Patrzyliśmy na zbliżającą się cizbę i ujrzeliśmy idącego wśród nich człowieka w czarnym stroju, krwawiącego z rany na głowie.

Kilku obywateli rzuciło nam nieprzyjemne spojrzenia.

- Ciekawe, kto za tym stoi? - syknął jeden z nich.

Inny mężczyzna położył mu dłoń na ramieniu i wskazał mnie palcem.

- Nie widziałeś, co zrobiła ta dziewczyna? Gdyby nie jej szybka reakcja, Il Magnifico już by nie żył.

Pierwszy jednak wciąż patrzył wrogo.

- Dla twojego dobra, signorina, mam nadzieję, że twój ojciec nie przyłożył do tego ręki. Zresztą tak czy inaczej, signor Valentini wyciągnie prawdę w Bargello. Z każdego.

Gdy odszedł, wciąż złowróźnie się mi przypatrując, mogłam tylko dygnąć w jego stronę. Owszem, byłam zalana krwią, spoczywało na mnie podejrzenie o morderstwo, ale wciąż pozostawałam arystokratką.

Kiedy tłum zniknął nam z oczu, cały czas trzymałam się prosto. Za szybko. To wszystko działo się stanowczo zbyt szybko.

- Czy moja rodzina jest w Santa Croce w komplecie? - spytałam szeptem kapitana Umberto.

- Są tam wszyscy poza tobą i twoją nonną - odpowiedział oficer.

- Bene - zdecydowałam. - Musisz ich wyprowadzić z miasta. Jak najspieszniej. Niech

nawet nie próbują tu wracać.

- Twój ojciec - zauważył równie cicho kapitan Umberto - spodziewa się zwycięstwa. Nie uda mi się tak łatwo przekonać go do ucieczki.

- Dlatego najpierw musisz porozmawiać z moim bratem, Andrea. Andrea posłucha głosu rozsądku, a ojciec wysłucha Andrei.

Gwardzista skinął głową.

- A co z tobą, Floro? Rozumiem, że udasz się tam razem ze mną?

- Emilio i ja musimy zostać tutaj i zadbać o nonnę. Per piacere, kapitanie Umberto. Idźże już. Nie ma czasu.

Zostawiłam go. Musiałam dotrzeć do babci i to szybko. Wiedziałam, że schwytyany nożownik hrabiego Riario wkrótce wyda nas wszystkich.

- Nonna! - wbiegłam do kuchni, krzycząc na cały głos. Babci nie było; w palenisku nie płonął ogień, nic nie oświetlało pomieszczenia. Wszystko zastygło w ciszy, ciemności i bezruchu.

Coś było nie w porządku.

- Nonna! - zawołałam w głąb spiżarki. Nadal nic. Wbiegłam tylnymi schodami do jej pokoju. Wewnątrz wciąż było ciemno; słońce nie mogło się przedrzeć przez zamknięte okiennice. W powietrzu unosił się szczególnego rodzaju zapach: woń migdałów, tak silna i wyrazista, że niemal mnie zemdliło. W tej samej chwili, gdy ją wyczułam, jakaś część mnie zrozumiała, co ona zrobiła. Rzuciłam się do okiennic i otworzyłam je, by wpuścić nieco świeżego powietrza.

Babcia leżała w pełnym ubraniu na zaścielonym łóżku.

- Grazie a Dio, że wciąż tu jesteś - powiedziałam. - Ale chodź już. Musimy uciekać.

Położyłam dłoń na jej ramieniu i spróbowałam ją obudzić. Nawet nie drgnęła; jej ciało było w dotyku okropnie zimne i dziwnie sztywne.

Wciąż zaprzeczałam temu, o czym informowały mnie wszystkie zmysły. Tylko nie nonna. Byłoby to ze strony Boga wyjątkowe okrucieństwo, gdyby teraz odebrał mi akurat ją. Dziś rano już raz byłam świadkiem ludzkiej śmierci. Więcej mi się nie należało. Z pewnością Pan nie poddał mnie takiej próbie.

Ale Boga także już dzisiejszego ranka ujrzałam. Patrzył na mnie z góry. I wyglądał dokładnie jak Wawrzyniec Medyceusz.

Spojrzałam babci w twarz. Miała poczerwiałe wargi i otwarte oczy. Zamknęłam jej powieki i rozplakałam się. Wiedziałam, że ucieczka nie ma już sensu. Właśnie utraciłam wszystko.

Gładziłam lodowate dłonie swojej nonny i zauważyłam, że coś bardzo mocno w nich ścisnęła. Rozwarłam jej palce i znalazłam list z moim imieniem oraz ze znajomym pierścieniem ozdobionym czarnym psem.

Otworzyłam pismo. „Carissima Flora...” - tak się zaczynał. Nie miałam jednak szansy, by przeczytać dalej.

- Floro! Floro! - wołając moje imię, wbiegał po schodach Emilio. Spojrzał na nonnę i przeżegnał się.

- Biedna dusza. Mam nadzieję, że teraz wreszcie odnajdzie spokój i ukojenie.

Przez chwilę stał przy jej boku, po czym schwycił mnie za ramię.

- No dobrze, chodźmy już.

- Dobrze - przytaknęłam. - Złap ją za rękę.

Ale Emilio mi nie pomagał. Co więcej, działał wbrew mojej woli. Odciągał moje dłonie, popychał ku drzwiom.

- Chodźmy, Floro. Dla niej jest już za późno, tak samo jak dla Giuliana. Ona z pewnością nie chciałaby, żebyś tu marudziła.

- Nie zostawię jej. - Wyrwałam się mu.

- Jej już tu nie ma, Floro - powiedział, wyraźnie zniecierpliwiony. - No chodźże już!

- Nie - syknęłam i odepchnęłam chłopaka.

Zatoczył się dwa kroki w tył.

- Znakomicie - rzucił i zbiegł po schodach. Nie słyszałam, kiedy wrócił. Nie słyszałam też wcale, jak unosi ciężką patelnię i jak opuszczają na moją głowę. Widziałam tylko twarz nonny, a potem wszystko zaczęło się ślizgać. Wyciągnęłam rękę, by ucześcić się babci, ale już dokądś odpływałam.

Kiedy się ocknęłam, leżałam na boku na łące. Poderwałam głowę spośród wysokiej trawy i poczułam na policzku pieśczość chłodnego wietrzyku. Dotknęłam potylicy. Wyrósł mi na niej guz wielkości rzepy.

Nieopodal pasły się spokojnie dwa konie. Gdzie ja jestem? Po chwili ujrzałam Emilia. Stał niedaleko, na wzgórzu i przechadzał się tam i z powrotem, tam i z powrotem. Patrzył w przeciwnym kierunku - w dół, ku miastu. Obgryzał paznokcie.

Byliśmy w Fiesole, przy grobie jego siostry.

Poczułam, że muszę wracać. To nie było moje miejsce. Nie tutaj, gdzie konie tuczyły się na gęstej trawie, a duch siostry Emilia dotykał naszych oblicz podmuchami wiatru. Tutaj

panował pokój, a ja przecież wciąż jeszcze toczyłam wojnę.

Zaczęłam się cicho skradać w stronę konia. Nie byłam jednak dość cicha, Emilio obrócił się, zobaczył, co robię, i powalił mnie na ziemię.

- Muszę wracać! - powtarzałam, drapiąc chłopaka po twarzy. - Muszę tam wrócić!

- Nie wolno ci! - powiedział, grożąc mi palcem. - Nie rozumiesz? Nie tylko nonna. Oni wszyscy nie żyją.

Przestałam się szamotać. Jak długo byłam nieprzytomna? Czy to możliwe, by wydarzenia potoczyły się tak szybko?

- Jesteś pewien? Widziałeś ich?

Na końcu jego języka czaiło się kłamstwo. Widziałam je wyraźnie. Rozsiadło się, połyskując jak piękna perła. Ale nie wypowiedział go.

- Nie - odparł. - Ale zginą, jeśli zostaną w mieście jeszcze trochę. Musimy zaufać kapitanowi Umberto. Wyciągnie ich, jeśli tylko będzie mieć taką możliwość. Nasza rola w tym wszystkim dobiegła już końca.

Ale ja wcale tego nie czułam. Nie czułam, że już jest po wszystkim. Co więcej, nie miałam nawet wrażenia, że cokolwiek zdążyło się na dobre rozpocząć.

Owszem, nie lubiłam większości osób z mojej rodziny, ale nie mogłam ich przecież tak po prostu porzucić. I była jeszcze sprawa ciała babci. Ludzie Medyceuszy z pewnością uznają, że to strega. Rozedrą ją na strzępy i nakarmią psy.

Musiałam wrócić. Tylko jak? Emilio nie spuścił mnie z oczu. Nawet gdybym spróbowała mu coś podobnego zaproponować, to stracilibyśmy tylko cenny czas, kłócąc się, spierając i bijąc. Zresztą i tak on by wygrał. Niechętnie to przyznawałam, ale był ode mnie silniejszy. Potrzebowałam jakiejś innej przewagi. Czegoś finezyjnego, w stylu nonny.

Przemyślałam w pamięci wszystko, co wydarzyło się od zeszłej nocy i spróbowałam zrozumieć, co doprowadziło nas do tego miejsca. Przypomniałam sobie upokorzenie matki na przyjęciu. Tajny schowek babci. Papę i hrabiego Riario rozmawiających w bibliotece... tak. To właśnie to. Wpadłam na pomysł.

- Posłuchaj, Emilio - zaczęłam. - Papa nie działał sam. Był sprzymierzony z papieżem.

Emilio przytaknął skinieniem.

- Tak, pieczęć - przypomniał sobie list, który przywiózł tego dnia, gdy się u nas pojawił.

- Papież wysłał mu na pomoc armię. Stoją teraz pod miastem, przy bramie Porta Romana. Kapitan Umberto nic o tym nie wie. Teraz wszystko zależy od ciebie. Musisz pojechać tam szybko i odnaleźć papieskie wojsko. Powiesz im, co zaszło. Niech udadzą się do palazzo. To nasza i ich jedyna szansa.

Emilio pokręcił głową.

- Nie zostawię cię. Muszę cię odwiedzić do klasztoru. Tam będziesz bezpieczna. A potem,

za parę dni wrócę do duomo. Odbiorę pieniądze, które zostawiliśmy u ojca Alberto. Pojedziemy na północ, do Mediolanu, albo jeszcze dalej. Dotrzemy do Wenecji i wykupimy sobie miejsce na statku. Dokładnie tak, jak tego chciałaś.

- Spójrz na mnie - syknęłam, łapiąc go za ramiona. - Jak ci się wydaje? Kto bardziej potrzebuje pomocy? Ja? Czy oni?

Nie odpowiedział, ale też nie zdzielił mnie w tył głowy. Robiłam postępy.

Postanowiłam więc nacierać.

- Im wciąż grozi niebezpieczeństwo. Kapitan Umberto jest dobry, ale w pojedynkę nie powstrzyma przecież całego miasta.

Emilio nadal nie odzywał się słowem. Kontynuowałam więc natarcie.

- Zapomniałeś już, Emilio? Przysięgałeś, że będziesz nas bronić! Wszystkich!

Chłopak zamknął oczy. Spodziewałam się wykładu na temat mojego zachowania i tego, co należy robić, a czego nie. Ale nie usłyszałam go.

- Owszem, przysięgałem. Ale nie wszystkich kocham - odpowiedział wreszcie, głosem nieco tylko głośniejszym od szeptu.

Jego słowa owiały mnie niczym wiatr. Chwilę potem patrzyłam na swojego przyjaciela, naprawdę dobrze się mu przyjrzałam i zobaczyłam, kim naprawdę się stał. Zrozumiałam, że to wszystko, co o nim myślałam - że jest patykowaty, że cuchnie mu z ust - nie stanowiło o jego wartości. Signor Botticelli z pewnością nie byłby mną zachwycony. Szukałam piękna w złym miejscu. Chłopak, którego trzymałam za ramiona, nie był już patykowaty, a jego oddech był równie świeży jak górskie powietrze. A jego oczy - patrzyły na mnie tak miękko, jak miękki jest aksamit, a mimo to sprawiały, że przechodziły mnie dreszcze, których nigdy wcześniej nie znałam i nie rozumiałam.

A może... Nie. Postanowiłam, że nie mogę w takiej chwili myśleć o nim w ten sposób. Był moim przyjacielem, nie moim ukochanym. Poza tym, tak czy inaczej musiałam się wydostać z tej góry. Na dole, w mieście wciąż była nonna.

Emilio wyrwał się z transu i nagle poruszony, rozejrzał się dokoła. Ucisnął moją dłoń.

- Masz jeszcze swoje squarcato?

Odpowiedziałam skinieniem.

- Bene. Udaj się prosto do klasztoru i zaczekaj tam na mnie. Jeśli ktokolwiek spróbuje cię po drodze zatrzymać, użyj tej broni. Rozumiesz, Floro? Przyjadę po ciebie za dwa dni. Pod żadnym pozorem nie wyruszaj sama do Wenecji.

Spojrzałam w oczy swojemu najlepszemu przyjacielowi i skłamałam jak prawdziwy Pazzi.

- Zaczekam w klasztorze. Obiecuję.

Wsiadł na konia i odjechał galopem. Patrzyłam za nim długo, póki nie zmalął do wielkości ziarenka piasku.

Staralam przekonać samą siebie, że jeszcze go zobaczę. Powtarzałam sobie, że to niedaleko. Że potrzebuję tylko czasu, żeby wynieść ciało nonny, ale potem wrócę i zaczekam tam, gdzie mi kazał. A potem razem wyjedziemy i będę szczęśliwa.

Mimo tych myśli, patrząc za odjeżdżającym, poczułam w ustach obrzydliwy, trujący smak i wiedziałam, że już na wieczność zostanie mi tylko pamięć jego znikającej postaci, razem z którą odjeżdżały wszystkie moje szanse na szczęśliwe życie.

Allora. Nic nie mogłam na to poradzić. Miałam zadanie do wykonania.

To, co zrobiłam potem, przećwiczyłam w marzeniach setki razy przedtem. Jediną różnicą było to, że wyobrażałam sobie wykradanie się z pałacu. Teraz musiałam wkraść się do jego wnętrza.

Wyciągnęłam zza pasa squarcatto od kapitana Umberto i obcięłam suknię tak, że była długości zwykłej bluzy. Potem podniosłam ostrze do głowy.

Wojsko Medyceuszy prawie na pewno dotarło już do naszego palazzo. Gdyby ktoś rozpoznał we mnie członka mojej rodziny, nie udałoby mi się przejść przez bramę, nie mówiąc o wejściu do pokoju nonny. Musiałam się przebrać za kogoś innego, za kogoś z tłumu.

Schwyciłam kosmyk włosów, przyciągnęłam go sobie przed oczy i obcięłam. Potem jeszcze jeden i jeszcze, aż poczułam chłód na karku. Kiedy skończyłam, moje włosy z pewnością nie odznaczały się równą długością, ale nie miało to dla mnie znaczenia. Nie musiały wyglądać schludnie.

Raz jeszcze spojrzałam na sukienkę, którą przemieniłam w bluzę. Pod brudem i trawą, pod zaschniętą, brązową krwią Giuliano, musiałam sama być brudna. Wzięłam do ręki garść ziemi i roztarłam ją sobie na twarzy.

Wsiadłam na drugiego konia i zjechałam wąską ścieżką do Fiesole. Obejrzałam swoje odbicie w studni. Cóż, przebranie było dalekie od doskonałości, ale lepszego nie miałam skąd wziąć. W każdym razie przynajmniej do miasta powinnam się dostać nierozpoznana.

Wskoczyłam na siodło i pojechałam do domu.

Rozdział 17

Gdy znalazłam się za murami, zwolniłam i dalej jechałam już stępa. Nie chciałam wyglądać na tak zrozpaczoną, jak się czułam. Wszędzie dokoła ludzie wyglądali przez okna, dobrzy ludzie, których oblicza wykrzywiały teraz grymas wściekłości i oburzenia. Wygrażali pięściami, przerzucali się wiadomościami ponad wąskimi alejkami. Wciąż słyszałam z ich ust własne nazwisko. Morderstwo. Zdrada. Świętokradztwo. Zgarbiłam się nad końskim karkiem i modliłam, by nikt mnie nie rozpoznał.

Na ławce przed naszą kuchnią nie zastałam nikogo. Wśliznęłam się do środka najciszej, jak mogłam. Wewnątrz ujrzałam ślady walki. Rozcięte worki z mąką, która wysypała się na podłogę i bieliła ją złowieszczo; przetaczające się bezładnie czajniki. Dwie mączne ścieżki biegły od paleniska do drzwi na dziedziniec, jakby ktoś został wyciągnięty z kuchni za włosy. Podeszłam tam i wyjrzałam.

Rzeczywiście przybyli już żołnierze Medyceuszy - ponad dwudziestu ludzi z symbolem palle na bluzach. Jeden stał na ławce i odczytywał jakieś ogłoszenie. Był to chudy, szczupły mężczyzna. Pamiętałam go. Widziałam go rankiem na mszy w duomo. To on kiwał na mnie z zakrytą. „Tędy, signorina”. Widziałam go też wcześniej. To on, wiele miesięcy temu, odciął nos kobiecie na Piazza della Signoria.

Nie słyszałam wszystkiego, co mówił, ale udało mi się usłyszeć tyle:

- ...ponadto herb rodu Pazzich zostanie zdjęty ze wszystkich budynków miasta, ogłasza się zarazem przepadek ich zgromadzonego w bankach mienia. Kobietom wywodzącym się z tego gniazda zdradzieckich żmij zabrania się wstępowania w związki małżeńskie, a co do mężczyzn... - spojrzał złym wzrokiem na stojących obok papę i Andreę - wasze życie przestało mieć jakąkolwiek wartość. Od tej chwili sam fakt, że oddychacie, sprawia ból Wawrzyńcowi de Medici, który nie skłania się ku miłosierdziu. Na waszym miejscu skorzystałbym z tej chwili, by pożegnać się z bliskimi, czego nie miał szansy uczynić biedny, podstępnie zamordowany brat Il Magnifico.

Pomiędzy żołnierzami Medyceuszy a moją rodziną stał kapitan Umberto z resztą naszych gwardzistów. Pomiędzy ich ramionami ujrzałam pozostałych. Nie, to niemożliwe. Wszyscy tu byli: papa, mamma, Renato, Andrea, Niccolo, Galeotto, Giovanna, Domenica. Ojciec wspierał się na ramieniu Andrei - nie szukał pomocy u Renato.

Renato tymczasem stał nieco z boku w grupce moich braci. Wyglądał, jakby miał się za chwilę rozpłakać. Bez przerwy zacierał ręce. Wtedy zrozumiałam. Po raz pierwszy widziałam go bez choćby jednego pierścienia. Mamma nie opierała się na nikim.

Chwilę później dwóch ludzi Medyceuszy przyniosło Madonnę Botticellego.

Chciałam odwrócić spojrzenie, ale zmusiłam się, by patrzeć na obraz. Przeczuwałam, że jeśli cokolwiek złego spotka małowidło, odczuję to boleśnie. Ale po chwili dotarło do mnie coś jeszcze: to nie było przedstawienie, nie oglądałam tragedii w teatrze. Wszyscy członkowie mojej rodziny jeszcze oddychali, ale zaraz zostaną rozerwani na strzępy i rzućni bezdomnym psom na pożarcie. Jeżeli kiedykolwiek można coś dla nich zrobić, to właśnie teraz.

Dodałam sobie sił, zmawiając krótką modlitwę, dobytej squarcato i wyszłam z ukrycia na zalany słońcem dziedziniec.

Pierwszy zauważył mnie kapitan Umberto. Zmrużył oczy i nieznacznie pokręcił głową. „Wracaj” - mówił tym gestem.

Zakradłam się z powrotem na próg, ale nie schowałam broni. O co mu chodziło? Przecież było nas mniej - potrzebował mojej pomocy.

Obserwowałam jego twarz w oczekiwaniu na kolejny sygnał. Poruszył oczyma ku górze, w stronę biblioteki ojca. Z początku nie rozumiałam, czego ode mnie chce, ale potem przypomniałam sobie tajny korytarzyk nonny. Chciał, żebym tam poszła. I tak właśnie uczyniłam.

Schowałam nóż za pas, wśliznęłam się do spiżarki i weszłam po rozklekotanych schodach do pokoju babci.

Leżała na łóżku tak, jak ją zostawiłam, wciąż ścisnęła w dłoni swój pierścień i list, na którym widniało moje imię.

- Nastają niedobre czasy, nonna - szepnęłam. - Może to lepiej, że nie musisz ich oglądać.

Ucałowałam jej zimne czoło, po czym wydobyłam pierścień i dokument spomiędzy jej zeszywniałych palców.

Przez moment panował niczym niezmacony spokój. Potem, zniemacka dobiegły mnie z dołu głośne krzyki, rozległ się szczeł zderzających się ze sobą ostrzy, po czym ludzie zaczęli wrzeszczeć z bólu.

Zerwałam się na równe nogi. O Madonno! Zaczęło się. Musiałam zejść na dół. Musiałam pomóc swojej rodzinie.

Nie. Zacisnęłam pięści i zostałam. Niczym dobry żołnierz wykonywałam rozkazy. Może kapitan Umberto chciał przyprowadzić tu moich krewnych, żebym mogła wyprowadzić ich

tylnymi drzwiami przez kuchnię? Przecież tam nie było Medyceuszy.

Rozwarłam dłonie, nacisnęłam brązowego psa i wcisnęłam się do skrytki na trucizny.

Wkrótce krzyki dobiegały już z biblioteki.

- Tędy! - usłyszałam głos wołającego Umberto.

Otworzyłam drzwiczki prowadzące do kominka.

Płonący zeszłej nocy ogień zamienił się już w węgielki, więc widziałam wszystko wyraźnie. Kapitan Umberto wbiegł, prowadząc za rękę Domenicę. Tylko Domenicę. Dlaczego to musiała być akurat ona? Dlaczego nie mógł zabrać ze sobą także Andrei? Oficer zatrzasnął za sobą drzwi do biblioteki i zabarykadował je masywnym biurkiem papy. Kiedy je przesunął, z blatu spadł ciężki, ceramiczny dzban i roztrzaskał się na podłodze.

Domenica stanęła pod ścianą. Cicho płakała.

- Nie będzie nam wolno wychodzić za mąż. Nie wolno iść za mąż - powtarzała półgłosem.

- Silenzio, signorina - syknął Umberto, podbiegając do kominka. - Nie mamy wiele czasu. Emilio, jesteś tam?

Dlaczego on wola Emilia? Otworzyłam drzwiczki szerzej i wyszłam.

Kapitan Umberto wydawał się zaskoczony. I potem zrozumiałam: byłam ubrana jak chłopiec.

- Emilio? - spytał ponownie i podszedł, żeby mi się lepiej przyjrzeć. - Flora? Nigdy bym cię nie poznał. Grazie a Dio, że żyjesz. Świetny pomysł z tym przebraniem. We dwie będziecie mieć większe szanse na ucieczkę.

- My dwie? - spytałam. - Przecież pójdziesz z nami, prawda?

- Jestem żołnierzem, Floro - odparł. - Moje obowiązki są w tej chwili dość jasne.

Skinął głową. „Mordercy!” „Zdrajcy!” Krzyki były coraz bliższe. Kapitan chwycił Domenicę za rękę i wepchnął ją do mrocznego schowka nonny.

- Zostańcie tutaj. Floro, zamknij drzwi od drugiej strony, a potem zabierz siostrę i uciekajcie tyłem. Nie wychodź bez względu na to, co usłyszysz. Rozumiesz? Sam sobie z nimi poradzę.

- Mogę ci pomóc - rzuciłam. - Domenica da radę uciec w pojedynkę. Proszę, umiem się bić. Nauczyłeś mnie.

- Nie, Floro. Błagam cię. Zostań z siostrą. Zabierz ją stąd. Jesteś jej jedyną szansą.

Spojrzałam przez ramię na skuloną w ciemnym korytarzyku Domenicę. Patrzyła pustym wzrokiem, zmysły miała przyćmione. Rzeczywiście. Sama nie zdołałaby uciec. Musiałam jej pomóc, choć wcale tego nie chciałam. Wolałam, żeby została tu, bezpieczna w mroku, a

wtedy ja mogłabym walczyć ramię w ramię z kapitanem Umberto. Tak to powinno wyglądać.

- Bene - odezwałam się zrezygnowanym głosem. - Nie daj się. To mroczny dzień, ale Bóg stoi po twojej stronie. Jestem tego pewna.

Kapitan Umberto uśmiechnął się szczerym, ciepłym uśmiechem. Był to niemal taki uśmiech, o jakim od zawsze marzyłam, choć nie do końca. Zauważyłam w nim miłość, ale innego rodzaju, niż pragnęłam.

- Niech cię Bóg błogosławi, Floro. Dobra z ciebie dziewczyna - ucałował mnie w rękę i szybko zatrzaskał drzwiczki.

Coś w kominku zagrzecotało, a kiedy dotknęłam ściany, poczułam gorąco. Oficer rozpałił ogień.

Rozległy się uderzenia. Ktoś rozłupywał toporem drzwi do biblioteki. Mimo zakazu kapitana Umberto uchylałam nieco drzwiczki. Płomienie szalały, ale zobaczyłam go przez roztańczony ogień. Stał z wyciągniętym mieczem, ugiętymi kolanami i wyrazem twarzy przypominającym paszczę wściekłego lwa. Kolejny trzask i żołnierze Medyceuszy wdarli się do środka.

Pierwsi dwaj nie doszli nawet do krzesła ojca. Umberto przebił ich w ciągu kilku sekund. Pojawili się jednak kolejni, było ich więcej i więcej. Zepchnęli oficera na tył pokoju.

Bił się, jak tylko mógł - uderzał ludzkimi głowami o marmurową posadzkę, jednego z napastników wyrzucił przez okno. Podziwiałam jego szybkość i wdzięk, choć na twarzy miał zwierzę - tę samą bestię, którą widziałam w dniu, w którym tępak od hrabiego Riario groził babci.

Potem do biblioteki weszli kolejni - razem z tym, który odczytywał obwieszczenie na naszym dziedzińcu. Ten wydawał się bardziej doświadczony niż inni. Odczekał, aż kapitan Umberto zwrócił uwagę na kogoś innego, po czym dobył miecza i zatoczył nim w powietrzu doskonały łuk. Głowa mojego bohatera odpadła od ciała i ciężko potoczyła się po podłodze.

Cicho zamknęłam drzwiczki i oparłam się o ścianę. Zrobiło mi się niedobrze.

- O mój Boże - szepnęłam.

Ubiegłej nocy nonna powiedziała, że każdy musi kiedyś dorosnąć - i miała rację, ale pomyliła się co do jednego. Mój moment nie nadszedł wtedy, tylko teraz. Póki miałam u boku chroniących mnie babcię i kapitana Umberto, mogłam się zachowywać tak, jak mi się żywnie podobało. Byłam bezpieczna. Teraz już nikt nie stał pomiędzy mną a światem. A świat wdarł się tutaj, do naszego domu.

W bibliotece rozległy się głosy.

- Sprawdźcie mu kieszenie - powiedział jeden z nich. - Zabierzcie, co znajdziecie. Reszta

należy teraz do Wawrzyńca Medyceusza. Jeśli musicie koniecznie zatrzymać coś dla siebie, zróbcie to w tajemnicy.

Cofnęłam się i pociągnęłam za rąbek sukni Domeniki.

- Co się dzieje na dole? - spytałam szeptem.

- Nie wolno nam wychodzić za mąż - powtórzyła.

Miałam ochotę walnąć ją tak, by zatrzymała się dopiero w Ziemi Świętej.

- Przestań. Próbuję nam pomóc. Mów: ilu zostało na dziedzińcu? Czy któryś jest w kuchni?

Usłyszałam kroki. Tym razem rozległy się zza drugich drzwiczek. Z pokoju nonny.

- Chodźcie stąd - odezwał się głęboki głos. - To tylko kwatery posługaczki. Poszukajmy

czegoś naprawdę dobrego.

- Popatrz tylko na to. To ta ich strega.

- Martwa i zimna. Tracimy czas.

- Nie, nie tracimy. Jestem pewien, że Il Magnifico znajdzie jakieś zastosowanie dla ciała matki tego zdrajcy Pazziego. I wynagrodzi nasz trud.

Potem poczułam światło na twarzy i wydałam z siebie okrzyk, który nie miał nic wspólnego z Bogiem. Z wyciągniętym squarcato wyskoczyłam z korytarzyka. Usłyszałam mokry dźwięk, a potem trzaśnięcie. Ostrze zagłębiło się w piersi mężczyzny. Strzelił z niej ciepły płyn i zalał mi oczy. Ktoś rzucił się na mnie z tyłu. Kopałam i wymachiwałam rękami, ale nie byłam w stanie go z siebie strząsnąć. Uderzyłam więc nim o ścianę. Raz, drugi i trzeci, aż wreszcie się uwolniłam. Mężczyzna skulił się i złapał za głowę. Był ogłuszony, ale nie na długo. Wyszarpnęłam sztylet z piersi swej pierwszej ofiary i wraziłam go w drugą. Kiedy nóż zniknął w mężczyźnie po rękojeść, obróciłam nim dokoła. Nie chciałam, żeby temu człowiekowi zostało cokolwiek w środku.

Gdy było już po wszystkim, wyciągnęłam ze schowka Domenicę.

- Chodź - rzuciłam. - Uciekamy stąd.

Podeszłam do łóżka i zaczęłam ściągać czarną suknię z zimnego, marmurowego ciała nonny.

- Mi dispiace - przeprosiłam. Nie byłam tak delikatna, jakbym chciała. Ale w tej chwili byłam żołnierzem, który ma rozkaz do wykonania. Misję doprowadzenia Domeniki w bezpieczne miejsce.

- Co robisz? - spytała Domenica, gdy zaczęłam ściągać jej sukienkę przez głowę.

- Jeśli zostaniesz w swoim stroju, daleko nie uciekniemy - odpowiedziałam siostrze. - Zdejmuj suknię. Założysz tę po babci. I spróbuj się przygarbić.

Domenica zrobiła, co kazałam. Przez cały czas wpatrywała się w ciała rzezimieszków od Medyceuszy.

- Co się z tobą stało, Floro? - spytała. - Co się stało z twoimi włosami?

Nie odpowiedziałam. Cieszyłam się, że odzyskała mowę i zmysły, ale na głupoty, jakie wygadywała, nie miałam teraz czasu.

Wreszcie udało mi się ściągnąć z babci sukienkę. Cisnęłam ją Domenice, która stała rozedrgana w kącie. Nie musiałam się martwić o przykrycie nonny. Miała na sobie czystą, lnianą koszulę.

Domenica nawet w prostej, znoszonej czarnej sukience nadal wyglądała jak Domenica. Wciąż biła od niej uroda i aura delikatności. Jej przebranie, podobnie zresztą jak moje, było bardzo niedoskonałe. Mogłam tylko mieć nadzieję, że wystarczy.

Zarzuciłam sobie na ramię zwłoki nonny. Zachwiałam się pod ciężarem, ale nie upadłam.

„Per piacere, Dio” - modliłam się w duchu - „niech tylko koń będzie tam, gdzie go zostawiłam. Z całą resztą jakoś sobie poradzę.”

Na palcach, ostrożnie zeszliśmy po schodach i weszliśmy do spizarni. Popchnęłam drzwi do kuchni. Siedziała tam na podłodze Graziella. Nogi miała wyciągnięte przed siebie. Obżerała się wszystkim, co tylko znalazła - mięsem, serami, pomarańczami nonny. Podniosła głowę i zobaczyła nas.

- Mordercy! Zdrajcy! - krzyknęła, wzywając tym samym całą armię Medyceuszy i uśmiechnęła się złośliwie.

Pobiegłam z ciałem nonny do drzwi, ale Domenica zatrzymała się na tyle długo, by po drodze kopnąć swoim haftowanym bucikiem Graziellę w twarz. Uderzenie nie było mocne, ale służąca przestała na chwilę się wydzierać.

- Andiamo - rzuciła Domenica, gdy mnie dogoniła. W jej oczach pojawił się błysk. Prawie się ucieszyłam.

Na zewnątrz koń stał uwiązany na swoim miejscu. Przy ławce dla pacjentów zebrało się kilku ludzi. Śledzili nas spojrzeniami. Żaden z nich się jednak nie poruszył. Wrzuciłam ciało babci na koński grzbiet i pomogłam wsiąść Domenice. Sama usiadłam za nimi.

Chwyciłam wodze i wtedy wystąpiło naprzód dwóch mężczyzn.

- Znam tę dziewczynę. To jedna z Pazzich. Pokażmy światu, jak florentyńczycy obchodzą się z mordercami.

Powstrzymał ich inny - człowiek w skórzanym fartuchu. Poznałam w nim Orazio - złotnika, który ledwie zeszłej nocy siedział ze mną przy stole i ucztował.

- Aspetta - rzucił łagodnie. - Wstrzymajcie się.

Wykonał spokojny gest, ale to wystarczyło. Gburowaty mężczyzna nie zrobił już ani kroku. Jego towarzysze także. Ani pozostali. Chciałam podziękować złotnikowi, ale nie mogłam stracić ni chwili więcej. Skinęłam mu tylko głową.

Szarpnęłam za lejce i zniknęłyśmy.

Powrotna droga pod górę okazała się niewygodna. Ponadto, mimo że ciało nonny było drobne, a Domenica szczupła, to jednak koń dźwigał potrójny ciężar. A koń był przecież tylko jeden i to mały. Miałam wrażenie, że zaraz spadnę do tyłu na spotkanie z ziemią. Ale tak się nie stało. Mimo moich obaw koń zdołał przebyć nie tylko drogę do Fiesole, ale nawet jeszcze dalej, kolejne pięć mil do klasztoru.

Zeskoczyłam z siodła i wylądowałam na równych nogach.

Załomotałam do żelaznej bramy. Niewielkie, zakratowane okienko otworzyła siostra w barbecie o pobrużdżonej twarzy. Jednym spojrzeniem ogarnęła wszystko - na wpół oszalałą Domenicę, moją zakrwawioną bluzę.

- Co ci dolega, signor? - spytała uprzejmie. Kiedy otworzyła usta, zauważyłam, że w ustach pozostał jej już tylko jeden ząb.

Zastanowiłam się, do kogo zakonnica się zwraca, ale zaraz uświadomiłam sobie, że przecież byłam teraz mężczyzną.

Przyjrzałam się sobie. Cała byłam powalana krwią. Czegoś takiego nikt nie mógł pomylić z brudem.

- Wydarzył się wypadek - odezwałam się, obniżając głos. - Moja siostra potrzebuje schronienia.

Zakonnica spojrzała ponad moim ramieniem na konia. Domenica siedziała podtrzymując ciało nonny.

- A co się stało starszej pani? - spytała.

- Nie żyje.

Zakonnica obrzuciła mnie raz jeszcze szybkim spojrzeniem.

- To nie ja - zapewniłam. - Przynajmniej nie ja - po tych słowach spytałam w duchu sama siebie, czy kiedykolwiek będę potrafiła cokolwiek powiedzieć dyplomatycznie. Dotarło do mnie, że swymi pochopnymi wyjaśnieniami najprawdopodobniej zgubiłam nas obie.

Zakonnica przyjrzała mi się raz jeszcze. Wreszcie, po chwili, dobyła zza pasa pęk kluczy i żelazne wrota otworzyły się ze szczękiem.

- Chyba najlepiej będzie, jeśli wejdziecie - powiedziała. - Jestem suora Arcangela. Witam

was w klasztorze.

Wprowadziłam konia za mury i pomogłam Domenice zejść. Podprowadziłam ją do ławki pod drzewem oliwnym, wśród schludnie utrzymanych grządek groszku i cebuli. Suora Arcangela podała jej chochlę wody ze studni. Z refektarza wyłoniły się kolejne zakonnice.

- Nie będzie nam wolno wyjść za mąż - powtórzyła znowu Domenica, siorbiąc wodę. Oczy się jej zaszklily. Zaczęłam się obawiać, że już nigdy nie wróci do równowagi.

Ktoś przyprowadził na dziedziniec także i naszego konia. Z jego grzbietu delikatnie zdjęto ciało nonny. Jedna z zakonnice pobłogosławiła ją znakiem krzyża. Inna pogładziła zimne policzki. Tak, zrozumiałam, że tutaj należycie zajmą się moją babcią. Nawet jeśli dziś nie uda mi się osiągnąć już nic więcej, to jedno mi się udało.

Suora Arcangela podeszła ku mnie z napełnioną warząchwą. Podziękowałam. Kiedy podnosiłam łyżkę do ust, zaczęły trząść mi się ręce. Piłam tak łapczywie, że połowę wylałam na koszulę.

- Spokojnie, proszę - odezwała się kojąco zakonnica.

Kiedy skończyłam, oddałam jej chochlę i zmusiłam się, by spokojnie oddychać. Podobało mi się tu. Nie wiem, czego spodziewałam się wcześniej, ale na pewno nie czegoś takiego. W klasztorze nie było fontann ani delikatnych róż. Tylko równe rzędy warzyw i ziół. Nie był to zbyt wyrafinowany ogród, ale jednak ogród. Pomyślałam, że aż do dzisiaj nie miałam pojęcia, że w takim miejscu może mi się spodobać.

Siedziałam i z wolna przestawałam dygotać. Suora Arcangela usiadła obok.

- Po raz pierwszy jestem w klasztorze - odezwałam się. - Wydawało mi się, że bardziej będzie przypominał więzienie. A jest zupełnie inaczej.

- Są tacy, którym ten nasz, szczególnie, rodzaj więzienia jest bardzo potrzebny - odparła suora Arcangela i skinęła głową w kierunku siedzącej z pustym wzrokiem Domeniki. - A ty, signor? Czy nie odpoczniesz wśród nas przez jakiś czas?

Pokręciłam głową.

- Muszę wracać. Są inni.

Suora Arcangela znów spojrzała na moją siostrę.

- W takim samym stanie jak ona? - spytała.

- Obawiam się, że raczej w takim jak moja błogosławiona nonna - wyjaśniłam.

Przeżegnała się i ucałowała wiszący na szyi różaniec.

- Będę się za ciebie modlić, signor. Allora. Pomyślałam, że może się to panu przydać - dobyła spod habitu czystą koszulę i podała mi. - Tam jest spokojniejsze miejsce - wskazała gestem. - Można się tam przebrać i nikt niczego nie zobaczy.

- Grazie - podziękowałam i zaczęłam rozpinać swoją zakrwawioną bluzę.

Squarcato wypadł i szczęknął o ziemię razem z pierścieniem nonny i listem od niej. Papier pokrywały plamy krwi, ale czarny pies wciąż był bez skazy. Podniosłam klejnot i wręczyłam zakonnicy.

- Proszę - odezwałam się. - To na pokrycie kosztów pogrzebu. I na utrzymanie mojej siostry.

Zamknęła moją dłoń wokół pierścienia i odepchnęła od siebie.

- To mój chrześcijański obowiązek. Nie mogę oczekiwać zapłaty za coś takiego. Mówisz, że inni potrzebują twojej pomocy. Przywiedź ich tu. Zajmiemy się nimi.

Wiedziałam, że nie kłamie.

Zabrałam swój pierścień i list i przebrałam się za drzewem oliwnym. Potem zaczerpnęłam ze studni wiadro wody, obmyłam twarz i ramiona. Kiedy skończyłam, woda zrobiła się ciemnoróżowa.

Czas mnie gonił, ale przed odjazdem czekało mnie jeszcze jedno.

Wcale nie miałam ochoty rozmawiać z Domenicą. Zupełnie nie. Ale poczułam zarazem, że nie powinnam zostawiać jej bez pożegnania. Nie po tym wszystkim, co razem przeszliśmy.

Usiadłam obok niej na ławce w ogrodzie. Wciąż miała zamglony, nie skupiony na niczym konkretnym wzrok. Obojętnie bawiła się kosmykami włosów.

- Tu będziesz bezpieczna - oznajmiłam. - Za dwa dni przyjedzie do ciebie Emilio. On będzie wiedział, co robić dalej.

- A co z tobą? - spytała. W jej oczach nagle pojawił się lęk. - Dlaczego ty po mnie nie przyjedziesz?

Ale ja znowu spiskowałam. Emilio był równie szybki, jak rzymski bóg Merkury. Na pewno już dotarł do żołnierzy papieża. Możliwe nawet, że już są w palazzo. Jeśli wszystko poszło dobrze, może udało im się ocalić moją rodzinę. A może tylko się pocieszałam.

- Wszystko będzie dobrze, Domenico. Zobaczysz. Wrócę jutro razem z pozostałymi.

„Na pewno nic się nikomu nie stało” - znów zaczęłam sobie powtarzać. - „Emilio na pewno zdążył na czas”.

Ale bez względu na to, jak żarliwie sobie tego życzyłam, inna część mnie zdawała sobie sprawę, że limit szczęścia wyczerpałam, wyprowadzając z domu Domenicę i babcię. Przypomniał mi się bulgocący charkot, jaki wydał Giuliano, walcząc o swój ostatni oddech; przypomniałam sobie dźwięk, jaki wydawała tocząca się jak armatnia kula po posadzce biblioteki głowa kapitana Umberto. Znów stanął mi przed oczyma tłum zbierający się przy

kuchennych drzwiach i tych dwóch, którzy chcieli nas zabić, a których powstrzymał Orazio Aspetta. Jeden człowiek, jednym cichym słowem powstrzymał cizbę przed atakiem. To był prawdziwy cud. I na więcej cudów nie miałam co liczyć.

- Moje suknie, moje klejnoty... - odezwała się Domenica, wciąż zabawiając się włosami. - Medyceusze zabrali wszystko... - w jej oczach pojawiły się łzy. - Słyszałam to ich obwieszczenie. Chcą zmieść nasz ród z powierzchni ziemi. Chcą zabić naszych braci i ojca. Nam pozwolą żyć, ale nie będziemy mogły nigdy wyjść za mąż, żebyśmy nie wydały na świat potomstwa.

Dla mnie akurat nie było to aż taką tragedią. Wcale nie zamierzałam wychodzić za mąż, więc nie bardzo cierpiałam. Tę rozpacz będzie musiała przeżywać sama.

- Floro - ciągnęła. Obróciłam się do niej. Wstała i uniosła rękę do moich źle obciętych włosów. - Jeśli tu wrócisz, może nam się jeszcze wszystko ułożyć. Odrasną ci włosy. Pokażę ci, jak je uczesać. A skoro to ja potrafię lepiej szyć i szwy wychodzą mi prostsze, uszyję nam obu piękne sukienki. Jeśli wrócisz, zajmę się tobą. Będiesz moją młodszą siostrą.

Propozycja była wspaniałomyślna. Domenica przybrała taką minę, jaką dotąd widywałam tylko w snach. Oferowała mi akceptację. Zdałam sobie sprawę, że tak naprawdę nigdy nie marzyłam o ucieczce - ani o przygodach, ani o fortunie - za to od zawsze moim marzeniem było, żeby ktoś mnie przyjął, przygarnął do siebie. Dokładnie to, co obiecywała mi teraz Domenica.

- Sorella mia - powiedziałam, chwytając ją za rękę. - To brzmi wprost niebiańsko.

Zakonnice dokoła udawały, że się nam nie przyglądają. Słyszały, jak Domenica nazwała mnie Florą, siostrą, jak rozmawiała ze mną o fryzurach i sukienkach. Dowiedziały się, że je oszukałam.

Wskoczyłam na swojego zmęczonego konia, skupiając się na małych rzeczach, na otarciach na palcach od ściskania wodzy, na szarej grzywie przed oczami. Wydawało mi się, że jeśli skoncentruję się wyłącznie na błahostkach, wielkie sprawy zajmą się sobą same.

Uderzyłam wierzchowca kolanami i wyjechałam z dziedzińca.

- Addio, signorina! - zawołała suor Arcangela, zamykając za mną bramę. - Z Bogiem!

Odjechałam galopem, zostawiając za sobą Domenicę.

Rozdział 18

Do miasta wróciłam o zachodzie słońca. Tym razem nie mogłam się niepostrzeżenie wśliznąć za mury. Tłum ruszył na miejskie bramy. Ludzie nie wychylali się z okien, by poznać najnowsze wieści jak niegdyś - teraz byli to rozpustni, rozbawieni szaleńcy. W całym mieście bawiono się, jakby nastał karnawał: wszyscy przeciskali się ulicami, wołając Palle! Palle!

Herb Medyceuszy stał się bitewnym zawołaniem. Ci prawi obywatele nieśli nasze dzbany z winem, zonglowali naszymi srebrnymi talerzami i czajnikami i ubierali się w nasze stroje. Czy już wszyscy florentyńczycy zajęli się plądrowaniem mojego domu? „Ależ proszę, częstujcie się” - pomyślałam. Należy się wam. Zostawcie mi tylko moją rodzinę.

Zeskoczyłam z wyczerpanego konia na skraju miasta. Bałam się, że jeśli dalej pojedę wierzchem, to ktoś mi go ukradnie. Na jego szarym pysku zebrała się piana. Powinnam była zostawić go w klasztorze. Szepnęłam mu do ucha, że jest dobrym wierzchowcem i że bardzo mi się przysłużył, po czym odgoniłam go precz klepinięciem. Tym razem nie będę już musiała uciekać.

Przecisnęłam się przez rojny tłum do kuchennego wejścia do naszego palazzo. Nie było widać wojska. Sami rabusie. Tłoczyli się w drzwiach i gdy tylko stwierdzali, że kto inny znalazł coś lepszego, okładali się po głowach. Spróbowałam wejść między nich, ale zostałam odepchnięta.

- Ja tu byłem pierwszy! - krzyczeli z oczyma zwężonymi chciwością. Nie byli ani trochę lepsi od mojego ojca.

- Emilio jest wewnątrz - szepnęłam do siebie. - Nikomu nic się nie stało.

Na całe szczęście nikt mnie jeszcze nie rozpoznał. Pomyślałam, że muszę przedostać się do papieskich żołnierzy, którzy na pewno stanęli przy głównym wejściu, a wtedy razem, wspólnie, odeprzemy motłoch i ocalimy tych, którzy zostali z mojej rodziny.

Przy bramie jednak czekał mnie wyłącznie kolejny wstrząs.

Nie było tam żadnych papieskich żołnierzy. Gdzie nie spojrzałam, widziałam tylko mundury z trzema kulami - herbem Medyceuszy. Palle. Palle. Palle.

- Śmierć zdradzieckim Pazzim!

- Zobaczają, jak we Florencji rozprawiamy się z mordercami!

Gdzie jest Emilio?

Podniósł się rwetes głośniejszy niż dotąd. Przed bramą do palazzo rozgrywało się jakieś przedstawienie. Stałam zbyt daleko w tłumie, by widzieć wszystko wyraźnie, ale zauważyłam ojca, który pojawił się ze sznurem zawiązanym wokół szyi i czarną dziurą w miejscu, w którym miał przedtem prawe oko.

O Madonno! Myliłam się: nikt nie był bezpieczny, a już najmniej mój papa. Bolało go tak

bardzo, że nie miał nawet siły krzyżeć. Chwiał się na nogach. Podtrzymał go żołnierz Medyceuszy. Ten, który zabił kapitana Umberto. Ludzie zaczęli obrzucać ojca kamieniami, owocami i grubymi gałęziami. Nie wydawało się, by czuł jeszcze kolejne uderzenia.

Ruszyłam naprzód, ale tłum odepchnął mnie z powrotem w tył. Ciężba rozstała się, by zrobić miejsce dla czterech koni, które przyprowadzono przed bramę. Nie rozumiałam. Po co im cztery wierzchowce? Przecież do Bargello można było moich rodziców zaprowadzić piechotą.

Spróbowałam się prześliznąć niczym węgorz, ale wciąż nie udawało mi się zrobić ani kroku naprzód.

Straciłam z oczu głowę ojca. Chwilę potem usłyszałam przeraźliwy krzyk. Konie pędzono w przeciwnie strony. Co to za ohydny dźwięk? Dlaczego nic z tym nie robią? Zrobiło mi się niedobrze. To przecież mój papa tak głośno krzyczy. Ale dlaczego? Co mu robią tak straszego? Przecież już wcześniej wyglądał, jakby nie zostało w nim wiele życia.

I wtedy przebiegło obok mnie jedno ze zwierząt. Spłoszony rumak ciągnął za sobą ludzkie ramię.

Konie rozdarły mojego ojca na strzępy.

Zachwiałam się. Tłum dokoła zdziczał. Ludzie wiwatowali głośno.

- Forza! Forza! - krzyżeli.

Pełne dzbany wina przekazywano sobie z rąk do rąk. Cretini. Jakim trzeba być człowiekiem, żeby coś takiego uznać za rozrywkę?

Pod pałacem gwardzista Medyceuszy uniósł na oczach tłumu łysą głowę mojego ojca. Z uciętej szyi wciąż jeszcze ciekła krew. Pod głową nie było ciała. Zmusiłam się, by na to patrzeć. Nie odwróciłam wzroku. Najbardziej przy tym bolało mnie zupełnie co innego niż krew. Cierpiałam, bo papa nie miał na sobie czapki i teraz wszyscy widzieli to, co starał się ukryć przed nimi przez całe życie. Bardzo żałowałam, że nie mogę tej głowy czymś owinąć i uchronić - tak jak obroniłam ciało nonny. Oczywiście wiedziałam, że to już nie ma znaczenia. Ojciec nie czuł już wstydu. A jedyne, co mogłam jeszcze dla niego zrobić, to pomodlić się za jego duszę. Tak właśnie uczyniłam.

„Boże, przebac mu” - błagałam. - „Źle postąpił, planując ten spisek, ale był przecież moim ojcem i bardzo go kochałam. Przyjmij go do swego serca tak, jak on nigdy nie chciał przyjąć mnie do swego.”

Wtedy znowu rozległy się śpiewy i wołania. Wyprowadzono mojego brata - Renato.

- Nie! - zawołałam, starając się przekrzyżać tłum. Raz jeszcze, łokciami, spróbowałam przebić się bliżej przodu. Znow bez powodzenia.

Krzyżalam i machałam rękami - nie w obawie o Renato (przebac mi to, Boże), ale dlatego, że wiedziałam, że jeśli kolejność szła od najstarszego do najmłodszego, to następny musiał być Andrea.

Nie. Nie Andrea. Nikt nie zasługiwał na to, żeby go rozdzierać końmi, a zwłaszcza Andrea. Przecież on nie był spiskowcem. Musiałam go uratować.

Znów przypędzono konie, które wciąż jeszcze ciągnęły za sobą kawałki ciała mojego ojca. Zobaczył to Renato i oszalał ze strachu. Rzucił się bardziej gwałtownie niż żywy węgorz.

- Nie! - darłam się. - On jest niewinny!

Nikt mnie jednak nie usłyszał. Tłum wył tak głośno. Zresztą, nawet gdyby mnie usłyszeli, i tak nie wiedzieliby, że nie chodzi mi o Renato.

Wszyscy wokół cieszyli się i chcieli zająć lepsze miejsca. Stojący obok mnie mężczyzna wziął małego chłopca na barana. Wyciągnęłam rękę i ściągnęłam dzieciaka na ziemię.

- Co robisz? - ojciec odciągnął ode mnie swojego syna.

- Per piacere, signor, to nie jest odpowiedni widok dla dziecka.

- To bardzo dobry widok - odepchnął mnie. - Może sobie to zapamięta. Chcę, żeby mój syn wiedział, co my, florentyńczycy, robimy ze zdrajcami.

To powiedziawszy, znów usadził sobie chłopca na ramionach. Dziecko śmiało się, klaskało i poklepywało ojca po głowie. Miałam wątpliwości, czy za chwilę będzie klaskać tak samo radośnie.

Patrzyłam i miałam wrażenie, że chłopiec podskakuje w górę i opada. Ale to nie on się poruszał. To mnie mąciło się w oczach. Ciemniało przed nimi. Pod powiekami, jak wystrzelone z armaty, zapłonęły czerwone iskierki. Wiedziałam, że muszę wyjść przed ten tłum.

Ale zawsze, gdy tylko zaczynałam się przepychać, natykałam się na kogoś większego i silniejszego, kto mnie powstrzymywał.

Właśnie wtedy pojawił się złotnik i wziął mnie za łokieć.

- Proszę, signor - powiedział, wyciągając mnie z tłumy, tuż za nim wszystko zaszło

czernią. - Nie jest pan zdrów.

- Nic mi nie jest - syknęłam, wrywając mu ramię.

- Ale mięczak, co? - przewracając się, usłyszałam jeszcze, jak wyjaśniał zebranym dookoła całe zajście. - Kilka kropel krwi i już mdleje.

Złotnik uratował mi życie po raz kolejny. Chwycił mnie za rękę i wciągnął w boczną alejkę. Zachwiałam się i szarpnęłam. Chciałam wracać przed bramę.

- Spokojnie - rzucił - tylko spokojnie. To szok.

Próbował mnie podtrzymać, ale odrzuciłam go łokciem. Udało mi się nawet wykonać dwa

kroki, ale potem zgięłam się w pół i zwymiotowałam na ulicę. Zwróciłam całą swoją dumę. Prosto w błoto i końskie odchody.

Zaczęłam dyszeć. Orazio poklepał mnie po plecach.

- Jak się nazywasz, synu? - spytał, znacząco akcentując ostatnie słowo.

Wymieniłam imię, które jako pierwsze przyszło mi do głowy.

- Tu nie jest bezpiecznie, Emilio - zauważył. - Musimy zejść z ulicy.

- Grazie, signor Orazio.

- Pręgo - odparł, bystro rozglądając się dokoła.

W tej samej chwili nowy krzyk rozdarł powietrze.

- Delfin! - usłyszałam męskie krzyki, którzy zwoływali się naszym herbowym symbolem. Od strony duomo nadbiegło sześciu uzbrojonych ludzi.

Wreszcie - pomyślałam. Przybyła armia papieża. Wszystko będzie dobrze.

Ale nic nie było dobrze. Wkrótce zobaczyłam, że ci, którzy krzyczeli „delfin” nie byli wcale armią. Nie byli nawet niedobitkami żadnej armii. Okazali się zwykłymi mieszkańcami miasta z kamieniami i kosami w rękach. Jedną czy dwie twarze pamiętałam jeszcze sprzed kuchennych drzwi nonny. Był mężczyzna z zajęczą wargą i drugi z okulawioną nogą. Wojsko inwalidów.

- Nie - szepnęłam. - Zamordują was.

Udało im się zbliżyć do Renato o kilka kroków bliżej niż mnie, ale zaraz i ich pochłonął tłum. Na każdy głos wołający „delfin” dziesięć innych zanosilo się okrzykiem „palle”. W przeciągu kilku sekund tłum popleczników Medyceuszy rozprawił się z wrogami. Widziałam unoszące się do uderzenia pięści, nogi i spadające raz po raz sztylety.

Jeszcze dziś rano wydawało mi się, że tylko raz będę musiała podróżować przez samo dno piekła. Ilu rozszarpywanych na strzepy ludzi będę jeszcze musiała oglądać? I gdzie jest Emilio?

Poczułam z tyłu szarpnięcie złotnika.

- Czas, żebyś posłuchała własnej rady, signorina - powiedział, tym razem z większym naciskiem. - Jeśli tu zostaniemy, wreszcie ktoś zwróci na nas uwagę i nas także zamordują.

Ledwie słyszałam, co mówi.

- Potrzebna jest nam armia - rzuciłam. - Muszę dotrzeć do Porta Romana.

Wyszarpnęłam się mu z uchwytu i pobiegłam w drugą stronę alei - w kierunku Arno. W kierunku znajdującej się na drugim brzegu bramy Porta Romana. Musiałam odszukać Emilia i sprowadzić papieskich żołnierzy. O Madonno! Jak go tylko znajdę, nie daruję mu tej

opieszalności. Jak mógł się tak spóźnić? Był równie leniwy, jak Graziella.

Pokonanie tego krótkiego dystansu zajęło mi bardzo dużo czasu. Nigdy przedtem nie chodziłam sama ulicami, które teraz okazały się wąskie i tłoczne. Musiałam dostać się na drugą stronę Arno, ale nigdzie nie mogłam jej znaleźć. Wreszcie ulica, którą szłam, otworzyła się na Piazza della Signoria, a z placu zauważyłam błękitne pasmo.

Gdy dotarłam do rzeki odnalazłam most Ponte Vecchio i przebiegłam na drugi brzeg. Stąd już prosto do posągu Merkurego, który wytyczał południowy kraniec miasta. Biegłam, jakby mnie gonili. Gdy dotknęłam rzeźby, zatrzymałam się i rozejrzałam dokoła. Kilku ludzi z wózkami szło w jedną lub w drugą stronę. Zwykły ruch uliczny. Nie było żadnego wojska. Nie było też Emilia. Byłam tylko ja. Pobiegnęłam drogą na południe.

- Emilio! Emilio! Jestem tu! - wołałam.

Nikogo. Spróbowałam okolic na wschód i zachód. Nadal żadnych mundurów. Żadnej armii. Prawie żadnych przechodniów. Całe miasto musiało się zebrać u stóp naszego palazzo. Kradli naszą własność i nasze kości.

Wydawało mi się, że upłynęły długie godziny. Wróciłam wreszcie pod posąg Merkurego i usiadłam, kryjąc głowę w dłoniach.

Nie ma żołnierzy.

- No chodź tu, cretino! Musimy wracać! Musimy ocalić Andreę! - zawołałam, ale słuchało mnie tylko niebo.

Nagle zaczęłam się trząść. Nie mogłam się opanować. Chmury zawirowały, smagane mocnym wiatrem. Opadłam z sił, tam, pod posągiem Merkurego. Nagle zrozumiałam wszystko.

Armia nie nadeszła. Dogonił mnie Zefir. Ocalenie rodziny nie było moim przeznaczeniem - moim losem było zostać tą, która uciekła.

Możliwe, że wojsko wcale nie zostało wysłane. Hrabia Riario mógł okłamać ojca w dniu, kiedy mu groził. Ale skoro zamierzał odsunąć Medyceuszy od władzy i samodzielnie przejąć rządy we Florencji, to przecież chyba też potrzebował żołnierzy?

Istniała też inna możliwość, której do siebie nie dopuszczałam. Może armia tu dotarła, ale Emilio nie przybył na miejsce. Ludzie papieża mogli pomyśleć, że zamach stanu został odwołany i wrócili do Rzymu, do swojego całowania pierścieni i do picia mszalnego wina.

Ale przecież patrzyłam za Emiliem z Fiesole. Obserwowałam go prawie przez całą drogę. Co się mogło stać? I wtedy przypomniałam sobie radość tłumu obserwującego konie rozszarpujące mojego ojca na kawałki, przypomniałam sobie sposób, w jaki rozgrabiali nasze srebra i to, jak ochoczo nazywali każdego zdrajcą. Nienawidziło nas całe miasto. Nas i każdego, kto miał z nami cokolwiek wspólnego. Zabijanie Pazzich stało się sportem, a Emilio miał przecież na sobie bluzę z naszym herbowym delfinem. Reszty nietrudno się było domyślić. Ktoś obciął mu głowę i sprawdził zawartość jego kieszeni.

Nie, nie Emilio. To nie mogło się wydarzyć. Jeśli spotkało go cokolwiek złego, to przeze mnie. Mógł przecież uciec. Ale ja wysłałam go z powrotem do miasta. Skłamałam i tym kłamstwem zabiłam chłopaka. Swojego pierwszego i jedyne w życiu przyjaciela.

- Emilio - poczułam na plecach twardą rękę. Przestraszona spojrzałam ku górze. Gdzie? Ledwie do mnie dotarło, że patrzę na złotnika, który coś do mnie mówił.

Teraz to ja stałam się Emiliem.

- Nie możesz tu zostać. Ludzie zaczynają się gapić - szepnął.

Miał rację. Tak bardzo spowiłam się kokonem własnego cierpienia, że nie zauważyłam, jak wyglądam. Skulona na ziemi, zalewająca się łzami. Wszyscy przechodnie przyglądali mi się ciekawie. Niektórzy nieco zbyt ciekawie.

- Chodź, synu - odezwał się nieco głośniejszy złotnik. - Przepraszam, że na ciebie nakrzyczałem. Wracamy do domu.

Nie odepchnęłam go. Nic nie zrobiłam. Pozwoliłam się poprowadzić z powrotem drogą, którą przysłałam. Tym razem powoli. Przez most, przez Piazza delia Signoria. Orazio przez cały czas mamrotał na użytek przechodniów.

- Mój syn, mazgaj. Zanadto to wszystko tobą wstrząsnęło. Będziesz musiał mi zhardzieć, młody. Tak trzeba, jeśli chce się przeżyć w tym mieście.

Wreszcie znaleźliśmy się z powrotem na Via dei Balastrieri, ale nie doszliśmy do naszego palazzo. Orazio wprowadził mnie do jakiegoś budynku. Przeszłam przez próg i aż zadławiłam się od dymu i żaru.

Pamiętam, że kiedy popchnął mnie naprzód, przemknęło mi przez głowę, że całkiem spokojnie pozwoliłam mu zaprowadzić się prosto do piekła.

Rozdział 19

Obudziłam się, bijąc ręką w coś, co chodziło mi po głowie. Leżałam na słomianym posłaniu w pokoju z zasłoniętymi oknami. Pchła zeskoczyła ze słomy prosto na mój łokieć. Przepędziłam ją. Inne chodziły po całym legowisku i najwyraźniej także po całej mnie.

Zaczerpnęłam głęboko powietrza. Gardło miałam wysuszone jak pergamin. Drapało mnie. Powietrze było tu gorące i gęste, ale zdołałam go trochę nabrać.

Poderwałam się i odsunęłam zasłony. Zobaczyłam niewielkie pomieszczenie z czysto zamiecioną, drewnianą podłogą. Na dębowym stołku z widocznymi śladami spalenizny siedział maestro Orazio. Jego palce - rozmiaru i barwy przypalonych kiełbasek - obejmowały ceramiczny kubek.

Przy nim siedziała korpulentna kobieta w średnim wieku. Nosila suknię z krótkimi rękawami, na którą założyła fartuch: brąz na bieli. Jej twarz nie dorównywała czerwienią mężowskiemu obliczu, ale i tak widać było, że nie stosuje pasty z koziego mleka. Wstała i podeszła do paleniska, by zamieszać w garnuszku, w którym gotowało się coś bardzo smakowicie pachnącego. Nie wyglądało na wyszukaną potrawę w rodzaju węgorzy czy bażantów. Podejrzywałam, że to jakaś prosta zupa. A ja byłam straszliwie głodna i nie miałam ochoty na nic wykwintnego.

- Jesteś pewien, Orazio? Nie ma innego sposobu? - spytała kobieta.

Orazio pokręcił głową.

- Jesteśmy to winni signorze Ceneście. To wcale nie musi być aż tak niebezpieczne, jak myślisz, Mario. Powiadają, że za wszystko odpowiedzialni są chłopcy Pazzich. A sama, równie dobrze jak ja, widziałaś, że to nie jest chłopak.

- Co to znaczy, że chłopcy są za wszystko odpowiedzialni? Gdzie oni są? - odezwałam się.

Kobieta rzuciła na mnie okiem, po czym wymieniła z mężem znaczące spojrzenia. Podniosła się i podsunęła mi krzesło.

- Lepiej będzie, jeśli usiądziesz - stwierdziła.

Nie skorzystałam.

- Dziękuję za waszą gościnę, ale muszę się dowiedzieć, co stało się z moimi braćmi. Może jest jeszcze czas.

Maestro Orazio znów spojrział na żonę, a ona na niego.

- Już jest za późno. Oni wszyscy są już tam, gdzie ich nie dosięgniesz.

- Wszyscy? Wszyscy nie żyją? Nawet mamma?

- Twoja matka została odizolowana od świata. Zamknęli ją w małym pokoju w waszym dawnym palazzo. Nie zabijają jej, ale nie odzyska już wolności.

Spróbowałam odszukać w sobie choć trochę współczucia dla mojej biednej, pozbawionej wszystkiego matki, ale okazało się, że nosiłam go w sobie bardzo niewiele. Wciąż przecież oddychała; wielu innych nie. I to po części przez jej własną chciwość.

- A moi bracia? Czy oni wszyscy zostali zabici?

- O ile dobrze pamiętam, masz dwóch braci w sutannach. Ich życie zostanie oszczędzone.

- A reszta?

Oboje milczeli.

- Proszę, musicie mi powiedzieć. Czy jest jeszcze jakakolwiek nadzieja?

- Orazio - odezwała się kobieta, kładąc dłoń na ramieniu męża. - Samo się to nie rozwiąże. Powinieneś otworzyć okiennice.

Orazio wstał i odniosłam wrażenie, że podnosząc się, postarzał się naraz o dwadzieścia lat. Mimo to skinął potakująco głową.

- Cofnij się - zwrócił się do mnie. - Masz dobre przebranie, ale ostrożności nigdy za wiele. Najlepiej, żeby cię nikt nie zobaczył.

Pokój zalało ostre światło słońca. Ostatnio pamiętałam zachód - musiałam spać niemal cały dzień.

Osloniłam przed blaskiem swoje oczy. Powoli, w miarę jak przyzwyczajały się do jasności, podsunęłam się bliżej naprzód i wyjrzałam na zewnątrz.

Znajdowaliśmy się na pierwszym piętrze budynku, stojącego przy tej samej ulicy co nasz palazzo, z tym że o kilka przecznic bliżej Arno i po drugiej stronie. Z miejsca, w którym stałam, ledwie mogłam dostrzec mury pałacu. Na dole, na ulicach, panował chaos. Nie było już ludzi, którzy wykrzykiwaliby znajome, wyraźne hasła w rodzaju „Delfin!” albo „Palle!” Zdawało się, że całe miasto stało się areną tawernianej bójki. Nie sądziłam, by ci ludzie wiedzieli, o co się biją. Walczyli rękami, obrzucali się kamieniami i głośnymi obelgami. Wszystko mieszało się w jeden potworny ryk. Wtedy maestro Orazio trącił mnie łokciem i wskazał coś ponad tłumem, na poziomie naszych oczu.

Nigdy nie widziałam więzienia Bargello z bliska. Zawsze, kiedy tędy przejeżdżaliśmy, Andrea szczerze zaciągał zasłony w powozie. Za każdym razem zastanawiałam się, dlaczego.

A teraz zrozumiałam. Na murach więzienia wisiały ciała. Poczerniałe kukły z rękami związanymi na plecach i kraczącymi kawkami, które dziobały martwe oczodoły. Dotyczyło to

tych ciał, które miały jeszcze ręce i głowy. Bo wisiały tam też inne, małe kawałki ludzi. Ramię. Noga. Na samym początku tej makabrycznej wystawy widniała nadziana na pal głowa.

W jaki sposób ludzie rozpoznawali swoich w szczątkach tych nieszczęśników? Jak można było zidentyfikować tę łysą głowę?

Wtedy poczułam, jak krew marznie mi w żyłach. O Madonno! To była głowa mojego ojca. A obok niej - kawałki Renato. Był też Galeotto, Giovanni, a obok niego Niccolo. To moja rodzina. Wszyscy wisielei teraz w udzielonej innym, niemej przestrodze.

- Jak mogło do tego dojść? - spytałam, przyglądając się temu z szeroko otwartymi ustami.
- Gdzie było wojsko?

- Jakie wojsko? - spytała signora Maria.

- Żołnierze papieża. Powiedział, że mają tu być.

- Kto tak powiedział? Papież? - nie dowierzał maestro Orazio.

- Nie. Hrabia Riario - zanim jeszcze skończyłam wymawiać to nazwisko, dotarło do mnie, jak potworna była jego zdrada. - Cretino - mruknęłam pod nosem.

Maestro Orazio przytaknął mi skinieniem.

- Hrabia Riario wrócił do Forli. Powiadają, że zabarykadował się w swoim zamku i żyje jak tchórz w strachu. Nie wiem, co wam obiecał, ale od dawna wiadomo, że to człowiek, który nie dotrzymuje danego słowa.

- To delikatnie powiedziane - zauważyłam.

- Nie było żadnego wojska - wyjaśniła spokojnie Maria, nalewając mi do kubka wody z ceramicznego dzbanka. - Proszę, usiądź, nie jesteś zupełnie zdrowa.

Przyjęłam napój, ale nie usiadłam. Woda była brązowa i paskudna, niemniej wypiłam ją szybko i wdzięcznie, jakbym wlewała sobie w gardło boski nektar.

Przez cały czas nie odrywałam wzroku od groteskowego widowiska na murach więzienia Bargello. Liczyłam ich wszystkich. Dwa, trzy razy. Zauważyłam kilka nadliczbowych kończyn. Ale brakowało trójki moich braci: nie było tu Antonia i Lionarda, ale oni, jak powiedział Orazio, oni byli duchownymi. Brakowało jednak jeszcze jednego ciała.

- Gdzie jest Andrea?

Oczy Orazio błysnęły, zwrócił je ku budynkowi Bargello.

- Wewnątrz.

Oparłam się o parapet. A więc mój brat dołączył do tych zgubionych dusz, których wrzasków słuchałam z naszego dachu. Był jednym z tych, którzy zapomnieli, jak się marzy.

- W takim razie musimy go stamtąd wydostać.

- Stamtąd nikt się nie wydostaje, Emilio - wtrąciła Maria, korzystając z okazji, by przecwiczyć to moje dziwne, nowe imię. - Chyba że po śmierci.

Spojrzałam w dół, na ulicę, i zaczęłam liczyć stojących przed Bargello gwardzistów

Medyceuszy. Przestałam, kiedy doszłam do dwudziestu. Sama na pewno nie mogłam się tam wdrzeć. A ze mną była tylko dwójka ludzi. I z tego, co widziałam, zrozumiałam, że przygarnęli mnie, sami ponosząc wielkie ryzyko.

- Grazie - odezwałam się. - Jestem bardzo wdzięczna za to, co dla mnie oboje zrobiliście. Ale teraz muszę postanowić, co dalej.

Maestro Orazio podrapał się mięsistą ręką po głowie. Signora Maria wróciła do mieszania zupy. Odniosłam wrażenie, że wykonują jakieś umówione i przeciwiczone wcześniej gesty.

- Rozmawialiśmy o tym - odezwał się złotnik. - Twoja babka - niech odpoczywa w pokoju - wyświadczyła nam kiedyś wielką przysługę. Wiele lat temu mieliśmy syna. Zanim skończył dziesiąty rok życia, zaczął kaszleć czernią. Wezwaliśmy medyków, którzy upuszczali mu krwi i brali od nas złoto, ale jemu nie pomogli. Pijawki były coraz grubsze, a nasze dziecko chudło w oczach. Wtedy posłaliśmy po signorę Cenestę. Mówiła do niego bardzo czule i ocierała z potu jego skronie. Śpiewała mu i kołysała go do snu. A potem, kiedy spał już wygodnie, oznajmiła nam szeptem, że nasze jedyne dziecko umrze.

Signora Maria otarła łzę z twarzy. Nie miałam pojęcia, jak dawno temu rozegrała się tragedia, ale doskonale wiedziałam, że dla niej zawsze będzie równie świeża, jak dla mnie była moja dzisiejsza.

- Mi dispiace - powiedziałam. - Ale nonna mogła się mylić.

Maestro Orazio pokręcił głową.

- Nie rozumiałas - sprostował. - Ona wyświadczyła nam przysługę. Nie karmiła nas fałszywą nadzieją. Dzięki niej mogliśmy dopilnować, że odszedł z tego świata nie cierpiąc zanadto. Dzięki niej my mogliśmy być silni.

Orazio sięgnął do koszuli i wyciągnął z za pazuchy trzy przedmioty. Pierwsze pojawiło się squarcato kapitana Umberto. Potem wydobył zakrwawiony list; trzecią rzeczą był pierścień z czarnym psem. Pieczęć na liście została złamana.

- Kiedy wcześniej nieśliśmy cię na górę, wypadły z za twojej koszuli. Pierścień wykonałem własnoręcznie. I wybacz mi, ale przeczytałem ten list. Musiałem wiedzieć.

Wzięłam ozdobę do ręki i przesunęłam palcem po dobrze znajomym psie.

- Taka świetna i złożona robota - zauważył Orazio. - Nieczęsto robię takie. Mogę?

Podałam mu pierścień. Nacisnął ukryty zawias i otworzył niewielki schowek -

wystarczająco jednak duży, by pomieścić śmiertelną dawkę trucizny i na tyle dyskretny, by nikt nie zauważył, gdyby zaszła potrzeba wysypania zawartości do czyjegoś wina lub zupy.

Odebrałam mu pierścień. Nigdy wcześniej tego schowka nie widziałam, ale przyglądając się temu, w jaki sposób się otwiera, poczułam, jak mnie samej otwierają się skrytki w pamięci. Podniosłam go wyżej do twarzy wiedząc, co zaraz pocuję - zapach migdałów.

Albo nonna bardzo często przygotowywała doskonałe ciasto, albo przechowywała w błyskotce cyjanek.

Teraz więc nie miałam już żadnych wątpliwości: czarny pies był symbolem śmierci. Nonna była zabójczynią, zgarbioną, działającą pod osłoną mroku, w swoim tajemnym pokoiku morderczynią. A mimo to wciąż ją kochałam. Wiedziałam, że cokolwiek zrobiła, uczyniła to z miłości do nas. Nie była przestępcą - była wojowniczką. A ten pierścień stanowił jej oręż.

- Za taki pierścień można od niektórych wziąć całkiem sporą sumę - ciągnął Orazio. - Z przyjemnością odkupię go od ciebie za dwadzieścia florenów. To nie jest wielki majątek, ale wystarczyłby na przykład, byś mogła opłacić sobie przejazd do Rzymu...

- ...albo do Wenecji - powiedziałam.

- Bene. Do Wenecji - przytaknął.

Zamilkłam. Dwa dni temu przyjąłabym tę propozycję bez wahania. Ale wtedy byłam zupełnie inną osobą. Wtedy byłam jeszcze Florą.

Teraz, w skórze Emilia, miałam poczucie, że nie zasługuję na Wenecję. Nie zasługiwałam nawet na to, by o tym mieście marzyć. Wczoraj dokoła mnie umierali ludzie. Jeden na moich kolanach; kilku na wyciągnięcie ręki. Co za różnica. I tak nie potrafiłam żadnemu z nich pomóc. Wszyscy więc mogli równie dobrze być zupełnie poza moim zasięgiem.

- Jest jeszcze inna możliwość - wtrąciła signora Maria. - Możesz za ten pierścień wykupić miejsce praktykanta w naszym warsztacie.

Spojrzałam jej w oczy.

- Rozmawialiśmy już o tym - podjął Orazio. - Widzisz, Emilio. Chłopców nie szukają. Twoi bracia zostali schwytani. Ojciec nie żyje. Twoje zameżne siostry, które mieszkały we Florencji, zostały pozbawione majątków i wygnane z miasta. To samo spotka twoją matkę. W signoriach mówi się, że na wolności pozostają jeszcze tylko dwie córki Pazziego. Jedną z nich widziano, jak opuszczała miasto w towarzystwie kuchennego posługacza. Co stało się z drugą, nie wie nikt. Nikt nawet nie wie, jak ona wygląda. Tak przynajmniej słyszałem. Twoją twarz zna tylko określony rodzaj ludzi. Ale oni nie powiedzą nikomu ani słowa, z szacunku dla twojej drogiej nonny.

Po tym, co dziś widziałam w mieście, wiara w to, że ktokolwiek powstrzyma się od oddania członka mego rodu w ręce sprawiedliwości, przychodziła mi z najwyższym trudem.

Wydawało się, że Maria się ze mną zgadzała.

- Tego nie wiemy, Orazio - zauważyła, kładąc swoją dłoń na jego palcach w kształcie kielbasek.

- Masz rację. Nie wiemy, tylko podejrzewamy. Uczciwie muszę ci też wyznać, że ogłoszono pokaźną nagrodę dla tego, kto udzieli informacji na temat losu Lorenzy Pazzi. Nie będziesz mogła wychodzić na zewnątrz. Przynajmniej na początku. Być może po pierwszych kilku miesiącach będziemy mogli puścić cię na mszę.

Nie powiedziałam nic. Muskałam palcem pierścień nonny. Gładziłam psa.

- Nie byłoby tak samo. Musisz to wiedzieć - ciągnął maestro Orazio. - Nie jesteśmy tacy, jak twoja rodzina. Nie nosimy w tym domu pięknych strojów i nie jadamy tak dobrze, jak jadało się u was. Zdarzają się takie dni, w okresach, kiedy nie mam zleceń, że nie jadamy w ogóle.

- I nigdy nie mogłabyś zająć miejsca naszego zmarłego syna - dodała cicho signora Maria.

- Mario, proszę cię. Ona już dość przeżyła.

- To ważne, by poznała całą prawdę, Orazio. Poza tym ta dziewczyna jest silniejsza, niż myślisz.

Maestro Orazio spojrzał na mnie kątem oka.

- Moja żona próbuje ci przekazać, że zamieszkas u nas i będziesz z nami jeść, ale nie staniessz się przez to nasza. Udzielilibyśmy ci schronienia w imię spłaty starego długu - nic więcej. Tylko i aż tyle jesteśmy winni signorze Ceneście.

Maria westchnęła.

- Z pewnością to rozumiesz - wyjaśniła. - Straciliśmy kogoś, kto był dla nas najważniejszą osobą na całym świecie. Nie chcemy przechodzić podobnej straty po raz drugi.

Popatrzyłam na nią. Delikatnie wsunęła dłoń w rękę maestro Orazio. Ten gest był tak delikatny, że natychmiast pojęłam, że kobieta oszukuje samą siebie.

Ale mimo to dobrze rozumiałam, co czuli oboje. Sama po dzisiejszym dniu nie byłam w stanie przeżyć już kolejnych pożegnań. Lepiej było wskoczyć w zbroję życia pozbawionego miłości.

- Ponadto - ciągnął maestro Orazio - widok nie jest stąd najlepszy. Może nie będziesz mogła go znieść. Ale gdybyś została, przydałabyś się. Signora Cenesta wspominała, że lubisz pracować i że jesteś dla niej wielką pomocą.

Pokręciłam głową.

- Nie dość wielką - odparłam i choć bardzo się starałam, nie dałam rady. Zapłakałam. Zdjął mnie dziki, spazmatyczny szloch, który miał swe źródło gdzieś w moim brzuchu i powoli docierał do głowy.

- Allora - powiedziała Maria, podsuwając ku mnie list od nonny. - Dajmy dziewczynie trochę czasu na przemyślenie propozycji. - Pchnęła dokument jeszcze bliżej. - Może to pomoże ci się zdecydować. Będę w warsztacie. Przyjdź, kiedy będziesz gotowa.

List zaczynał się słowami: „Carissima Flora...”

Zanim ten list trafi do twoich rąk, ja już odejdę, a ty będziesz w drodze do bezpiecznego schronienia w klasztorze. Wiem, że nie jest to twoje wymarzone miejsce. Sama także bym go dla ciebie nie wybrała. Ale przynajmniej będziesz bezpieczna. Twój ojciec nie usłuchał mojej rady i jest zdeterminowany, by wystąpić przeciwko Medyceuszom.

Dobre z ciebie dziecko. Tego dnia, gdy zastałam cię w swoim pokoju, zobaczyłam w twoich oczach pytania i obiecałam ci, że pewnego dnia na nie odpowiem, choć podejrzewam, że ty i tak już znasz odpowiedź: jestem morderczynią, Floro. Zamordowałam swojego męża, zamordowałam mężczyznę, który popchnął cię w ogrodzie. Byli też inni.

Zabójstwo to grzech śmiertelny - nie taki, z którego można wypowiadać się w konfesjonale. Kiedy umrę, nie będzie dla mnie zbawienia. Wiem o tym od bardzo dawna i przysięgam sobie, że będę pomagać każdemu, komu będę w stanie, w nadziei, że dobrymi uczynkami zrównoważę w jakiś sposób inne - te złe. Swą pokutę przygotowywałam z ziół i bulionu. I ani razu w jesieni i zimie swego życia nie kupiłam złotego kamienia, z którego przygotowywałam truciznę. Pokój, który odkryłaś, trwał w zamknięciu przez całe lata.

A potem popchnęła cię ta mała w ludzkiej skórze.

Teraz dochodzimy do miejsca, w którym powiem ci coś, co powinnam była ci powiedzieć lata temu. Kocham cię, Floro. Zanim nie pojawiłaś się w moim życiu, wydawało mi się, że jestem zupełnie wyschnięta. Zajmowałam się chorymi, a także twoimi braćmi i siostrami dlatego, że byt to mój obowiązek.

A ty, cara mia, byłaś więcej niż tylko obowiązkiem. Nawet gdy byłaś jeszcze dzieckiem, uśmiechałaś się w taki sposób, że serce samo wyrывało mi się z piersi ku tobie. I wtedy, kiedy ujrzałam cię stojącą przed otwartym korytarzykiem z kielichem cyjanku w dłoni, przeraziłam się. Zrozumiałam, że jesteś jedyną częścią mojego życia, z którą nie potrafiłabym się rozstać. I

pomyślałam, że to sam Bóg zstąpił z nieba, by ciebie mi odebrać. Wtedy zostało mi odpuśczone, ale wiedziałam już, że nadszedł kres mojego szczęścia.

Dlatego właśnie jesteś teraz w klasztorze, cara mia. Nie wyrośnie z ciebie dobra zakonnica, ale przynajmniej będziesz żyć. I nie musisz zostać tam na zawsze. Emilio to dobry chłopak. Widziałam, jak on na ciebie patrzy i mimo że ty tak na niego nie spoglądasz, oboje jesteście jeszcze młodzi. Rozmawiałam z nim i zgodził się. Zostanie i będzie u nas pracować.

Znajdę sposób, by stopniowo dostawał pieniądze, choć niezbyt wiele. Napatrzyłam się tego, co zbyt duże pieniądze robią z ludźmi. Przyjedzie po ciebie, kiedy będzie mieć odpowiednią sumkę na początek.

A mój czas dobiegł już końca. Wolę sama zdecydować o godzinie swej śmierci niż przeżyć jeszcze jedną w towarzystwie twojej matki. Zasypiam zadowolona, że tobie udało się umknąć niebezpieczeństwu.

Bądź silna, cara mia. Uważaj na siebie. Zefir będzie cię ścigać przez jakiś czas, ale wiem, że cokolwiek postanowisz, wyrośniesz wspaniale i przyniesiesz wiosnę życiu innych ludzi, tak jak mnie przyniosłaś nową nadzieję.

Addio,

Cenesta Pazzi, Twoja nonna

Czytałam ten list raz po raz, aż wreszcie nauczyłam się go na pamięć. Potem cisnęłam papier w palenisko. Mój nowy pan i pani byli bardzo hojni i wspaniałomyślni, ale list tego rodzaju był pamiątką zbyt niebezpieczną, bym mogła ją zatrzymać.

Kiedy został już tylko popiół, wsunęłam pierścień babci na palec i zesłam do gorącego, zadymionego warsztatu. Maestro Orazio powiedział, że nie będzie mi wolno wychodzić na zewnątrz. Nie przez najbliższe miesiące. Wydało mi się to odpowiednią pokutą - zamknąć się tutaj, z dala od wszystkiego, co zielone, z dala od zmieniających się pór roku.

Signor Botticelli powiedział kiedyś, że nie został złotnikiem, bo nie mógł znieść tego smrodu. Ani gorąca. Ani poparzonych ciągle palców. Powiedział, że żeby zostać złotnikiem, trzeba nie tylko wytrzymać zwierzęco ciężkie warunki pracy, ale także lubować się w torturowaniu bezkształtnych kawałków metalu i przemienianiu ich w dzieła sztuki. Pomyślałam o brązowych rajszych wrotach Ghibertiego, pięknych i skomplikowanych, i zastanowiłam się, czy można przygotować sobie pokutę z rozgrzanego metalu, tak jak nonna swoją uwarzyła z ziół i bulionu.

Nadszedł czas, by się tego dowiedzieć.

Rozdział 20

Maestro Orazio pomylił się co do jednego: widok z jego warsztatu był doskonały. Codziennie rano, zanim zabrałam się do pracy, wyglądałam i przeliczałam wiszące powyżej ciała. I każdego dnia było ich więcej, w miarę jak coraz więcej ludzi oskarżano o współudział w tym, co teraz nazywano Congiura di Pazzi, Rebelia Pazzich. Do moich braci dołączali ludzie, których widziałam tylko raz w życiu lub tacy, których nie widziałam nigdy. Dlatego, że prowadzili z nami interesy, że jedli w naszym domu lub tylko dlatego, że pozdrawiali nas przechodząc obok na ulicy.

Graziella była pierwszym nie-Pazzim i nie-Riario, której ciało zostało dodane do innych kołyszających się na murach więzienia (okazuje się, że niektóre kobiety jednak skazywano na śmierć). Potem zobaczyłam nieskończoną paradę spiskowców; wszystkich ludzi hrabiego Riario (ale nie jego samego), każdego żołnierza naszej gwardii, muzyków, którzy regularnie grali w naszej wielkiej sali, posłańców, buchalterów z banku. Ujrzałam nawet Francesca, którego Andrea zwolnił miesiąc wcześniej za karę za moją kradzież.

Byli też i inni, ale ich już nie poznawałam. Moja wiedza kończyła się na contadino, który sprzedawał nonnie dzikie truskawki przez kuchenne okno. Wiedziałam jedno: nie było tam ciała Andrei ani Emilia. I choć z rozmów wiedziałam, że Andrea wciąż żyje za więziennym murem, to nie miałam podobnej nadziei co do losu Emilia. Rozumiałam, że on by nas nie zostawił. Z pewnością był równie martwy, jak mój ojciec. Miałam tylko nadzieję, że został odpowiednio pochowany - najlepiej w jednym kawałku.

Widok z warsztatu Orazio był też doskonały, żeby dowiadywać się przez okno, co dzieje się w świecie za miastem. Przed Bargello wywieszano obwieszczenia tak samo często jak palce i głowy. Dzięki temu mogłam przeczytać o tym, jak papież Sykstus ekskomunikował Wawrzyńca Medyceusza za zbrodnie przeciwko rodowi Pazzich. Papież wydał też odpowiedni interdykt przeciwko całemu miastu. Nie wolno było celebrować mszy. Z woli papieża wszyscy mieliśmy trafić do piekła. Ale mnie interdykt nie dotyczył. Ja już tam byłam.

Dzięki widokowi z warsztatu maestro Orazio poznałam też los mojej matki.

Byłam uczniem złotnika od około miesiąca. Uczyłam się grawerunku, większość dnia spędzałam skulona nad warsztatem i ryłam w miękkim metalu rozmaite kształty. „Dla G. od E. Będę cię zawsze kochać.” Po literach przyszły zawijasy, liście bluszczu i cherubinki. Tego

popołudnia zajęta byłam właśnie jednym z takich aniołków (cherubinek wykonany moimi początkującymi dłońmi przypominał raczej bezkształtny worek). W pewnej chwili usłyszałam dobiegający z zewnątrz ryk. Wyrzałam przez okno i zobaczyłam na ulicy tłum. Ryk dobywał się z piersi mieszkańców naszego miasta kwiatów, którzy wyraźnie oczekiwali jakiegoś wydarzenia. Muszę wyznać, że wtedy już nabrałam dość nonszalanckiego stosunku do rozlewu krwi. Kto tym razem? - zaczęłam się zastanawiać. Mamka garbarza kuzyna mojego wuja?

Wyglądałam więc przez okno, a harmider wciąż się wzmagał. Wreszcie ciżba rozstąpiła się na tyle, bym mogła zobaczyć własną matkę. Ubrana w zgrzebną koszulę, ze spętanymi z przodu rękami, szła prowadzona przez jadącego konno żołnierza Medyceusza. Gdzieś na południe. Głowę miała odkrytą, ale szła nieugięta, nie zwracając uwagi ani na swój hańbiący strój, ani na zgniłe jaja, których zawartość spływała jej po twarzy. Czy ona zawsze była taka siwa?

Słyszałam, jak ludzie wrzeszczą, krzyczą i pluja.

- Wygnanie jest dla tej zmił zbył łagodną karą.

- Dlaczego jej wolno żyć w luksusie, kiedy biedny Giuliano leży zimny w grobie?

- Nie będzie żyła w luksusie. Zamieszka ze swoją córką w Neapolu. Król Ferrante z pewnością nie pozwoli jej zaznać wygod - nie teraz, kiedy rozmowy pokojowe stanęły w takim delikatnym punkcie.

Ponieważ obserwowałam wszystkie nowe obwieszczenia i słuchałam tego, co mówili nasi klienci (tych było niewielu) oraz przechodnie (całe ich mnóstwo) wiedziałam, że król Ferrante był jedynym człowiekiem na całym półwyspie, który zachował wobec naszego konfliktu neutralność. Był zarówno przyjacielem Medyceuszy, jak i przyjacielem papieża Sykstusa i właśnie w Neapolu Il Magnifico szukał pomocy po tym, jak został obłożony ekskomuniką. Plan najwyraźniej okazał się skuteczny, ponieważ interdikt unieważniono i ukochany brat papieża Sykstusa (tak brzmiały własne słowa głowy kościoła) Wawrzyniec, został z powrotem powitany na pełnym miłości łonie kościoła, wraz z całym miastem.

Teraz, kiedy patrzyłam na idącą przez ulicę mamkę, na matkę ze związanymi rękoma, ale wciąż pełną dumy, poczułam, jak gotuje się we mnie krew. Powiedziałam sobie, że nie mam prawa się wściekać. Czyż nie chciałam po wielokroć zrobić tego, co w tej chwili robili jej inni? Zwyzywać ją? Ciskać w nią kamieniami? A ona? Czy coś by się jej stało, gdyby okazała nieco pokory? Choć trochę wstydu i żalu? Nie zasługiwała, by żyć. Byłam wściekła na wszystkich.

I w tym samym momencie zobaczyłam, jak się potyka.

Spróbowała utrzymać równowagę ze związanymi dłońmi, ale skończyła na kolanach. Prowadzący ją za koniem żołnierz Medyceuszy obejrzał się tylko przez ramię i szarpnął za sznur, jakby była upartą kozą. Chciała powstać, ale potknęła się raz jeszcze. Niewiele myśląc, wybiegłam z domu, przecisnęłam się przez stojący wzdłuż całej ulicy tłum i pomogłam jej wstać. Podniosłam ją, trzymając pod łokieć i starłam błoto z jej ust swymi dłońmi, które teraz były tak samo czarne od pracy, jak ręce mojego mistrza. Spojrzałam jej w oczy i przez to mgnienie zobaczyłam, że matka jest nie tylko stara, ale też i delikatna, krucha. Spojrzała na mnie zmieszonym, nierozumiejącym spojrzeniem, jakby nie tylko nie wiedziała, kim jestem, ale jakby miała też problem z ustaleniem, gdzie jest góra, a gdzie dół. Ta mina widniała na jej obliczu jedynie przez krótką chwilę. Zaraz potem zmrużyła oczy.

- Grazie - rzuciła. Ale nie były to szczerze podziękowania. Nie była w stanie szczerze podziękować takiemu ulicznikowi jak ja.

Pozwoliłam jej odejść. Zanim jednak zdążyła wykonać dwa kroki, poczułam miękkie pacnięcie w ramiona. Odwróciłam się i starłam z koszuli resztki rozgnieczonego pomidora. Jakiś mężczyzna w średnim wieku wyszedł naprzód z tłumy, właśnie opuszczał rękę, którą w mnie rzucił. Spoglądał wzrokiem pełnym świętego oburzenia.

- Co ty sobie myślisz, chłopcze? Jak możesz okazywać litość tej czarownicy? Ślepy jesteś? Przecież to jedna z Pazzich! - splunął.

- Ale nie przestaje przez to być czyjąś matką! - odkrzyknęłam najgrubszym głosem, na jaki mogłam się zdobyć. Wciąż przecież byłam w przebraniu.

- Ona już nie jest niczyją matką - uśmiechnął się złośliwie nieznajomy.

Posłuchałam lekcji, której udzieliła mi nonna. Wytrwałam. Nie pozwoliłam się złamać. Nie zakląłam. Nie splunęłam. Nie cisnęłam niczym w rewanżu. Mój głos był wciąż spokojny.

- Tym bardziej jest to dobry powód, byśmy okazali jej litość i miłosierdzie. Tak, jak zrobiłby to każdy dobry chrześcijanin.

To była przedziwna chwila. Widziałam, jak wściekłość wypływa z mężczyzny. Kiedy odeszła, stał drżący; poczuł się wyraźnie niezręcznie. Cofnął się o krok i odszedł chyłkiem w tłum, mrużąc pod nosem jak dziecko, któremu odbierze się ulubiony łaćkoć. Kiedy zniknął, spojrzałam za matką. Teraz szła ulicą nie niepokoiona. Nikt już niczym w nią nie rzucał.

Czy choć raz pomyślałam o dołączeniu do niej? O zajęciu należnego mi miejsca u jej boku? O podróży do Neapolu, na dwór króla Ferrante? Do miejsca, gdzie żyłabym wygodnie, ale ledwie tylko akceptowana?

Ani przez chwilę.

Poczułam zamiast tego lekki powiew wolności. Kiedy mamma oddalała się ode mnie,

zrozumiałam, że spłaciłam dług. Ona mnie urodziła - a ja w zamian za to pozwoliłam jej zachować dumę przez kilka ostatnich kroków poza miasto. Może nie było to wielkie osiągnięcie, ale wystarczyło. Byłam pewna, że nonna by się ze mną zgodziła.

W warsztacie czekał na mnie mój mistrz. Ledwie weszłam za próg, zatrzasnął drzwi i wymierzył mi policzek tak silny, że runęłam jak długa na ziemię.

- Stupida! - ryknął. - Co ty sobie myślisz?

Nie odpowiedziałam. Przyklęłam tam, gdzie upadłam, i otarłam krew z warg. Przyglądałam się, jak Orazio przemierza warsztat w tę i z powrotem, w tę i z powrotem. Potem, dokładnie tak, jak to stało się z człowiekiem na ulicy, wściekłość opuściła go w jednej chwili. Odetchnął głęboko i wyciągnął rękę, by pomóc mi wstać.

- Nie rozumiesz, Emilio - powiedział, siłąc się na cierpliwość - że robiąc to, ryzykowałeś nie tylko swoim życiem, ale także moim i Marii? Mogłeś zostać zdemaskowany. Mogli nas powiesić. Wiem, że nie dbasz o własne życie, ale następnym razem, zanim zrobisz coś podobnego, pomyśl, proszę, i o nas.

Dotknęłam jego wyciągniętej ręki. Co więcej mogłam zrobić? Bolała mnie szczeka, ale on miał rację i dobrze o tym wiedziałam. Wybaczyłam mu ten policzek. W tamtych dniach najbardziej pokorni i spokojni ludzie wpadali we wściekłość ze znacznie bardziej błahych powodów.

- Jutro zaczniemy naukę odlewania złota - dodał mój mistrz i poklepał mnie po ramieniu.

Byłam zadłużona wobec maestro Orazio w jeszcze inny sposób, ale tego mu nie powiedziałam. Przez cały miesiąc pobierania u niego nauk powróciłam do moich starych nawyków. Knułam i kradłam. Grawerując na jego zlecenie kolejne złote pierścienie, upuszczałam na podłogę maleńkie, złote ścinki. Zbierałam je potem i chowałam do skrytki w pierścieniu, w którym nonna przechowywała truciznę.

Ciułałam je, czekając na jedną właściwą chwilę. Na moment, w którym mogłabym je wyjąć i przerobić na coś większego i bardziej wartościowego.

Pewnego dnia, gdy mój pan i pani udali się na mszę, wyjęłam z ukrycia pierścien z czarnym psem i wsypałam okruchy złota do formy. Wykułam z nich nowy, szczerozłoty pierścień. Piękny i lśniący. Potem, by uczynić go bardziej atrakcyjnym, wygrawerowałam na nim łąkowe kwiaty. Staralam się robić to jak najdokładniej. Przywołałam w pamięci widok łąki na wzgórzu w Fiesole.

Odczekałam na odpowiednią chwilę i przeszłam na drugą stronę ulicy. Na bluzę

zarzuciłam skórzany fartuch, a na głowę włożyłam brązowe mazzochio. Włosy wciąż miałam krótkie, ale nie chciałam niepotrzebnie ryzykować. W jednym ręku trzymałam zapleśniałą kapustę. Drugą dotykałam spoczywającego w kieszeni fartucha pierścienia. Wciąż był jeszcze ciepły.

Nadeszła pora sprawdzianu. Jak dobre jest moje przebranie? Wychodziłam już wcześniej na zewnątrz - tego dnia, gdy pomogłam matce, ale to było co innego. Wtedy trzymałam ludzi na dystans. Dziś mieli mnie oglądać z bliska.

- Przepraszam, signor - spytałam gwardzistę w jaskrawym, krzykliwym mundurze. Był niskim mężczyzną o kształcie bakłażana - długi, ale na dole zaokrąglony. - Chciałbym zobaczyć zdradzieckiego Pazziego.

Żołnierz przyjrzał mi się od stóp do głów, nieco dłużej zatrzymał oczy na smugach sadzy. Po chwili podniósł rękaw do ust i zakaszłał. Nawet z dala od warsztatu cuchnęłam jak kuźnia.

- A kimże ty jesteś? - spytał.

- Emilio, proszę pana - odpowiedziałam. - Jestem uczniem złotnika.

- A po co chcesz zobaczyć tego złoczyńcę? - zapytał.

Pokazałam mu kapustę.

- Bo żyje. Dla mnie oburzający jest fakt, że ta świnia w ogóle oddycha. Chcę mu pokazać, że nie wszyscy zapomnieliśmy.

Zanim odpowiedział, liczyłam uderzenia serca. Raz. Dwa. Trzy. Cztery.

- Chłopcze - odezwał się wreszcie. - Gdybym wpuszczał do więzienia każdego obywatela miasta ze zgniłą kapustą, cuchnęłoby tam jeszcze bardziej niż w tej chwili. I nikomu nie przyniosłoby to żadnego pożytku - to powiedziawszy, odwrócił się do mnie plecami.

Poczułam, jak serce zamiera mi w piersi. Nie udało się. I wtedy - Boże przebacz mi - prawie już wróciłam do swojego warsztatu. Postąpiłam nawet dwa kroki na drugą stronę ulicy. I wtedy wydało mi się, że słyszę w głowie głos nonny coraggio. Bądź dzielna. Zrozumiałam, że ona by się tak łatwo nie poddała. W takiej chwili zrezygnowałby tylko taki przygłup jak Domenica. Wróciłam do strażnika.

- Pan chyba coś upuścił - odezwałam się do jego pleców i wyjęłam z ukrycia złoty pierścień.

Nie spojrzął mi w twarz, ale dokładnie obejrzał przedmiot w mojej dłoni.

- Proszę, proszę - powiedział, zabierając błyskotkę i wrzucając ją do skórzanej sakiewki wiszącej mu u pasa - Emilio, uczniu złotnika. Fratello mio. Witamy w Bargello.

Klepnął mnie w plecy i pokazał drogę do środka.

Przeszliśmy pod bramą na otwarty dziedziniec, na którym uderzył w moje nozdrza

ohydny swąd. Wydawało mi się, że jestem uodporniona na każdy rodzaj smrodu. Tyle czasu przecież spędzałam w warsztacie, ale to, co unosiło się w powietrzu tutaj, było sto razy gorsze niż jakikolwiek dym. Była to obrzydliwa woń krwi, fekaliów i czegoś jeszcze bardziej okropnego.

Na środku dziedzińca znajdowała się kamienna ława, otoczona płytką fosą, wypełnioną czerwoną wodą. Kiedy przechodziliśmy obok, zerwała się z niej chmara rozbuczanych czarnych much. Wydawało mi się, że dostrzegam kawałek ciała i kości wciąż pływające tuż pod powierzchnią.

- Co tu się stało? - spytałam strażnika.

Uśmiechnął się okrutnie i wzruszył ramionami.

- To i tamto. W niedziele zbierają się tu ludzie i obserwują, jak karzemy nikczemników. Takiś delikatny, że nigdy cię tu nie było?

- Mam surowego mistrza - skłamałam. - Każe mi pracować nawet w niedziele.

- Mogę cię pocieszyć - stwierdził gwardzista, wskazując na kamień. - Zdrada jest jeszcze surowszą panią.

Po tych słowach mój nowy fratello wprowadził mnie za jakieś drzwi i dalej, w górę po schodach. Na drugim piętrze zaczęłam żałować, że nie mogę zasłonić nosa chusteczką. Wewnątrz cuchnęło jeszcze bardziej niż na dziedzińcu i po chwili dotarło do mnie, dlaczego. Więźniowie - a było ich więcej, niż potrafiłam zliczyć - trzymani byli w klatkach mniejszych nawet niż oni sami. Nie mogli wstać, nie mogli chodzić. Na podłodze w niektórych klatkach leżały kępki brudnej słomy, ale większość pokryta była wyłącznie odchodami.

A ludzie w tych klatkach? O Madonno! Na ciałach większości z nich widniały nieleczone, ropiejące rany oraz - w miejscach, gdzie mieli oczy, uszy i nosy - wielkie, ziejące czarne dziury. Gdy przechodziliśmy obok nich, podpełzali do sztab i wyciągali ku nam ręce.

- Piacere, signori... litości... Jestem niewinny.

Ci, którzy nie mieli języków albo siły, ograniczali się do gestów lub wydawali z siebie żalosne jęki. „Marzcie intensywnie” - pomyślałam w trosce o nich. - „Tylko tak się wydostaniecie”.

Zanim się tu znalazłam, byłam przekonana, że to miejsce jest rzeźnią. Teraz zrozumiałam, że jest tu gorzej niż w rzeźni. Nigdy bym tak nie potraktowała bydła na ubój.

- Witamy w naszym piano nobile, doskonałym na tyle, by mierzyć się nawet ze słynnym palazzo Piazzich - zażartował okropnie strażnik. Dźgał mieczem więźniów, którzy kulili się i uciekali w głąb klatek. Jemu chusteczka nie była potrzebna.

Po chwili dotarliśmy do celi na tyle dużej, by można w niej było stanąć, a nawet przejść

dwa kroki w jedną stronę. Była tam też prycza. Leżał na niej stos brudnych, śmierdzących szmat. Być może czekały na pranie? Ale to chyba niemożliwe. Przecież do Bargello praczki z pewnością nie przychodziły.

Gwardzista załomotał w kraty.

- Wstawaj, robaku! Przyszedł ktoś w odwiedzin!

Na moich oczach szmaty drgnęły i wychynęła z nich szara twarz, oblicze tak wychudzone, że wyglądało niczym trupia czaszka. Rzadkie włosy na głowie więźnia rosły kępkami wokół ropiejących, zaognionych ran, wyglądających tak, jakby ktoś uderzał go w głowę zbyt słabo, by uszkodzić kość, ale na tyle mocno, by zadać ból i cierpienie. Nie wrzasnęłam. Ale nie wrzeszcząc, zagryzłam wargę. Tak mocno, że zaczęła krwawić. Andrea. Mój prawdziwy fratello.

- Chyba będziesz musiał ją posiekać, żeby wrzucić - zauważył strażnik, wskazując kapustę, którą trzymałam w lewej dłoni. - Przyjdę po ciebie za parę minut. Baw się dobrze - i odszedł takim krokiem, jakby przechadzał się w słoneczny dzień po ukwieconej łące.

- Cretino - mruknęłam.

Andrea w swoim kącie siedział skulony na posłaniu i przyglądał się mi, nie poznając.

- Przyszedłeś pobawić się z padalcem od Pazzich, co? No już, skończmy z tym.

Pokręciłam głową. Chciałam powiedzieć coś, pocieszyć. Ale bałam się. Współczułam sąsiadom Andrei, ale nie chciałam dzielić się z nimi żadnymi informacjami.

- Podejdz bliżej, signor Pazzi - powiedziałam niskim, spokojnym głosem. - Chciałbym z panem pomówić.

Andrea prychnął.

- A to co za nowa zabawa? Nie, signor. Pozwolę ci potrenować oko.

- Mam do powiedzenia coś, co jest przeznaczone tylko dla pańskich uszu - wyjaśniłam.

Brat znów parsknął.

- Słyszałem to już wcześniej.

Odetchnęłam.

- Dobrze - powiedziałam. - Będę mówić stąd. Może mnie pan nie pamiętać, ale pracowałem w pałacu pańskiego ojca. Nazywam się Emilio i jestem przyjacielem pańskiej siostry...

Andrea zerwał się z miejsca i podbiegł do krat.

- Cicho, idioto! - Skoczył tak gwałtownie, że przestraszyłam się, iż spadnie z niego reszta szmat, ale on ostrożnie trzymał ramiona zakryte aż po koniuszki palców. Coś przede mną

ukrywał. Ręce musiał mieć związane z przodu, tak jak związane je mammie.

Jego wzrok pomknął ku klatkom po drugiej stronie sali.

- Masz jakieś wieści o mojej rodzinie? - spytał szeptem.

Widząc tak blisko jego twarz, czując na policzku jego cuchnący oddech, pomyślałam, że muszę go stąd jak najszybciej wydostać. Że muszę go zaprowadzić do nonny. Ona go uzdrowi.

Ale nie było już kuchni i nie było już mojej babci. Zostałam tylko ja.

- Pański ojciec i bracia nie żyją. Wszyscy z wyjątkiem Antonio i Lionardo.

- To już wiem - powiedział. - Co z matką i siostrami?

- Pana mamma została wygnana i przebywa w Neapolu. Siostra Domenica jest bezpieczna. W schronieniu klasztoru Najświętszej Panienki w Fiesole.

- A Flora? Co z Florą? Czy ona też tam trafiła?

Pokręciłam głową.

- Pańska siostra nie zechciała pozostać w klasztorze. Wyjechała za granicę - szepnęłam, strzelając oczyma na prawo i lewo.

- Jest poza zasięgiem Medyceuszy?

- Nikt nie jest poza ich zasięgiem - odparłam. - Nawet sam Bóg.

- Nie igrzaj tak ze mną - powiedział Andrea i jego oczach wezbrały łzami. - Powiedz mi po prostu, czy Flora jest bezpieczna?

Mówiąc to podniósł ręce i chwycił żelazne sztaby klatki. Gdy to uczynił, szmaty opadły i odsłoniły jego ramiona. Wtedy ujrzałam, jakie cierpienie stało się jego udziałem.

Lewa dłoń była cała, choć brudna. W miejscu prawej, widniał teraz tylko kikut. Zostawili mu kawałek wystającej kości nadgarstka - zapewne jako pamiątkę tego, co utracił. Wszystko, co zostało z jego ręki, było teraz czarne. Szorstkie, niezdrowe ciało zszyte niewprawnie nicią.

- Pańska ręka - odezwałam się, dławiąc jeszcze jeden, głośniejszy, wrzask. - Co się z nią stało?

Schował kikut za plecy.

- Zamierzali mnie rozedrzeć i poćwiartować tak samo jak moich braci, ale wstawił się za mną ojciec Alberto. Ręczył za mnie własnym słowem i przysiągł, że nie mogłem mieć nic wspólnego z zabójstwem. Osądzono mnie więc za kradzież.

- Ale jak to? Nie jest pan przecież złodziejem, signor Andrea.

Andrea westchnął zmęczonym głosem.

- Uznano, że mój ojciec oszukiwał przy wszystkich swych interesach. Za księgi byłem odpowiedzialny ja. Już samo to wystarczyło, by mnie skazać za kradzież. A znasz zapewne karę za złodziejstwo.

Teraz już znałam. A przedtem widziałam kamienną ławę na dziedzińcu. To na pewno tam wykonano wyrok.

- Teraz sobie ciebie przypominam - odezwał się Andrea, przypatrując się mej twarzy. - Ty jesteś tym chłopakiem z Fiesole. Kochałeś moją siostrę. Widziałem to bardzo wyraźnie.

- W takim razie był pan bardziej spostrzegawczy niż ona - odparłam.

Andrea znów westchnął.

- Jedź do niej - powiedział. - Zabierz ją daleko stąd. Boję się, że wciąż jest zbyt blisko.

- Blżej, niż pan myśli - przytaknęłam.

- Wenecja. Zawsze chciała zobaczyć Wenecję. Zabierz ją tam.

- Pańska siostra jest uparta - wyjaśniłam. - Nie ma już ochoty na przygody.

- I to przeze mnie, prawda? - spytał.

Nie potrafiłam mu na to odpowiedzieć. Mogłam tylko wzruszyć ramionami.

- W takim razie musimy uknuć spisek. Musisz jej powiedzieć, że mnie widziałeś, ale że jestem już martwy. To ją wyzwoli.

- Nie! - odparłam nieco zbyt głośno. - Będzie się wtedy zastanawiać, czemu nie zawisł pan na zewnątrz, obok swoich braci.

- Nie wiem. Powiedz jej cokolwiek. Powiedz jej, że wrzucono moje ciało do Arno. Proszę. Naprawdę nie dbam o to, co jej wówmiesz, tylko wyprowadź ją z tego miasta. Jak najszybciej.

Uparłam się.

- Nie. Nie będę dla pana kłamać. Ale powiem jej, że obiecał mi pan, że spróbuje pozostać po jej wyjeździe przy życiu. I musi mi pan przyrzec, że tak właśnie będzie. Musi pan zrozumieć, signor Andrea, że jest pan jej jedyną rodziną na całym świecie.

- Żyje jeszcze nasza matka i siostry - zauważył.

- Czy naprawdę muszę to powiedzieć na głos? - zgrzytnęłam spomiędzy zaciśniętych zębów. - Dla Flory liczy się tylko pan. Tylko pan, signor Andrea.

Ujrzałam wzbierające w oczach brata łzy.

- A myślałem... - zaczął, ale umilkł i pokręcił głową. - To, o co mnie prosisz, nie jest łatwe. Żeby przeżyć to, co się tu dzieje, powtarzam sobie wciąż, że jestem z kamienia. Kamienie nie czują.

Teraz to ja pokręciłam głową.

- Nie z kamienia - poprawiłam. - Ze złota. Złoto można topić i łamać, a nawet torturować... - zmusiłam się, by wypowiedzieć to ostatnie słowo, bo wiedziałam, że przez to dodaję bratu mocy - ... ale wciąż pozostaje cenne i drogie jak przedtem.

Dobiegające z drugiego końca korytarza jęki więźniów przybrały na sile. Wracał po mnie strażnik.

Andrea spojrzał przelotnie w tamtą stronę. Wysunął przez kraty zdrową rękę i uściśnął moje palce.

- Bene, umowa stoi - rzucił pospiesznie. - Pamiętaj, dbaj o nią i zabierz ją stąd. Wenecja, Rzym, Neapol... Może Mediolan. Frederico Barbarossa nie pała do Medyceuszy gorącą miłością.

- Trzymam pana za słowo - powiedziałam. - Zostanie pan przy życiu.

- A ja ciebie - odpowiedział. - Rzuć tym wreszcie - dodał i cofnął się, ponownie kuląc się w kącie celi.

Zupełnie zapomniałam o kapuście.

- Rzucaj! - powtórzył, tym razem bardziej zdecydowanie.

Zrobiłam, co kazał.

- I obyś spłonął w piekle - splunęłam. Kapusta uderzyła w ścianę za nim i jej kawałki opadły na jego przerzedzone włosy. Nie powiedział nic. Nie strącił z siebie resztek przegniłego warzywa. Powrócił już do swego bezkształtnego stanu, do stanu płynnego złota.

Odwrociłam się i udałam, że nie widziałam nadchodzącego strażnika.

- Ty! - odezwał się signor Bakłazan, kiwając na mnie ręką i uśmiechając się w sposób, który bardzo mi się nie spodobał. - Komendant chce z tobą pomówić.

Rozdział 21

Wprowadzono mnie do niewielkiego pomieszczenia, na czwartym piętrze więzienia, od strony Arno. Wepchnął mnie do środka mój przyjaciel strażnik.

- To ten chłopak, o którego pan prosił, signor Valentini - powiedział i zamknął za sobą drzwi. Ledwie szczęknął zamek, krzyki więźniów stały się przytłumione, niewyraźne. Signor Valentini? Ten potwór, który prześladowuje dzieci za to, że nie jedzą swojej kaszki?

Przy biurku stał mężczyzna w bogatej, brokatowej bluzie. Na blacie bielą marmurowe popiersie Dantego. Poznałam w nim jeden z przedmiotów zrabowanych z naszej dawnej galerii Madonn.

Signor Valentini stał do mnie plecami i wyglądał przez okno, zapatrzony we wzgórza na drugim brzegu rzeki. Miał stąd cudowny widok. Przez chwilę wydawało się, że znalazłam się w rozsądnym biurze, u rozsądnego urzędnika, pracującego w łagodnym mieście, zamieszkałym przez kierujących się rozumem ludzi.

- Wiesz, ja nigdy nie zapominam twarzy - odezwał się, wciąż stojąc tyłem do mnie. Każde słowo tego zdania wydało mi się ciosem, który odrąbywał kawałek mojego męstwa, aż całe runęło w drzazgach u moich stóp. Żeby powstrzymać dreszcze trwogi, mocno zacisnęłam pięści.

Odwrócił się wreszcie. I o Madonno! Ja znałam tego człowieka. Nie miał już na sobie prostej bluzy gwardzisty Medyceuszy, ale to był ten sam mężczyzna, którego widziałam w naszym palazzo - ten, który odczytywał obwieszczenie, ten, który ściał głowę kapitanowi Umberto i rozkazał rozerwać koźmi i poćwiartować mojego ojca. To on na nas polował, to on nas torturował i zabijał. Patrzyłam w oczy swojego wroga.

- Jesteś uczniem u złotnika - powiedział. - Widuję cię z okna, jak pracujesz zgięty nad swoim warszatem. Powiedz mi, co sprawiło, że chciałeś zobaczyć ostatniego żywego Pazziego?

- Ciekawość - wymruczałam, zmuszając głos, by brzmiał najgrubiej, jak tylko potrafiłam. Byłam zaskoczona sama sobą. Wciąż byłam w stanie dobyć z siebie choć słowo.

- Ach, tak? - powiedział i wyciągnął zza pleców złoty pierścień, którym przekupiłam strażnika przy bramie. - To dość hojna łapówka, jak na kogoś, kto jedynie pragnie zaspokoić zwykłą ciekawość. Równie dobrze wystarczyłby kawałek wołowiny.

„Tak musiało się to zaczynać ze wszystkimi” - przebiegło mi przez głowę. Przeprowadzano ich tu i wysłuchiwali podstępnych pytań, zadawanych przez tego szczupłego mężczyznę o świdrującym, przeszywającym na wylot, spojrzeniu.

Widząc siłę i inteligencję tego wzroku, postanowiłam, że najlepszym kłamstwem będzie to, w którym domieszka prawdy była jak największa.

- Znam signora Andreę. Pracowałam kiedyś w palazzo Pazzich. Byłam tam gwardzistą.

- Ach... - mruknął komendant, smakując moje oświadczenie, jakby było łykiem

delikatnego wina. - Sympatyk Pazzich. Powinienem był się domyślić.

- Niezupełnie - odparłam. - Większości z nich nie darzyłem specjalną estymą. Signor Jacopo był chciwym, przebiegłym człowiekiem, a jego synowie poszli w jego ślady. Ale w porównaniu z signorą Maddeleną ci kretyni byli i tak wprost chodzącymi wzorami cnót oraz skromności.

Komendant machnął lekceważąco ręką.

- Puste słowa z ust młodzika, który próbuje ratować swoją skórę - oznajmił. - Słyszałem to już tysiące razy.

- Ale - ciągnęłam niezrażona - signor Andrea jest ulepiony z innej gliny niż cała reszta. Studiował w Pizie. Nad sprawy złota przedkładał rozwój nauki. To uczciwy człowiek, proszę pana.

Komendant obszedł swe biurko dokoła i pogładził się po brodzie. Ani razu nie spojrzał mi w oczy.

- Proszę posłuchać. On potrzebuje pomocy. W ranę na jego ramieniu wdała się choroba. Trzeba się tym zająć. Inaczej on umrze.

Ostatnie zdanie musiałam wypowiedzieć bardzo szybko. Zanim straciłam resztki opanowania.

- Basta - uciął komendant. - Nie interesuje mnie sprawiedliwość. Mnie interesuje wina. Teraz chcę się dowiedzieć czegoś innego: czy twój obecny pan wie, że przekupujesz miejskich gwardzistów jego złotem?

Zmusiłam się, by oddychać. Miał mnie w garści. Wiedział to on i wiedziałam to ja.

- Nie, signore. On nic nie wie.

- Ale ja pytam o złoto. Czy należało do ciebie? Obdarował cię nim może?

- Nie, signore.

- Czyli ukradłeś?

- Si, signore. Zbierałem niewielkie okrawki, które przy pracy spadały na podłogę. Małe odpryski po grawerunku. Nikt nie zauważył ich braku.

- Zauważył czy nie, liczy się fakt, że zabrałeś je bez pozwolenia. Wiesz, kim wobec tego jesteś?

Gardło miałam wyschnięte na wiór; z trudem przełknęłam ślinę.

- Wobec tego jestem złodziejem, signore.

Komendant spojrzał mi w oczy. Odpowiedziałam tym samym.

- Bene. Czyli to już ustaliliśmy. Jesteś złodziejem i spiskowcem. Według wszelkich praw zasługujesz na śmierć. Sam Il Magnifico powiedział, że w tym mieście panoszy się zaraza Pazzich. Musimy się z nich oczyścić. Z nich i wszystkich, którzy byli z nimi powiązani. Inaczej sami staniemy się skażeni.

Okrążył mnie powoli. Oglądał mnie.

- Pozwól, że czymś się z tobą podzielę - odezwał się, zatrzymując się przy moim lewym uchu. - Byłem tam - szepnął. Zabrzmiał jak bardzo niemiły owad.

Miałam ochotę powiedzieć: Wiem, widziałam cię w palazzo. Ale ugryzłam się w język i starałam nie wpatrywać w sztylet przytroczony do jego pasa.

Ale on nie o tym mówił.

- Byłem w wielkanocny ranek w duomo. W ten sam, gdy ci zabójcy zamordowali Giuliano - ciągnął. - I jak już wcześniej powiedziałem, ja nigdy nie zapominam ludzkich twarzy. Wiem coś, czego Il Magnifico nie chce pamiętać. Życie ocalił mu Pazzi.

Wtedy zaczęłam sobie przypominać. Pociągnęła twarz w zakrystii, nagłące gesty. „Tędy, signorina...”

- Uratowała go córka Pazziego, nie mogła być starsza od ciebie. To ona rzuciła się na ratunek Il Magnifico, podczas gdy całe miasto, mnie nie wyłączając, stało jak skamieniałe, w szoku i niepewności. - Z początku myślałem, że była tą córką, o której wszyscy słyszeliśmy. Tą słynną piękną. Ale potem opadła jej woalka i zrozumiałem, że to druga z jego córek. Ta, która pomagała swojej nonnie opiekować się chorymi. Na imię miała Lorenza. Wszyscy znali ją jako... - pociągnął kilka razy nosem, jakby chciał wywęszyć moje imię.

- Florę - dokończyłam za niego.

- Właśnie. Mówili na nią Flora. Był z nią chłopiec. On też nie był tchórzem. Na własne oczy widziałem, jak jednemu z zabójców poderznął gardło od ucha do ucha. Oboje wykazali się wtedy ogromnym męstwem. Bez nich życie mojego pana skończyłoby się tak samo, jak dobiegło kresu życie jego brata. Takiego wyczynu nie zapomina się, ot tak. Widzisz więc, że nie da się mnie tak łatwo wywieść w pole. Pamiętam cię, Emilio.

Po tych słowach, choć w pokoju nie zaszła przecież najmniejsza nawet zmiana, poczułam, że mnie wypuścił.

Wrócił z powrotem do biurka, podrzucając w dłoni mój pierścień. W górę i w dół. W górę i w dół.

- Rozumiesz oczywiście, że jestem zmuszony udawać, że wszyscy Pazzi i każdy, kto ich znał, to zmije. Jeśli więc wrócisz jeszcze do mojego więzienia, aresztuję cię. A tego nie chcesz.

Spróbował wcisnąć pierścień na swój wygięty palec. Potem na drugi. Wreszcie znalazł taki, na który ozdoba pasowała.

- Naprawdę świetna robota. Powiadasz, że wyszedł spod twojej ręki?

Przytaknęłam skinieniem.

- Taki talent powinien móc się swobodnie rozwijać. Gdybyś przysłał mi więcej podobnych, za zgodą swego mistrza lub bez niej, może rozkazałbym, by zajęto się ranami signora Andrei. Może nawet sprawiłbym, żeby jego życie stało się bardziej znośne. Ale wiedz jedno - nic więcej ponad znośne. Il Magnifico nigdy mu nie przebaczy. On tu umrze. Nigdy już nie ujrzy świata na zewnątrz swej celi. Mówię ci o tym, by nie zwodzić fałszywą nadzieją.

Kiwnęłam głową.

- Czy mogę teraz odejść?

Machnął ręką.

- Jeżeli się dobrze zrozumieliśmy.

Otworzyłam drzwi, wpuszczając do wnętrza głośne krzyki, bijące w twarz niczym żar w naszym warsztacie.

- Emilio - zawołał jeszcze komendant. Odwróciłam się. Podszedł do mnie i zatrzymał się tak blisko, że widziałam siateczkę maleńkich zmarszczek, które zebrały się przy jego oczach na kształt niewielkich motylek. Zobaczyłam też kępki rosnących mu w nosie czarnych włosów. Rzucił mi miękkie spojrzenie - zupełnie nie mrużył oczu, nie świdrował wzrokiem. Po chwili uniósł dłoń i swymi okrutnymi palcami pogładził mój policzek. Nawet nie drgnęłam.

- Jeśli zobaczysz signorinę Flore, przekaz jej, by pozostała w ukryciu. Ma taką miłą buzię. Chciałbym, żeby ta głowa pozostała na karku.

Kiedy tamtego popołudnia wrócił z mszy mój pan z żoną, zastali mnie skuloną nad warsztatem, jakby nie wydarzyło się zupełnie nic nadzwyczajnego. Signora Maria powąchała powietrze nade mną i skrzywiła się z niesmakiem.

- Czas na kąpiel, Emilio. Minął już miesiąc. Przynies wodę ze studni, a ja wystawię wannę.

- Myślisz, Maria, że to rozsądne? Kazać jej wychodzić, ot tak? - spytał Orazio.

Przekonałam go, że jeśli zasłonię twarz chusteczką przytkniętą do nosa, nic mi się nie stanie. I tak uczyniłam.

Żeby przynieść tyle wody, by wystarczająco napełnić wannę, musiałam chodzić przynajmniej dwanaście razy. Takich kursów powinno być sześć, ale trzęsłam się tak bardzo, że połowę rozlewałam. Chodząc do studni, zastanawiałam się, ile rozumiał komendant i czy myślał, że jestem Emilio, czy znał prawdę i wiedział, że jestem Florą. „Nigdy nie zapominam twarzy” mówił. A ten wyraz twarzy, gdy pieścił mój policzek pod koniec przesłuchania - patrzył czule, niemal tak, jak mógłby spojrzeć na mnie kochanek. Wiedział, kim jestem, czy też nie? Wreszcie zdecydowałam, że to nie ma znaczenia. Jeśli mnie złapią, to mnie złapią. Żyłam w męskim przebraniu, więc los mojego nosa byłby i tak przesądzony. Ukradłam, więc

los mojej prawej dłoni także był przesądzony. Urodziłam się jako Pazzi, więc los mojej głowy był przesądzony. Żyłam jeszcze tylko dzięki łasce signora Valentiniego. I to była wiadomość, którą chciał mi przekazać. Każda kostka w moim ciele wołała, że powinnam opuścić to miasto. I to natychmiast.

A jednak zostałam i tygodnie przeszły w pory roku. Spędzałam swoje dni zgarbiona nad pracą, niewiele dbając o świat zewnętrzny. Interesowało mnie tylko to, czy ciało Andrei zawisło na murach Bargello, czy nie. Zbierałam z podłogi złote okruchy i ścinki. Wykonywałam rozmaite przedmioty - pierścienie, krucyfiksy, solniczki i niewielkie ostrza: sztylety i squarcatos. Co czwartą niedzielę, gdy mój pan i pani wychodzili na mszę, przechodziłam na drugą stronę ulicy i dostarczałam te błyskotki gwardziście w kształcie bakłażana, strzegącemu wrót więzienia. Wciąż nazywałam go signor Bakłażan, ale nigdy wprost.

Choć za każdym razem starałam się wszystko załatwić w milczeniu, on witał mnie wylewnie.

- Emilio! Fratello mio! - wołał i śliniąc się, całował mnie w policzek.

- Jak czuje się więzień? - pytałam wtedy szeptem.

- Nie najlepiej - odpowiadał. - Wiesz, jak się sprawy mają.

Za pierwszym razem ta odpowiedź mnie przeraziła, wyobraziłam sobie, że Andrea rzeczywiście miał się gorzej niż wtedy, gdy go widziałam, ale signor Bakłażan odpowiadał mi tak samo za każdą wizytą i dotarło do mnie wreszcie, że „nie najlepiej” oznacza w istocie „wciąż żyje” i że brat dotrzymał swojej obietnicy. Nie umarł.

Z wolna zaczęłam o Andrei myśleć nieco mniej. To znaczy - nie poświęcałam mu każdej minuty każdego kolejnego dnia. Mój umysł zwrócił się ku innym rzeczom. Tłoczyły się w

nim wspomnienia. A wśród nich głos nonny, który powtarzał, że coś zaniedbałam. Ale co? - pytałam sama siebie. - Czego nie dokończyłam? Mamma była bezpieczna; tak samo nic nie groziło Domenice. Andrea żył - cała reszta mojej rodziny była martwa. Nie żył nawet Emilio ze swoim wielkim kręgiem sera. Zginął, wskutek mojego kłamstwa.

Aż wreszcie, w wielkanocny poranek, przypomniała mi się inna Wielkanoc - okrągły rok temu. Przypomniałam sobie, jak klęcząc u stóp ołtarza, trzymałam na kolanach głowę człowieka, który wykrwawiał się na śmierć. I przypomniałam sobie własną obietnicę.

Moim pierwszym podarkiem dla syna Giuliano była mała srebrna łyżeczka. Na jej uchwycie wyryłam rozbrykanego szczeniaczka, żeby mały chłopiec mógł się nieco rozweselić. Kiedy się z tym uporałam, zakradłam się do konfesjonałów w duomo, zaczekałam, aż opustoszeje ten w którym rozgrzeszał ojciec Alberto, weszłam do środka i uklęknęłam.

- W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego - odmówiłam, nie widząc zza kratki twarzy księdza. - Wybacz, Panie, mnie grzesznej. Zabiłam przynajmniej trzech ludzi; dwóch nożem, jednego przy pomocy kłamstwa. Nie szanowałam ojca i matki. Nienawidziłam siostry. Plułam do zupy.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

- Czy żałujesz tych grzechów? - spytał w końcu ksiądz.

- Tak - przyznałam. - Żałuję wszystkich. - Wyczułam, że ojciec Alberto chce powiedzieć coś jeszcze, ale nie pozwoliłam mu na to. Wiedziałam, że jeśli teraz nie dopełnię swego zadania, to nie zrobię tego już nigdy. - Przyniosłam coś ze sobą. Chciałabym, żeby ojciec dostarczył to do warsztatu ludwisarza przy Forcie Belvedere. Właściciel ma córkę imieniem Carolina. To podarek dla jej syna.

To powiedziawszy, uciekłam, nie czekając na wyznaczenie pokuty.

Gdy już znalazłam się na zewnątrz, ukryłam twarz pod brudną chustką, jak zawsze, gdy wychodziłam z warsztatu. Po części postępowałam tak, by nikt mnie nie poznał, a po części gest ten stanowił dobrowolną pokutę, jaką narzuciłam sobie za to, co uczyniłam tamtego strasznego dnia, dokładnie rok temu. Nie byłam niewiniątkiem, które mogło z czystym sumieniem bawić się na rajskich łąkach. Za karę pozbawiłam się więc świeżego powietrza. Nie była to może najstraszniejsza z pokut, ale byłam przekonana, że Bóg ją zauważył.

Dwa dni później obudziło nas głośnie łomotanie do drzwi.

Zerwałam się natychmiast z posłania.

- Ja otworzę - mruknęłam do pana i pani i po omacku zaczęłam szukać świecy, by oświetlić sobie drogę.

- Zaczekaj, Emilio - zawołał za mną Orazio. - To niebezpieczne!

Na dole wciąż rozlegały się brutalne dźwięki pięści bijących o drewno. Naciągnęłam na głowę mazzochio i odsunęłam rygiel. Do środka wtargnął signor Valentini. Był sam. Zatrzasnął za sobą drzwi.

- Ty! - syknął, wyciągając ku mnie oskarżycielski palec. - Jesteś bardzo głupim, młodym człowiekiem!

Zarówno głos, jak i spojrzenie komendanta więzienia były niezwykle surowe.

- Co się tu dzieje? - pospiesznie zbiegł po schodach mój mistrz. Półnagi. Zobaczył twarz naszego gościa i niemal potknął się o własne nogi. Pozbierał się jednak najszybciej, jak tylko potrafił.

- Witam, signor Valentini. Co pana sprowadza do naszego skromnego kantorka?

- To - odparł komendant, po czym skrytą w rękawicy dłonią sięgnął do wiszącej mu u pasa sakiewki i wyciągnął z niej srebrną łyżeczkę. - Czy to twoja robota?

Orazio przyjrzał się łyżeczce, jej kształtom i zdobieniom, po czym rzucił mi piorunujące spojrzenie.

- Nie, zaprawdę nie, signor. Nie ma na tym mojej pieczęci. A przecież oznaczam nią wszystko, co powstaje w moim warsztacie. To kwestia honoru.

- Szkoda - rzucił Valentini, siadając na ławce pod oknem i zarzucając swe ubłocone buty na stół. - Moja pani zleciła mi odnaleźć twórcę tej błyskotki.

- Twoja pani, signor Valentini?

- Signora Lukrecja de Medici. Pani nas wszystkich. Ta łyżeczka to podarek dla jej biednego, zaniedbanego wnuka Giulianino, biologicznego dziecka Giuliano.

- Doprawdy - powiedział mój pan, a ja cofnęłam się o krok. Bardzo w tej chwili chciałam stać się jedną z desek w ścianach.

- Signora de Medici jest sprytną kobietą - ciągnął signor Valentini, specjalny nacisk kładąc na słowo „sprytną”, jakby to była jakaś obelga - ale mocno kocha własne dzieci. Nigdy nie przeboleje straty swego biednego, zamordowanego syna.

- Rozumiem to, signor Valentini. Sam dobrze wiem, co czuje człowiek, który traci dziecko.

- Allora. W takim razie rozumiesz też z pewnością doskonale, że jej jedyną pociechą jest właśnie Giulianino i zrozumiesz, dlaczego tak się ucieszyła na wieść, że pamięta o nim ktoś jeszcze.

Maestro Orazio pogładził się po brodzie.

- Ucieszyła się? - powtórzył.

- I to bardzo - dodał signor Valentini, po czym wyciągnął zza pasa sakiewkę i rzucił memu mistrzowi.

Orazio z wielkim trudem odwrócił wzrok od woreczka i ponownie przyjrzał się wykonanej przeze mnie łyżeczce.

- Czy mógłbym zatrzymać ten przedmiot i zabrać go na następne spotkanie cechu? Może ktoś coś mi podpowie.

- Bene - zgodził się signor Valentini. - Przekaż im także, że na tego artystę czeka więcej florenów, jeśli zdoła wykonać jeszcze trochę takich błyskotek. Ach, i jeszcze jedno. Dla wszystkich będzie najlepiej, jeśli ów artysta się nie ujawni. Niech wykorzysta ojca Alberto. I bez względu na wszystko, nie посыłaj tam tego tępaka, który otworzył mi drzwi - wskazał na mnie.

- Emilio? - mistrz zdzielił mnie w głowę. - Pewnego dnia stanie się świetnym rzemieślnikiem, ale obawiam się, że póki co brakuje mu zdrowego rozsądku.

- Więc powinienes mu go wlać do głowy, Orazio. To ponure czasy. Miałem ostatnio wiele pracy.

- Cóż, zauważyliśmy to.

- W takim razie zauważyłeś też na pewno, że swoje obowiązki wypełniam pilnie i z

radością. Ale prześladowanie niewinnych? O ile mogę, trzymam się od tego z daleka. Mnie to nie bawi.

- Jestem przekonany, że jest pan nadzwyczaj szlachetnym człowiekiem, signor Valentini. Postąpię wedle pańskiego życzenia.

Gdy tylko zamknęły się drzwi za komendantem, maestro Orazio uderzył mnie tak, że moje prawe oko zawirowało w swoim oczodole. Ciało wokół niego napuchło i w południe przybrało już rozmiary i barwę śliwki. Potem podniósł mnie z podłogi i kazał opowiedzieć wszystko od początku. I tak też zrobiłam - powiedziałam mu o małych okruchach złota, które zbierałam po pracy, o swojej wizycie w Bargello, o łapówkach dla signora Valentiego i o podrzuceniu łyżeczki ojcu Alberto. Gdy skończyłam, wyraźnie widziałam, że mistrz chce mnie zabić gołymi rękoma i z pewnością by to uczynił, gdyby nie leżąca na stole, pełna brzęczących monet sakiewka. Tyle o sobie wiedziałam - powoli stawałam się znakomitym rzemieślnikiem, a Orazio potrzebował pieniędzy. Wniosek z tego był jeden - potrzebował mnie. A uderzenie? Nie powtórzyło się. Oko wyzdrowiało. Potem dopiero zrozumiałam, że Orazio uderzył mnie w to jedno, jedyne miejsce, na którym signor Valentini mógł przez ulicę zobaczyć ślad.

Tamtego dnia po prostu zabrał sakiewkę i odszedł.

- Jak mi Bóg miły, Emilio - powiedział. - Pewnego dnia skrócą mnie przez ciebie o głowę.

Nie byłam w stanie uczciwie zaprzeczyć. Nie z moją biografią.

Rozdział 22

Florencja, 1482

Od wizyty signora Botticellego minął już niemal okrągły tydzień.

Niedługo po jego wyjściu, poprosiłam maestro Orazio, by przyniósł mi gęsie pióro i papier do pisania. Spojrzał na mnie takim wzrokiem, jakbym poprosiła go o księżyc, ale spełnił moją prośbę. W efekcie spisuję tę historię na odwrocie jego starych ksiąg rachunkowych.

Przez cały ubiegły tydzień wydzierałam wszystkie te obrazy, czasem ostre i bolesne, z kuźni swojej pamięci. Niczego sobie nie oszczędziłam. Żeby odpowiednio zakończyć moją opowieść, powinnam dopisać kilka istotnych szczegółów. Postanowiłam, że zrobię to jutro, zanim jeszcze dostarczę na miejsce zamówiony przez Botticellego pierścień. Zbliża się mój czas, czuję to tak samo wyraźnie, jak czuję zmieniający się kierunek wiatru.

Cóż więcej mogę powiedzieć o tych czterech, wypełnionych ciężką pracą latach? Pracowałam, jadłam, spałam. Stopniowo zapomniałam o wszystkim poza swoją własną winą. Było dla mnie jasne, że przyłożyłam rękę do tragedii, jaka spotkała całą moją rodzinę. Gdybym nie pomogła Wawrzyńcowi w duomo, plan mojego ojca mógłby zakończyć się zupełnie inaczej. Praca u złotnika nie pozwala mi zapomnieć o ozdobionej klejnotami dłoni, wyciągającej się rozpaczliwie spod morza czarnych płaszczy. Bez względu na to, jak bardzo żałuję, że nie zachowałam się wtedy inaczej, po prostu wiem, że nie mogłabym po prostu stać i patrzeć się na to, jak palce tej ręki zwierają się i rozchylają choćby o sekundę dłużej.

Powoli zapominam szczegóły swojego poprzedniego życia. Widok moich braci kołyszących się na murach Bargello? Po jakimś czasie pamiętałam już tylko jakieś zawieszane w powietrzu przedmioty. Słomiane manekiny sypiące się na silnym wietrze. A udręczona twarz Andrei z dnia, w którym go po raz ostatni widziałam? Pamiętam tylko jakiś obły kształt, wystające kości policzkowe. Pamiętam jeszcze czerwoną czapkę ojca, ale nie pamiętam już głowy, która ją nosiła. Pamiętam włosy Domeniki, ale nigdy już nie odwraca do mnie oczu we wspomnieniach. Nawet po nonnie został mi tylko pojedynczy siwy warkocz omiatający jej plecy.

Ale jest też ktoś, kogo nie zapominam ani nie zapomnę, bez względu na to, jak długo

będę jeszcze żyła. To właśnie ze względu na jego pamięć sięgam po te wspomnienia, nawet te najbardziej bolesne, rozpoczynające się w dniu, w którym posłaniec bogów przybył do mojego palazzo i zwymiotował pod pomarańczowym drzewkiem.

Pamiętam włosy Emilia - brązowe, kręcone. Pamiętam też szczerbę między jego przednimi zębami. Pamiętam, że najpierw był chudy i chory, a potem już nie. Pamiętam dobrze, co czułam, kiedy się uśmiechał. I nie zapomniałam tej nocy, kiedy staliśmy razem w kuchni, patrząc na szepczących do siebie Domenicę i kapitana Umberto. Amore per sempre. Pamiętam, jak powiedział „Dzięki Bogu my nigdy tacy nie będziemy”. Wtedy źle to rozumiałam. Byłam przekonana, że miał na myśli to, że my - Emilio i ja - nigdy się w sobie nie zakochamy. Teraz rozumiem, że chciał mi powiedzieć, że jesteśmy oboje zbyt mądrzy, by składać sobie obietnice, których nie będziemy w stanie dotrzymać.

Oczywiście pamiętam też wszystko, co razem z Emiliem robiliśmy przez ten krótki, wspólny czas. Na przykład to, że rzucił się na dwa razy większego od siebie mężczyznę za to, że tamten mnie popchnął, albo to, jak wychylił się z kuchennego okna, wymachując kręgiem sera, zbywając signora Botticellego: „Nie ten, co? Ten mi jest potrzebny”. Pamiętam, jak sięgałam po jego rękę, gdy chciałam, by mi w czymś pomógł, albo po prostu kiedy potrzebowałam go mieć przy sobie. Nie zapomniałam nawet tych chwil, które wcale nie były ładne ani wzniosłe, a które mimo to karmiły mą duszę bardziej sycącym pokarmem niż najwspanialsze dzieła sztuki.

I wreszcie pamiętam go stojącego na wzgórzu, unikającego mych oczu. „Nie wszystkich kocham” - powiedział wtedy, głosem tak cichym i delikatnym, że pomyślałam, iż to tylko wiatr.

Pomyliłeś się co do mnie, Emilio. Okazałam się taka sama jak Domenica. Złożyłam ci pustą obietnicę. Chcę ci powiedzieć, że wtedy niczego nie rozumiałam i kierowałam się wyłącznie iluzjami. Nienawidziłam pięknych słówek, jakie wymieniają kochankowie, ale jednocześnie bardzo pragnęłam właśnie takie słowa usłyszeć. A teraz jestem jak signor Botticelli i potrafię dostrzec to, co w moim życiu jest cenne naprawdę. Ale jest już za późno. Nie ma w nim ciebie.

I to właśnie trzyma mnie w tym straszliwym piekle. A jest straszne naprawdę - wydaje mi się czasem, że powstało w wyobraźni ojca Alberto. I za to właśnie nie przestanę nigdy pokutować, bez względu na to, jak wiele łyżeczek dostanie synek Giuliano i jak wiele pierścieni przyozdobi palce komendanta. To dlatego niespodziewana wizyta signora Botticellego przeobraziła mnie z kawałka twardego metalu w jakąś jęczącą, rozbeczaną babę.

Mam już dość błyskotek.

Chcę do domu.

Rozdział 23

Tego ranka, po bezsennej nocy spędzonej na przewracaniu się z boku na bok, wyganiem swojego mistrza i jego żonę na sumę.

- Jesteś pewna, Floro? - pyta Maria. - Może Orazio powinien z tobą tam pójść. Signor Botticelli nic nie mówił, że masz przyjść sama.

Zapewniam ją, że wszystko jest w porządku i że ona wraz ze swym mężem i tak zrobili dla mnie już wystarczająco wiele.

Kobieta gładzi moją twarz.

- Carissima - mówi. - Już dawno temu przestałaś być dłużnikiem do spłacenia. Jeśli chcesz, oboje pójdziemy razem z tobą.

- Wydawało mi się, że nie chcecie już nigdy powiększać rodziny - przypominam.

W oczach signory Marii pojawiają się łzy i wychodzi z pokoju.

- Widzę, że nasze wychowanie nie polepszyło twoich manier - rzuca mi szorstko Orazio. - Piękne pożegnanie. Nie ma co.

Wołam do siebie Marię i przepraszam ją. Raz jeszcze tłumaczę, że nic mi się nie stanie, i wyprawiam ich do kościoła.

Czy smutno mi, że mój czas dobiegł końca? Nie, raczej nie. Już pora, bym zajęła miejsce u boku swoich braci, dokładnie tak, jak to powinnam była uczynić cztery lata temu.

W pokoju na górze jest wanna z wodą. Kapali się już oboje - maestro Orazio i signora Maria. Woda jest jednak jeszcze dość czysta. Rozplątuję włosy, których nie widziałam od czterech lat. Natychmiast opadają mi do pasa. Myję się najdokładniej, jak tylko potrafię, ale kiedy wychodzę z wanny, wciąż czuję woń spalenizny. Mam wrażenie, że cuchnę jak wnętrze wulkanu. Zakładam na siebie drugą sukienkę Marii i przypominam sobie czasy, kiedy każdą suknię bez pereł uważałam za niezwykle nędzną.

Na zewnątrz wystawiam ku słońcu niczym nieprzesłoniętą twarz. Powietrze nie jest wcale świeże - też cuchnie, końskim łajnem i zatęchłą wodą z Arno - ale wdycham je, jakby było najprzedniejszym pachnidłem. Powtarzam sobie, że tak naprawdę wcale nie zrywam swojego układu z Bogiem, że nie łamię zasad pokuty. To przecież moja droga ku śmierci. A skazańcy mają chyba prawo odetchnąć świeżym powietrzem?

Na początek przechodzę na drugą stronę ulicy.

- Signor Bakłażan! - wołam głośno i macham. Składam wartownikowi na policzku mokrego buziaka. - Buongiorno, fratello mio! Czyż to nie piękny dzień? Teraz muszę już iść, ale na pewno za chwilę wrócę. Ciao!

Zostawiam go gapiącego się za mną, jak jakaś otępiała bestia.

Z wysoko uniesioną głową idę przez Via dei Balastrieri. Spódnice zakasałam tylko na tyle, by nie uwalniały się w błocie. Jest piękny wiosenny dzień. Kiedy przechodzę, gapią się ludzie - zwłaszcza mężczyźni. Wyobrażam sobie, co sobie muszą myśleć. „Morderczyni! Zdradziecka żmija!”

Odnajduję dom signora Botticellego i pukam do drzwi od podwórza.

Otwiera mi służąca - okrągłutka kobieta z zajęczką wargą. Na pierwszy rzut oka nie widać, by była piękna, ale wiem, że musi taka być. Inaczej malarz nie zatrudniłby jej u siebie w domu. Kobieta obrzuca mnie spojrzeniem od stóp do głów.

- To nie wystarczy. To z pewnością nie wystarczy - mówi.

Wciąga mnie do środka i szykuje mi kolejną tego dnia kąpiel, tym razem w czystej, gorącej wodzie. Służka bierze szczotkę i zaczyna szorować moje włosy i twarz. Nie jest przy tym delikatna.

- Proszę mnie zostawić - protestuję. - Wiem, jak się trzeba myć.

- Nie, zupełnie nie wiesz - odpowiada i czuję uderzenie szczotką w głowę. - Cała jesteś zarośnięta brudem. Nie wierć się tak!

Ale ja chcę się wiercić. Nie chcę tak spokojnie przyglądać się temu, jak ona zdiera ze mnie wszystko to, co tak starannie zebrałam przez tak długi czas. Nie chcę widzieć, co mam pod spodem.

Najpierw schodzi warstwa czerni. Potem kolej na czerwień.

Kiedy służąca uznaje, że jestem wreszcie czysta, wydobywa skądś lniany ręcznik.

- Osusz się - mówi. - Maestro Alessandro polecił, żebyś potem założyła to na siebie i dołączyła do niego na górze w pracowni. Pan już czeka.

Zawiesza na belce sufitowej sukienkę. Takim ruchem, jakby wieszala pęk szalwii. Kiedy znika z pomieszczenia, wychodzę z wanny i przyglądam się nowemu strojowi. Materiał jest miękki i lekki - niemal przejrzysty. Cała sukienka pokryta jest haftowanymi, maleńkimi kwiatkami - różowymi, zielonymi i żółtymi. Na tak doskonały strój nie kręciłaby nosem nawet Domenica.

Co zamyśla signor Botticelli? Dlaczego przygotował dla mnie taką sukienkę? A może to sama signora de Medici zażyczyła sobie, bym przed wykonaniem kary zaznała jeszcze wspomnienia lepszych czasów? Jeśli tak, to proszę bardzo. Chciała dostać kobietę godną rodu

Pazzich? Taką właśnie dostanie.

Zabieram pierścień, który wykonałam dla signory de Medici, wspinam się po schodach i otwieram wskazane przez służącą drzwi.

Za nimi widzę pomieszczenia równie przestronne, jak nasza dawna wielka sala - otwarty pokój o drewnianej posadzce i wielkich, wychodzących na południe oknach. Signory de Medici nie widzę, ale znajduję signora Botticellego. Artysta stoi plecami do mnie, przygląda się zasłoniętemu obrazowi, dwakroć wyższemu od samego siebie i jeszcze dwa razy dłuższemu na szerokość.

Wokół niego uwija się kilkunastu uczniów. Mielą i mieszają barwniki. To właśnie jeden z nich, niosący słoik gotowej farby, zauważa moje wejście.

- O Madonno! - rzuca i szczeka opada mu razem z naczynkiem. Błękit rozbryzguje się po całej brązowej podłodze.

Wszyscy pozostali odwracają się ku mnie i tak samo się gapią.

- Nie wierzyłem - mówi cicho inny z praktykantów. - Mówił nam pan, ale ja nie chciałem uwierzyć.

Wtedy obraca się sam signor Botticelli i też mi się przygląda. Patrzy z miną, jakiej nie widziałam nigdy przedtem. Nie jest ani tak nadęty, jak zwykł być na górnych piętrach palazzo i nie jest też tym zmywającym naczynia mężczyzną, jakiego pamiętam z kuchni. Spogląda poważnie. Myślę sobie, że być może to właśnie jest jego prawdziwa twarz - mina, jaką przybiera, pracując.

Wyciera dłonie o uwalany farbą kitel i podchodzi do mnie. Teraz, z bliska, widzę, jak się

przez te cztery lata postarzał. Piaskowe włosy w większości przeistoczyły się już w siwe. Jego waga sprawia teraz, że nie wygląda już na dobrze odżywionego, dziś wydaje się jedynie zmęczony. Powieki i podbródki zwisają niczym ciężkie sakiewki.

Signor Botticelli odgarnia mi z twarzy nieposłuszny loczek i zdejmuję drobinę kurzu z mojego rękawa.

- No dobrze - zwraca się do swych uczniów. - Obiecałem wam jedno spojrzenie. Kiedy więc już skończycie się rozdziawiać, możecie zostawić nas samych. I niech któryś przyniesie mi trochę wina. Jestem dziś w świątecznym nastroju.

Jeden po drugim zaczęli odkładać swoje przybory i wyszli szeregiem, przechodząc obok mnie. Póki wszyscy nie zniknęli za drzwiami, żaden nie oderwał ode mnie wzroku.

Signor Botticelli zamyka drzwi przed nosem ostatniego ze swych terminatorów i przygląda się moim dłoniom.

- Nie muszę pytać, gdzie byłeś przez te wszystkie lata - zauważa, wskazując na blizny na

mojej dłoni. - Jak mogłaś pozwolić, by przytrafiło ci się coś takiego?

- Basta - rzucam i odpycham go od siebie. - Proszę przestać się ze mną bawić. Gdzie twoja pani?

Signor Botticelli wygląda na zaskoczonego.

- Nie tego się spodziewałem, ale zapomniałem, że masz powody do podejrzliwości. Dobrze zatem. Myślałem, że będziemy mogli od razu przejść do rozkoszy, ale widzę, że musimy najpierw pokonać to, co nieprzyjemne.

Spoglądam mu przez ramię, wyglądam przez okno. Ile tam czeka koni? Czy po jednym na każdą z moich kończyn?

- Przebaczone ci - oznajmia signor Botticelli. - Signora Lukrecja de Medici uznała, że nie stanowisz już dłużej zagrożenia dla jej rodu. Jesteś wolna. Nie możesz pozostać dłużej we Florencji, ale masz jej słowo, że nie będziesz dłużej poszukiwana ani ścigana.

Teraz to ja się mimowolnie rozdziawiam.

- Zamknij buzię, Floro. Ta mina wyjątkowo ci nie przystoi.

- Przebaczone mi? Ale co takiego?

- Zdradę, jak sądzę. Nie możesz już trwać w ukryciu, Floro. To staje się zbyt niebezpieczne. Zmieniłaś się przez te cztery lata. Sam signor Valentini szeptał o uczniu maestro Orazio, który zupełnie nie wygląda jak chłopak, a za to ma wyraźne rysy twarzy Pazzich. Wszyscy o tym mówią. I bez wątpienia któregoś dnia ktoś doniesie Il Magnifico.

Ściągam usta.

- Uratowałam mu życie - przypominam.

- To samo powiada ojciec Alberto. Ale Il Magnifico woli o tym nie pamiętać. Ty też powinnaś o tym zapomnieć, Floro. Jeśli mu to przypomnisz - błyskawicznie cię uciszy. Nie chciałby, żeby inni myśleli o nim jak o słabeuszu, który życie zawdzięcza kruchej, młodej dziewczynce.

- Teraz nie jestem już krucha - mówię cicho. - I z pewnością nie młoda. Już nie.

Uśmiecha się półgębkiem, po czym odwraca ode mnie i szuka czegoś w kredensie.

- Tego bym nie powiedział, Floro. Nie jesteś stara. Po prostu zmieniałaś się. Większość ludzi, cara mia, w swoim życiu doświadcza najpierw wiosny. Ty natomiast wskoczyłaś od razu w zimę.

Nie wiem, o czym on mówi - o jakiej zimie? Przez ostatnie cztery lata w moim życiu panowała tylko jedna pora roku - upalne, gorące jak piec lato.

Signor Botticelli wciąż prowadzi poszukiwania.

- Ale nie obawiaj się. Dzięki moim znakomitym umiejętnościom sprawię, że twoje

życie nie będzie już zimą. Gdzie ta kobieta to schowała? A! Tu jest! Nie zesechł się na szczęście - kiedy malarz wraca z głębin kredensu, trzyma w ręku wieniec upleciony z prawdziwych, polnych kwiatów. Zakłada mi go na głowę i nie mam nawet szansy, by przytulić delikatne płatki do twarzy. Ale nie muszę. Ich woń sphywa na mnie z głowy. Zapach świeży i subtelny. Czuję, jak coś we mnie pęka.

Signor Botticelli cofa się. Czy on naprawdę nie wie, jaki ta korona sprawia mi ból? Przecież, na litość boską, potrafił wyczuć rozdarcie Domeniki. A mojego cierpienia wcale nie dostrzega.

- Rok po Rebelii Kwietniowej - ciągnie artysta - przyszedł do mnie ojciec Alberto. Opowiedział mi dziwną historię o młodzieńcu w konfesjonale - młodzieńcu o niskim, ale znajomym głosie, który przyznał się do grzechów - nie powiedział mi jakich - które pasowały do twojej osoby. Powiedział, że próbował cię wtedy ścigać, ale zbyt szybko uciekłaś z kościoła. Potem jednak zaczęłaś wracać. Za każdym razem z błyskotką dla syna nieszczęsnego Giuliano. I pewnego razu ojciec Alberto śledził cię, aż do warsztatu maestro Orazio. - Wciąż jednak nie był pewien twojej tożsamości i wykazał się znakomitym umysłem, nawiązując w tej sprawie kontakt ze mną. Wiedział, że przed tym straszliwym dniem malowałem w waszym palazzo i uznał, że mogę być simpatico.

„A jesteś?” - miałam ochotę zapytać. - „Tego nigdy nie mogłam rozstrzygnąć.”

Nie powiedziałam nic. Pozwoliłam mu dokończyć opowieść.

- Wtedy znałem już krążące po mieście pogłoski. Plotki o uczniu złotnika. O młodzieńcu z brudną twarzą, na której nawet sadza nie była w stanie ukryć niepokojącego piękna. Dlatego po wizycie ojca Alberto kazałem cię obserwować najstarszemu z moich praktykantów. Przyjrzał ci się i wrócił z tym szkicem.

Signor Botticelli podnosi z marmurowej kolumny duży zeszyt i otwiera go na pierwszej

stronie. Na karcie papieru widnieję ja. Czarno-biała ja. Siedzę przed kowadłem z związanymi włosami. Przewracam stronę. Znowu ja. Tym razem z profilu. Cały zeszyt, kartka po kartce, wypełniony jest mną, moimi częściami ciała - dłońmi, ramionami, łukiem mojego karku. O Madonno! Każdy mój ruch był bacznie obserwowany.

- Potem sam przyszedłem pod wasz warsztat i nie miałem już żadnych wątpliwości. Od razu poznałem w tobie dziewczynę, która wpadła na mnie w ogrodzie swojej babci - tę dziewczynę, którą ściga wiatr.

- A zatem przebaczone mi - odzywam się. - Ale dlaczego akurat teraz? Mówisz, że się zmieniłam i że nie jestem już niebezpieczna. Ale przecież te zmiany nie zaszły we mnie dzisiaj rano. Dlaczego przebaczone mi właśnie teraz? W tej chwili?

- Dlatego, że dopiero teraz, po śmierci hrabiego Riario, signora de Medici dała mi swoje błogosławieństwo.

- Bez którego nic byś nie zrobił - rzucam oskarżycielsko.

Signor Botticelli wzrusza ramionami.

- A ty byś zrobiła?

Przypominam sobie konie, które rozdarły mojego ojca. Nie, na to nie można się zgodzić za żadną cenę. Nie. Nigdy już nie zrobię nic przeciwko Medyceuszom.

- Jestem, jaki jestem, Floro. Moja pomyślność zależy od innych. Czasami jednak zdarza się, że mogę postąpić wedle własnej woli. Na przykład dziś. I z pewną dumą chcę ci powiedzieć, że wraz z ojcem Alberto uknuliśmy spisek, przy którym błędnie nawet przebiegłość twojego ojca. Druga część naszego planu przybędzie wkrótce. Pierwszą mam przyjemność pokazać ci teraz. Albowiem ty, moja droga, będziesz pierwszym widzem i krytykiem mojej „Primavery”.

Signor Botticelli staje przy zasłoniętym płótnie. W jego oczach pojawia się błysk, który pamiętam z dawnych czasów. Jest z siebie bardzo zadowolony.

- Zobaczysz, sama będziesz mi za to dziękować - zapewnia.

Wtedy zrzucił z obrazu zasłonę.

To nie jest Madonna. To scena ogrodowa - kilka postaci świętuje coś w sadzie pełnym drzew o okrągłych owocach - te owoce przypominają palle z herbu Medyceuszy. Pod nogami mają miękką, sprężystą trawę.

Szczególnie przyglądam się dwóm osobom.

Daleko z lewej stoi przystojny, brązowowłosy młodzieniec. Na nogach ma sandały, z których wyrastają skrzydełka. Wyciąga ramię i ostrzem swego miecza mierzwi chmury. Dotykam lekko obrazu i gładzę brązowe loki. Przypomina mi się inny chłopak, zjeżdżający konno ze wzgórza tak szybko, że wyglądało to, jakby leciał.

- Posłaniec bogów - szepczę.

- Poznałaś go, prawda?

Przytakuję skinieniem i odrywam koniuszki palców od płótna.

- Tak, to Merkury.

Na prawo od środka obrazu widnieje jasnowłosa bogini w białej, niemal przezrystej sukni, na której wyhaftowano mrowie maleńkich kwiatuszków. We włosach ma wieniec - wygląda to trochę jak mój dzisiejszy ubiór. W fałdach sukni boginka chroni delikatne kwiatki, zaraz zaczniesz je rozsypywać.

Jej twarz poznaję natychmiast.

- Piękne - chwalę artystę. - Doskonale uchwyciłeś rysy Domeniki.

- Domeniki? Myślisz, że to ona? Nie, moja droga. Jesteś w błędzie - wskazuje na inną postać, oddaloną smutną Wenus w ciężkim, czerwonym płaszczu. - Domenica stoi tam, z tyłu. Obraz przedstawia jej królestwo, ale nie jej historię opowiada.

- Skoro to jest Domenica, to kim jest ta bogini? - wskazuję palcem pełną wdzięku figurę.

- A jak myślisz, Floro? - pyta, kładąc nacisk na moje imię.

Zaczynam drżeć. Trzęsę się cała i nie potrafię się opanować. Czuję się tak, jakby we mnie rozpętał się jakiś kataklizm. Taki, który połyka całe domy i strząsa z wierzchołków gór lodowe jaskinie.

Spoglądam na pozostałe dwie postacie i rozumiem już wszystko.

To mężczyzna i kobieta. Mężczyzna jest bladoniebieski i płynie w powietrzu. Dmucha w kierunku kobiety, ale jednocześnie rozwiera ramiona, jakby chciał ją pochwycić.

Kobieta - jeszcze jedna, jasnowłosa piękność, ucieka przed nim, przerażona. Z ust wysypują się jej kwiaty, zupełnie jakby nimi wymiotowała. Ta postać o niebieskiej twarzy to Zefir, bóg zachodniej wiatru, a przestraszona uciekinierka, to Chloris - dziewczyna, którą do dziś byłem ja.

Odwracam wzrok od płótna, od kobiety w białej sukni, od boginki z kwiatami. Wciąż nie jestem pewna. Dwie twarze i obie moje?

Signor Botticelli dostrzega moje zmieszanie.

- Ile czasu minęło, odkąd oglądałaś swoje odbicie? - pyta.

Ostatni raz widziałam je w studni w Fiesole, zaraz po tym, jak obciąłem sobie włosy i pobrudziłam twarz.

- Jakiś czas - odpowiadam głośno.

Malarz wyjmuje z kredensu kawałek wypolerowanego szkła, wielkości ludzkiej głowy.

- Proszę. Nie jest duże, ale powinno wystarczyć.

Biorę lustro do ręki i powoli unoszę je sobie do twarzy.

Powtarzam sobie, że jestem silna. Na dowód mogę pokazać blizny na dłoniach. Co może mi to zwierciadło pokazać takiego, co może być gorsze od obrazów, które codziennie widzę za oknem swojego warsztatu?

A jednak jest gorzej. O wiele gorzej. Upuszczam lustro. Szkło rozpryskuje się po podłodze. Skrywam twarz w dłoniach i szlocham. I to nie jest żaden delikatny, pełen wdzięku szloch. Gęgam jak gęś. Potrafiłam się podnieść po zagładzie całej mojej rodziny, ale nigdy chyba już nie podniosę się po tym, jak ujrzałam własną twarz.

- Nie miałam pojęcia - udaje mi się wykrztusić. - Nie wiedziałam, jak bardzo jestem

podobna do nonny.

Signor Botticelli podaje mi chusteczkę i kładzie dłoń na moim ramieniu.

- Nosisz w sobie jej ducha, signorina. Tego właśnie nie udało ci się ukryć. I to dlatego poznałem cię nawet pod tą grubą warstwą popiołu, która pokryła twoją twarz. I to dzięki temu jesteś tak piękna.

Raz jeszcze spoglądam na obraz. Teraz widzę wyraźnie już całą opowieść. Wenus. Merkury. Zefir. Chloris. I wreszcie Flora - bogini o spokojnym obliczu - kobieta, która wytrwała, która nie poddała się swemu cierpieniu.

Ktoś puka do drzwi.

- Avanti! - woła signor Botticelli i w jego oczach znów pojawia się błysk. - Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko. Zaprosiłem też innych. Chcę, żeby zobaczyli moje dzieło.

Do pracowni wkraczają dwaj mężczyźni. Pierwszego rozpoznaję w jednej chwili. Przyszytych w tonsurę włosy przyprószone są siwizną. Wciąż jednak nosi przetarty, zniszczony habit, a z jego szyi zwisa ten sam, drewniany krzyż.

- Grazie a Dio - mówi ojciec Alberto. Podchodzi do mnie i otwiera ramiona. - Myślałem, że to ty, ale nie byłem tak pewny jak signor Botticelli. Tak bardzo się cieszę, że widzę cię całą i zdrową.

Obejmuje mnie, po czym się cofa. Bierze moje dłonie w swoje, wypuszcza je i znów mnie tuli.

- Byłem przekonany, że cię utraciliśmy.

Mężczyźni, który przyszedł razem z nim nie poznaję zupełnie. Jest wyższy ode mnie - praktycznie to olbrzym. Jestem pewna, że gdyby stanął na górskim szczycie, byłby w stanie dotknąć nieba. Ma szerokie ramiona. Jego bluza ciasno opina mocne mięśnie ramion. Brązowe włosy opadają mu lokami na plecy. A jego twarz? O Madonno! Ma tak piękne rysy i

tak przyjemnie się na nie patrzy. Kapitan Umberto wydaje się przy nim bezzębnym, starym dziadem.

Nieznamy gapi się na mnie tym samym spojrzeniem, jakim oglądali mnie uczniowie signora Botticellego. Rozmazuję łzy na swojej twarzy chusteczką i wyciągam do niego rękę.

- My się chyba nie znamy, signor - witam się.

Wtedy on się do mnie uśmiecha. Uśmiechem, który zaczyna się w jego brązowych oczach i rozlewa się aż po dwa krzywe przednie zęby.

- Floro - odzywa się szeptem i w znajomy sposób ściska moją dłoń.

To, co poczułam wcześniej, kiedy signor Botticelli odsłonił mój obraz, moją „Primaverę”, nie było kataklizmem, żadnym trzęsieniem ziemi - to było lekkie rozkołysanie podłoża.

Ale teraz, teraz kiedy uśmiecha się do mnie Emilio - rozkwitam.

Epilog

Nonna się myliła. Powiedziała mi, że tym, co sprawiło, że Flora - ta prawdziwa Flora - stała się boginią, było cierpienie. Teraz, wiele lat później, wiem, że cierpienie mogło ją co prawda ukształtować, ale prawdziwą boskość zyskała dzięki zdolności do przebaczenia.

Po pierwsze musiała wybaczyć bogini Dianie okrutny mord całej swej rodziny. Musiała także przebaczyć Niobe, swojej głupiej matce, za sprowadzenie na ich głowy śmierci i zniszczenia.

Najtrudniejsza z pewnością była jednak ostatnia część tego zadania - musiała sama sobie wybaczyć to, że przeżyła.

- Teraz nazywają mnie Merkucjo - powiedział Emilio, gdy wreszcie wypuścił mnie z objęć, tamtego dnia, w pracowni signora Botticellego. Wciąż i wciąż dotykał mojej twarzy, moich włosów, blizn na moich dłoniach. I ten jego uśmiech! O Madonno! To już nie był prostolinijny, otwarty uśmiech wymizerowanego chłopaka, który trawi życie, wywijając drewnianymi mieczami lub wymachując kręgami sera. Ten uśmiech szeptał - był dokładnie taki, za jakim tęskniłam, przyglądając się w ogrodzie objęciom Domeniki i kapitana Umberto.

Chwyciłam jego dłonie i przeliczyłam wszystkie palce. Pieszcząc jego twarz, sporządziłam spis wszystkich jej części: jeden nos, dwoje oczu, dwoje uszu. Potem sprawiłam, że znów mnie pocałował. Miał także jeden język; wszystkie zęby na miejscu; słodki oddech, pachnący sprowadzonym z Orientu imbirem.

Potem Emilio zajął się podziwianiem mojego obrazu. Oczywiście wyjaśniłam mu, że malowidło nie jest moje, i podobnie jak wszystko inne, czego się tknę, trafi w ręce Medyceuszy.

- To ma być prezent ślubny dla jednego z ich krewnych, jak sądzę - dodał signor Botticelli. - Chciałem jednak, żebyście najpierw zobaczyli go wy dwoje.

- Czy oni wiedzą, że twoją modelką była kobieta z rodu Pazzich? - spytałam.

Jego twarz przesłoniła chmura.

- Nie. I nigdy się nie dowiedzą. Ja nie jestem taki jak ty, Floro. Cenię sobie własną skórę.

Wtedy Emilio wziął mnie za rękę i oznajmił, że skoro on może zatrzymać oryginał, to

zupełnie mu nie przeszkadza, że obraz zabierze Il Magnifico. A ja? Ja też się cieszyłam, ale nie mogłam przestać myśleć o mamie. Nie udało się jej za życia doprowadzić do ślubu pomiędzy Pazzimi i Medyceuszami, ale teraz, jako Pazzi będzie być może już przez wieczność przyglądać się komnacie nowożeńców - Medyceuszy. Było to małe sekretne zwycięstwo, ale ja nauczyłam się cenić sobie tajemnice. Być może miałam w sobie więcej z Pazzich, niż sama chciałam to przyznać.

Całą czwórką napiliśmy się wina z wysadzanych drogimi kamieniami kielichów. Signor

Botticelli wznosił toast za siebie.

- Za mój geniusz! - powiedział unosząc szklanę. - Mam nadzieję, że sprawiedliwie potraktowałem was swym pędzlem - spojrzał na nas i razem z Emiliem odpowiedzieliśmy mu, że owszem, że nigdy nie można było oddać nas lepiej i że ten obraz to najpiękniejsze dzieło sztuki, jakie widzieliśmy w życiu. Widać było wyraźnie, że signor Botticelli wyrazi uznania i pochwały spija z naszych ust jeszcze łapczywiej niż wino z brzegów kielicha. Miałam wrażenie, że nigdy się nimi nie nasyci.

Wreszcie jednak miał dosyć i znów spojrzałam na swojego Merkucjo, prawdziwego, z krwi i kości Merkucjo.

- Byłam przekonana, że nie żyjesz - przyznałam. - Co się z tobą działo?

Odwrócił się od obrazu i spojrzał mi w oczy.

- Ciebie mógłbym zapytać o to samo - odparł, ale nie wydawał się rozgniewany. - Nie czekałaś, zgodnie z umową, w klasztorze. Była tam tylko twoja siostra. Powiedziała mi, że widziała, jak giniesz.

- Co powiedziała? - Ależ z niej bestia. Nie do wiary, że choć przez chwilę zdawało mi się, że mogę ją polubić. Dwa razy pozbawiła mnie przyszłości. - Raz, kradnąc moje diamenty ze skazą i drugi raz, kiedy odesłała precz mojego ukochanego.

- Że nie żyjesz. Wmówiła mi, że zginęłaś - powtórzył Emilio. - Opisała to bardzo przekonująco. Mówiła, że na własne oczy widziała, jak ścinano ci głowę.

Ten szczegół przypomniał mi, stoczony w bibliotece ojca, ostatni bój kapitana Umberto. Czyżby Domenica przyglądała się walce przez moje ramię i przez płomień kominka? Czy może po prostu zmyśliła ten szczegół, by uprawdopodobnić opowiastkę i przekonać Emilia? Żadna różnica. Rezultat był taki sam.

- Czekałem na ciebie trzy dni - ciągnął Emilio. - Spałem pod bramą klasztoru. Wiedziałem, że jeśli żyjesz, to na pewno przyjedziesz. Wreszcie jednak zrezygnowałem i wróciłem do ojca Alberto, który dał mi naszą sakiewkę i wysłał mnie do Rzymu, bym prosił papieża o podjęcie jakichś działań. Stąd potem ekskomunika.

- Dla moich braci było już wtedy za późno - mruknęłam. - A gdzie była jego armia?

Emilio ze smutkiem pokręcił głową.

- Cały czas w Rzymie. Czekali na zwycięstwo Pazzich. Zwycięstwo, którego nie było.

- Tchórz - syknęłam cicho.

- Spokojnie, Floro - mówisz o boskim namiestniku - napomniał mnie ojciec Alberto. - Jego czynów nie wolno nam podawać w wątpliwość.

Emilio wciąż mówił.

- Wiele dni jeździłem. To tu, to tam. Rzym, Mediolan, Neapol. Błaganie o żołnierzy,

prośby o zmiłowanie. Naprawdę byłem posłańcem bogów. Wydawało mi się wtedy, że wreszcie rozplnę się w pianę, tak jak moje konie. I po co mi było to wszystko?

- Stupido - rzucił signor Botticelli i zdzielił go po głowie, a Emilio skulił się, jakby był małym chłopcem, a nie olbrzymich rozmiarów mężczyzną. Signor Botticelli podobne wrażenie wywierał na nas obojgu. - Po to, żebyś mógł dożyć dzisiejszego dnia, poślubić ukochaną i zaznać wreszcie szczęścia.

Potem wyjaśnił dalszą część spisku, który uknuli wraz z ojcem Alberto. Miałam wziąć ślub z Emiliem tutaj, a potem udać się z nowym mężem do Mediolanu, gdzie książe Frederico Barbarossa tak bardzo docenił służbę mego lubego, że obdarował go okazałym majątkiem ziemskim i tyłoma sakiewkami złota, że Emilio w zasadzie potrzebował banku, by je wszystkie pomieścić. No cóż. Bogactwo mi nie przeszkadza, póki nie grozi przeobrażeniem mego przyszłego męża w mojego ojca. Ale uznałam, że to akurat nam nie grozi.

- Oczywiście wszystko zależy od ciebie - dodał Emilio. - Jeśli wolisz, mogę odwiedzić cię do twojej złej siostry w klasztorze Najświętszej Panienki w Fiesole. Mogłbym też zabrać cię do Wenecji i wykupić ci morską przeprawę do Ziemi Świętej.

Czy pokochałam Emilia dlatego, że jego oczy tak pięknie błyszczały jakimś nieziemskim, błogosławnym blaskiem? Czy może dlatego, że najpierw razem się bawiliśmy, a potem wspólnie cierpieliśmy? A może pokochałam go po prostu dlatego, że tak bardzo ucieszyłam się, widząc go przy życiu, że wylałam na podłogę signora Botticellego drugą Arno? Tego nie dowiem się nigdy. Ale wierzę, że tak samo jak signor Botticelli zobaczył we mnie mojego ducha, tak ja ujrzałam ducha Emilia i zrozumiałam, że to on jest tą jedną, jedyną osobą na całym świecie, z którą mogę być bez reszty wolna.

I dlatego właśnie nie mogłam tego chcieć.

- Nie mogę - powiedziałam. - Jeśli przestanę przynosić błyskotki signorowi Valentiniemu, Andrea zginie.

Ale Emilio i na to miał gotową odpowiedź.

- Pamiętaj, jestem bogaty - rzucił i uśmiechnął się niemądrze.

- Emilio, proszę, to nie zabawa. Ja tu mówię o życiu swojego brata.

- Carissima, kocham cię, ale widzę, że dym w warsztacie mistrza Orazio odebrał ci jasność myślenia. Mówiąc, że jestem bogaty, chciałem powiedzieć, że jestem w stanie wysyłać łapówki dla signora Valentiniego w zamian za utrzymanie Andrei.

Utrzymanie. Zabrzmiało to, jakby mój brat był czymś domowym zwierzątkiem.

- A co z jego uwolnieniem? - spytałam signora Botticellego. - Czy Andrea także uzyska przebaczenie?

Malarz ze smutkiem pokręcił głową.

- Obawiam się, że w tej kwestii Il Magnifico pozostaje nieprzejednany i nie można nań wpłynąć.

Ojciec Alberto poklepał mnie po plecach.

- Nie rezygnuj z nadziei, Floro - odezwał się łagodnie. - Tego ci nie wolno, póki Andrea ma przyjaciół i siostrę taką jak ty. To w jego sytuacji szalenie ważne.

- Przemyśl to, carissima - dodał Emilio. - Oboje moglibyśmy działać na rzecz twojego brata. Ja wciąż będę podszeptować Barbarossie, w jak ciężkim położeniu jest Andrea. Zresztą mogłabyś powiedzieć mu to sama. Tak byłoby nawet lepiej. On lubi ładne dziewczęta i opowieści o cierpieniu. Wspólnym wysiłkiem z pewnością zdziałalibyśmy prawdziwe cuda.

Signor Botticelli znów nawinał sobie na palec jeden z moich loków.

- Możesz też pozostać zamknięta w tym swoim piekle, w którym nikt nigdy nie zobaczy twoich włosów ani nie pozna prawdziwej barwy twoich warg.

Próbował na mnie wpłynąć, pokazując alternatywę, która w istocie rzeczy wcale nie stanowiła żadnej alternatywy. Nie mogłam wrócić. Zostałam schwytana. Sam mi to powiedział parę chwil wcześniej. Ale prawda wyglądała tak, że choć byłam ogromnie uszczęśliwiona takim obrotem spraw, to jakaś część mnie pozostawała nieufna. Nie potrafiłam zaufać żadnemu szczęściu, którego nie wypracowałam sobie własnymi rękoma.

- Ja wszystko rozumiem - odezwał się ojciec Alberto i skinął głową. - Floro, przez te wszystkie razy, gdy przychodziłaś do mojego konfesjonału, nie pozwalałaś mi skończyć myśli. Pozwól więc, że uczynię to teraz. Ego te absolvo. Sama obłożyłaś się cięższą pokutą, niż ja mógłbym obmyślić. Nie wolno nam też zapominać o wszystkich twych dobrych uczynkach. Byłaś uprzejma i posłuszna wobec swojej nonny. Narażając się na niewyobrażalne niebezpieczeństwo, uratowałaś przed śmiercią własnego wroga. Ocaliłaś główkę nierozgarniętej siostrze. No i bez ciebie nikt by już nie pamiętał o synku Giuliano. Nie, Floro. Naprawdę nie musisz się już biczować.

Przyjął od niego rozgrzeszenie, udzielił nam ślubu i razem z Emiliem rozpoczęliśmy nowe życie w Mediolanie.

Amore per sempre. Miłość. Na zawsze. Kiedy Emilio posadził mnie przed sobą na koniu, te słowa brzmiały w moich uszach jakoś dziwnie niezręcznie. Poprosiłam, żeby je powtórzył i tak też uczynił. Tym razem okazały się już bardziej łagodne, pieściły mnie niczym najprzedniejszy aksamit. Objął mnie ramionami, by pochwycić cugle. Oparłam się, wtuliłam w niego. To wcale nie było takie trudne.

Signor Botticelli odprawił nas w drogę, wręczając mi kosz kwiatów, z którymi kazał mi zrobić, co zechcę.

- Wiedzą lub nie, ale mieszkańcy naszego miasta powinni cię zobaczyć. To była długa, ciężka zima - powiedział i ucałował moją rękę. - A teraz jedźcie już. I cieszcie się sobą. Zasłużyliście na to.

Uśmiechał się, ale jednocześnie wydawał się naszym rozstaniem zasmucony. I pomyślałam, że to w pewien sposób dobrze. Sam dawniej narzekał na to, że moja siostra bez cienia smutku na twarzy nie jest wcale piękna. Miałam ochotę powiedzieć mu, że ten sam smutek upięknszył teraz i jego. Patrząc na ten niewesoły uśmiech, zrozumiałam, jak dobrym jest człowiekiem: takim, który potrafił czynić cuda, cieszyć się na weselu, ale płakać przy pożegnaniach. Może i był geniuszem, ale nie przeszkodziło mu to być także jednym z nas.

Najpierw zatrzymaliśmy się u złotnika. Podziękowałam swojemu panu i pani za wszystko i obiecałam pisać. Maria rozplakała się od razu.

- Już nie wierzyłam, że kiedykolwiek ujrzę cię szczęśliwą - powiedziała.

Założyłam jej na szyję wianek stokrotek.

Maestro Orazio dał mi w prezencie moje narzędzia.

- To na wypadek, gdyby znudziło cię życie bogatej paniusi - rzucił i mrugnął. Przebaczyłam mu - wcale przecież nie tak częste - policzki. Przez te wszystkie lata udzielał mi schronienia, samemu ryzykując przy tym tak wiele. Maria miała rację - nie byłam już ich długiem do spłacenia.

Kiedy wyszliśmy z warsztatu i Emilio znów podsadził mnie na konia, spojrzałam w górę, w kierunku okna signora Valentiniego. Ujrzałam dwie wpatrzone w siebie twarze. Pomachałam im. Komendant więzienia odmachał mi wyniośle. Odczekałam chwilę, wpatrzona w człowieka, który stał obok niego. Czekałam aż wykona ten jeden gest, którym odesłałby mnie do Bargello na zawsze. Po chwili jednak uniósł palce do ust i posłał mi w

powietrzu pocałunek.

Signorowi Bakłażanowi wręczyłam trzy róże. Poprosiłam go, by jedną zatrzymał sobie, a dwie wręczył swym panom. Bakłażan i inni wartownicy przyglądali się mi z otwartymi ustami.

- Kim ty jesteś? - spytał wreszcie.

Emilio popędził już konia i byliśmy w połowie ulicy.

- Dziś? - odpowiedziałam. - Dziś jestem boginią wiosny. Ciao, signori! Potem pojechaliśmy obok duomo Santa Maria del Fiore i obok Bram Raju na wrotach baptysterium. Pomyślałam, że zapewne ostatni raz tu jestem. Ludzie zatrzymywali się i przyglądali naszej wędrownicy przez ulice.

- I co myślicie o mojej żonie? - zawołał Emilio. - Czyż nie jest najpiękniejszą panną młodą, jaką widzieliście w życiu?

A ja dzielnie odgrywałam swoją rolę, uśmiechając się i rozsypując po drodze kwiaty.

- Proszę, signor. Proszę wziąć stokrotkę.

Widziałam, jak zamknięte dotychczas twarze naszych sąsiadów otwierają się. Machali do nas i życzyli nam szczęścia. Oni, tak samo jak ja, przeżyli dopiero co bardzo długą zimę.

Naszym następnym przystankiem było wzgórze w Fiesole, na którym ciemniały teraz dwa groby. Jeden oznaczony był drewnianym krzyżem z napisem „Alessandra”, na drugim zobaczyłam napis „Cenesta”.

To Emilio przewiózł tu ciało nonny i pochował ją obok swojej siostry.

- Wydawało mi się to słuszne - powiedział. - W ten sposób obie razem mogą nad nami czuwać.

Chciałabym móc powiedzieć, że tego dnia poczułam blisko przy sobie obecność nonny. Ale tak wcale nie było. Ona już odeszła bardzo daleko, choć zostawiła za sobą część siebie. We mnie. I wciąż tę część doglądam i opiekuję się nią. Zupełnie tak samo, jak robiłabym to z rzadką rośliną - na przykład z drzewkiem pomarańczowym.

Przed wyruszeniem do Mediolanu zatrzymaliśmy się jeszcze w klasztorze. Odwiedziliśmy Domenicę. Nadal była piękna, choć przywiedła i smutna jak Wenus z obrazu signora Botticellego. Zaprosiliśmy ją, by z nami pojechała. Powiedzieliśmy, że Emilio cieszy się wpływami na książęcym dworze i że moglibyśmy znaleźć dla niej męża. Może nie tak przystojnego jak kapitan Umberto, ale z pewnością takiego, którego mogłaby przynajmniej szanować.

- Wybór należy do ciebie - zakończyłam.

Spojrzała najpierw na Emilia, a potem na mnie. To spojrzenie znałam aż nazbyt dobrze:

była zazdrosna do tego stopnia, że mogła wrzucić moją szczotkę do włosów do nocnika i napluć mi do zupy. Teraz jednak przynajmniej rozumiała swoje uczucia (ja nigdy ich nie rozumiałam) i stwierdziła, że potrzebuje więcej czasu, by przemyśleć naszą propozycję.

- Podoba mi się tu - dodała. - Zakonnice dają mi spokój.

Posyłam po nią umyślnego co roku. I co roku Domenica odmawia. Będę ją zapraszać, dopóki nie przyjedzie.

I to już jest koniec mojej opowieści. Do tej pory przechowywałam ją w zamknięciu, w sekretnym schowku w swoim sercu. Ale wczoraj wydarzyło się coś, co sprawiło, że musiałam ją z siebie wyrzucić i przebrać słowo po słowie, jak przebiera się diamenty w poszukiwaniu klejnotów ze skazą.

Byliśmy w naszym wiejskim domu, wszyscy poza waszym ojcem, który musiał zostać na dworze, by doradzać księciu w ważnej sprawie państwowej (prawdopodobnie chodziło o budowę jakiegoś nowego pomnika - ten Barbarossa, daję słowo, bywa niekiedy bezradny jak dziecko).

Wy, moje dzieci - Andrea, Cenesta, Giuliano i mała Alessandra - bawiłyście się wtedy na podwórzu, a ja doglądałam róż. Wtedy usłyszałam głuchy stukot. Podbiegłam do drzewa, pod którym leżała skulona Alessandra i krzyczała z bólu. Rękę miała złamaną tak paskudnie, że kość wystawała z rozerwanej skóry. Posłałam do wsi po medyka, który rzucił tylko okiem i oznajmił, że trzeba odjąć jej ramię. Wyciągnął nawet pilę, na której wciąż jeszcze widać było zaschniętą krew poprzedniego pacjenta. Ogromnie się zdziwił, kiedy poczuł na swoim tyłku mój but, który posłał go w dół po schodach i precz z domu.

Właśnie wtedy nauczyłam się, że pamięć można przechowywać w rękach tak samo pieczołowicie, jak w głowie. Signor Botticelli powiedział mi, że noszę w sobie ducha babci, ale do wczoraj nie podejrzewałam, że odziedziczyłam również jakiegokolwiek jej talenty. Wszyscy przecież dobrze wiecie, jak gotuję. O Madonno! Nie cierpię przygotowywać bazantów i węgory. A kiedy już się do tego zmuszę i tak wszyscy wyrzucają je do ścieków.

Ale kiedy stanęłam nad Alessandrą, która krzyczała tak głośno, że byłam pewna, że słyszy ją sama Matka Boska, poczułam, że mam w sobie po nonnie coś więcej niż tylko ducha. Nie zadrżała mi ręka, kiedy mełłam dla waszej siostry uspokajające ziarna maku z wodą; nie drgnęła, gdy nastawiałam jej kość ani wtedy, kiedy zaszywałam ranę.

Potem, gdy już uspokoiłam ją kołysankami i ukołam jej płacz, posłałam do kuchni zobaczyć się z resztą was. Wiedziałam, że z niepokoju i zmartwienia skaczecie już jak pchły.

Okazało się jednak, że bez względu na to, jak długo zapewniałam was, że ręka siostry się zagoi i za rok na wiosnę będzie ganiać was po ogrodzie jak dawniej, wy nie dawaliście się uspokoić. Z początku zupełnie tego nie rozumiałam. W końcu chodziło przecież tylko o złamaną rękę. Nie było to nic poważnego, nikt jej nie rozerwał na strzępy czwórki koni.

Potem jednak, kiedy już wszyscy posnęliście, wreszcie zrozumiałam. Dla was to jest raj - taki, jakim dla mnie był ogród w palazzo mojego ojca - a nawet lepszy, bo ogrodzeniem są tu łagodne wzgórza, na których rośnie winorośl, słoneczniki i drzewa oliwkowe. Mój raj otoczony był murem próżności i chciwości. Ale, moje bambini, w rajach nie można żyć wiecznie - wcześniej czy później, każdy musi go opuścić. Nonna to rozumiała. I chciała, bym stała się silna, tak samo jak ja chcę, żebyście wy takimi się stały.

Udałam się więc do biblioteki waszego ojca i znalazłam nieco welinowego papieru, na którym spisałam swoje wspomnienia, które możecie przejrzeć w wolnym czasie. Nie

potrafiłam już dłużej ukrywać przed wami mojej przeszłości. Źle zrobiłam, że pozwoliłam wam żyć w niewiedzy. To ważne, żebyście wiedziały, co było wcześniej, przed wami. Ważne, żebyście poznały zarówno rzeczy piękne, jak i straszne.

Teraz powiem wam, to samo, co nonna powiedziała mojemu papie wiele lat temu: mamy dość bogactw. Nie słuchajcie ludzi w Mediolanie, którzy podszeptują wam, że potrzebujecie lepszych sukien, kolejnych klejnotów i że wasz ojciec byłby lepszym władcą niż książę. Nie musimy też wytaczać Medyceuszom procesów ani ruszać z nimi na wojnę o to, co odebrał nam Il Magnifico. Wiem, że bez wątplenia byśmy taką wojnę przegrali, a nie zniosę widoku kolejnej ukochanej osoby rozdieranej przez cztery konie.

To była długa noc. Teraz, kiedy kończę spisywać to wszystko, powoli wstaje już świt. Przed dom przychodzi mężczyzna. Kuleje z powodu rany w nodze, którą owinięto mu w brudną, lnianą szmatę. To prosty człowiek, w ręku niesie żywego kurczaka. Siada na ławce, zdejmując czapkę i czeka. Nie wiem, skąd wiedział, żeby akurat do mnie przyjść po pomoc, ale to nie ma znaczenia. Coś w jego twarzy przywodzi mi na myśl Andreę. Nie jest moim bratem (ma obie ręce), ale zajmę się nim dokładnie tak, jak by nim był. Tak samo postąpię ze swoim kolejnym pacjentem i z jeszcze następnym, do chwili, w której ujrzę Andreę wchodzącego po wzgórzu do naszego domu. A w końcu kiedyś tu przyjdzie. Czuję to w wietrze, który nie jest już ścigającym mnie wrogiem. Teraz za to łaskocze moje uszy dotykiem kochanka. Szepcze mi o wolności. Szepcze mi o nadziei.

Czas już, bym zakończyła tę historię i rozpoczęła nową.

Jeśli jest cokolwiek, co chciałabym, żebyście zrozumiały i wyniosły z moich doświadczeń, to jedno: chcę, żebyście w życiu, podobnie jak signor Botticelli, patrzyły poza

rysy ludzkich twarzy i dostrzegały ukrytego pod nimi ducha.

Ja nie jestem tak uzdolniona jak Botticelli, ale myślę, że widzę wnętrza całej waszej czwórki. Widzę, jak gonicie się po łące, jak zrywacie z drzew dojrzałe owoce, jak stajecie szeregiem na balkonie, żeby urządzić konkurs plucia do fontanny na dziedzińcu. Wiem z pewnością, że nie kochamy ludzi dlatego, że są doskonali. Na przykład nonna. Kochałam ją mimo trucizn i mimo groźnych przestroż. „Jesteś pewna, że chcesz tego słuchać?”, spytała, obierając pomarańczę przy ogniu.

Tak, nonna. Jestem tego pewna. Wiem, że koniec końców, to będzie piękna historia.

Słowniczek

addio - żegnaj, do widzenia

allora - dobrze, w porządku, cóż

amore - miłość, ukochana/y

andiamo - idziemy

aspetta - poczekaj, poczekajcie

avanti - naprzód

bambina mia - córeczko moja

bambino mio - synku mój

basta - dość, przestań

bene - dobrze

benvenuto - witamy

buona notte - dobranoc

buongiorno - dzień dobry

ciao - cześć

cara mia - moja droga

carissima - najdroższa

cretini - głupcy, kretyni

coraggio - odwaga, odwagi

congiura - spisek

contadina, contadino - chłopka, chłop

delphine - delfin - symbol herbowy Pazzich

duomo - katedra

fratello - brat

forza - naprzód

grazie - dziękuję

grazie a Dio - dzięki Bogu

il Magnifico - dosł. Wspaniały

il Papa - papież maestro - mistrz

mamma - matka

mazzochio - chaperon, rodzaj męskiego nakrycia głowy, składającego się z aksamitnego wałka, długiego ogona i zwiniętego fałdu materiału. Popularne szczególnie w XV wieku,

mi displace - przykro mi, przepraszam

nonna - babcia

nonno - dziadek

palazzo - pałac

palle - kule - symbol herbowy Medyceuszy

papa - ojciec

per favore - proszę

per piacere - byłoby miło, bądź tak uprzejma, proszę

piano nobile - kondygnacja budynku na pierwszym piętrze, mieszcząca najbardziej reprezentacyjne pomieszczenia

piazza Santa Croce - Plac św. Krzyża

piccolo - mały

poverino - biedactwo, biedaczek

pręgo - proszę (w odpowiedzi na podziękowania)

primavera - wiosna

prosciutto - szynka

ragazzi - chłopcy, dzieciaki

sempre - zawsze

si - tak

signor - pan

signora - pani

signoria - forma rządów w komunach miast środkowych i północnych Włoch w okresie średniowiecza i renesansu

signorina - panienka

silenzio - cisza

simpatico - tu: sympatyk

sotto voce - półgłosem

sorella - siostra

sprezzatura - talent do ukrywania wysiłku lub ukrytych motywów działania

strega - czarownica, wiedźma

stupido - głupiec

subito - natychmiast, tak jest

suora - siostra zakonna

squarcato - rodzaj sztyletu

tranquillo - spokojnie

Podziękowania

Jak mówią, za każdą książką, kryje się księgarnia. Ja miałam to szczęście, że za moją książką schowały się aż dwie. Chciałabym podziękować kolegom z nieistniejącej już księgarni Madison Park Books za wsparcie moralne, zwłaszcza Leslie Marble, która zapaliła dla mnie świecę w rzymskiej katedrze. Chciałabym też podziękować pracownikom księgarni All for Kids Books z Seattle, nie tylko za udzielone mi wsparcie, ale za przykład tego, jak powinni zachować się wdzięczni autorzy - gdyby się ktoś zastanawiał jak, informuję: najbardziej wdzięczni przynoszą czekoladę.

Peggy King Anderson okazała się cudowną i uważną czytelniczką tej książki, od początku do końca i nie pozwoliła mi ustawać w pracy. Justina Chen Headley oświetlała przede mną drogę. Dr Michael Weiss i wszyscy z przychodni Northwest Asthma and Allergy nie tylko utrzymali mnie przy życiu, ale także, dzięki cotygodniowym zastrzykom odczulającym, umożliwili mi napisanie tej książki.

Steven Chudney, przewspaniały agent, okazał się na tyle wspaniałomyślny, że niemal za rękę przeprowadził mnie przez najbardziej skomplikowane fragmenty procesu wydawniczego. Andrea Spooner zaprosiła mnie na przyjęcie, a Jennifer Humt udzieliła mi gościny. Grazie mille.

Ogromne buziaki należą się Juanowi, Sofii i Ricardo za milczącą zgodę i cierpliwość w obliczu niezliczonych kolacji składających się z makaronu z serem i za to, że przyzwyczaili się do kilkukrotnego powtarzania każdej prośby do mnie „Co? Przepraszam, skarbie, nie słyszałam. Akurat byłam w Renesansie”. Naprawdę wielka buźka.

Ostatnie podziękowania kieruję do signora Andrei z biura turystycznego Custom Italy, za oprowadzenie mnie po Florencji, a zwłaszcza za wprowadzenie mnie na dziedziniec palazzo Pazzich. Po czterech godzinach w otoczeniu barwnych obrazów i fresków, nie mówiąc o czerwonych kopułach i wrotach z brązu, poskarżył mi się na stan, w jakim Florencja znalazła się dzisiaj, twierdząc, że jest to tylko cień dawnej chwały. Oczywiście, zupełnie tego nie zrozumiałam, bo dla mnie Florencja jest jednym z najpiękniejszych miast świata. Nie omieszkałam mu tego powiedzieć.

„Masz rację” - odparł. - „Ale czy potrafisz sobie wyobrazić, jak to wszystko musiało wyglądać wtedy?”

Tak, chyba potrafię.